MIĘDZYNARODOWY BESTSELLER

GWIAZDOZBIÓR PSA

Dla tych, którzy myślą, że *Droga* Cormaca McCarthy'ego to ostatnie słowo w postapokaliptycznej beletrystyce.
GLEN DUNCAN

PETER HELLER

NIEKTÓRE NAGRODY I WYRÓŻNIENIA

A GUARDIAN UK BEST BOOK OF 2012 • AN AMAZON BEST BOOK OF 2012 • THE iTUNES NOVEL OF THE YEAR, 2012
NEW YORK TIMES BESTSELLER • A PUBLISHERS WEEKLY BEST BOOK OF 2012 • AN ATLANTIC MONTHLY BEST BOOK OF 2012

MIĘDZYNARODOWY BESTSELLER

GWIAZDOZBIÓR PSA

Dla tych, którzy myślą, że *Droga* Cormaca McCarthy'ego to ostatnie słowo w postapokaliptycznej beletrystyce.
GLEN DUNCAN

PETER HELLER

NIEKTÓRE NAGRODY I WYRÓŻNIENIA

A GUARDIAN UK BEST BOOK OF 2012 • AN AMAZON BEST BOOK OF 2012 • THE iTUNES NOVEL OF THE YEAR, 2012
NEW YORK TIMES BESTSELLER • A PUBLISHERS WEEKLY BEST BOOK OF 2012 • AN ATLANTIC MONTHLY BEST BOOK OF 2012

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

Peter Heller

Gwiazdozbiór Psa

przełożyła Olga Siara

Tytuł oryginału *The Dog Stars*
Copyright © 2012 by Peter Heller. All rights reserved.
Published in the United States by Alfred A. Knopf,
a division of Random House, Inc., New York,
and in Canada by Random House of Canada Limited, Toronto.
www.aaknopf.com
Knopf, Borzoi Books, and the colophon are registered
trademarks of Random House, Inc.
Przekład Olga Siara
Redakcja i korekta
Maria Brzozowska / textoria.pl, Tomasz Brzozowski, Dominika Pycińska
Konwersja Tomasz Brzozowski
Konsultanci
Tomasz Kawalec (lotnictwo), Piotr Talma / flyhouse.pl (wędkarstwo)
Cytaty wykorzystane w książce
fragment wiersza e.e. cummingsa *Buffalo Bill* w przekładzie Stanisława Barańczaka,
Wydawnictwo Literackie Kraków-Wrocław 1983, s. 23
fragment wiersza Johna Keatsa *Oda o urnie greckiej* w przekładzie Stanisława Barańczaka,
Wydawnictwo Znak Kraków 1997, s. 75
fragment szkicu Ernesta Hemingwaya z *49 opowiadań*
w przekładzie Bronisława Zielińskiego, Wydawnictwo Muza 1998, s. 135
fragmenty wiersza Li Shangyina *Kiedy wrócę do domu?* w przekładzie Olgi Siary
ze zbioru *One Hundred More Poems from the Chinese* w przekładzie Kennetha Rexrotha
Copyright © 1970 by Kenneth Rexroth, wykorzystane przez Petera Hellera
za zgodą New Directions Publishing Corp.
fragmenty wiersza Williama Stafforda *Farma na Wielkich Równinach* w przekładzie Olgi Siary
ze zbioru *The Way It Is: New and Selected Poems*
Copyright © 1959, 1998 by William Stafford and the Estate of William Stafford,
wykorzystane przez Petera Hellera za zgodą The Permissions Company, Inc., z upoważnienia
Graywolf Press, Minneapolis, Minnesota, www.graywolfpress.org.
Copyright © for this edition Insignis Media, Kraków 2013
Wszelkie prawa zastrzeżone.
ISBN: 978-83-63944-11-7

Insignis Media
ul. Szlak 77/228–229, 31-153 Kraków, telefon / fax +48 (12) 636 01 90
biuro@insignis.pl, www.insignis.pl, facebook.com/Wydawnictwo.Insignis

Dla Kim

KSIĘGA PIERWSZA

I

Utrzymuję Bestię na chodzie, trzymam pod ręką zapas niskoołowiowej setki, przewiduję ataki. Nie jestem za stary, nie jestem za młody. Dawniej niewiele rzeczy lubiłem bardziej niż łowić pstrągi.

Na imię mi Hig, jedno imię. Duży Hig, jeżeli potrzebujesz dwóch.

Jeśli obudziłem się kiedyś z płaczem w środku nocy, a nie mówię, że tak było, to dlatego że pstrągi zniknęły co do sztuki. Źródlane, tęczowe, potokowe, trocie, łososie Clarka, co do sztuki.

Odszedł tygrys, słoń, małpy człekokształtne, pawian, gepard. Sikorka, fregata, pelikan (indyjski), synogarlica (turecka), pływacz. Przykre, ale. Nie płakałem, dopóki ostatni pstrąg nie odpłynął w górę rzeki w poszukiwaniu być może chłodniejszej wody.

Melissa, moja żona, była starą hipiską. Nie taką znowu starą. Dobrze wyglądała. W tej historii mogła być Ewą, ale ze mnie żaden Adam. Bliżej mi do Kaina. Nie mieli takiego brata jak ja.

Czytasz czasem Biblię? Po prostu siadasz i czytasz jak zwykłą książkę? Przejrzyj Lamentacje. Jesteśmy na tym etapie, w zasadzie. W zasadzie to lamentujemy. W zasadzie to rozpaczamy nad własnym losem.

Mówili, że na koniec po ociepleniu zrobi się zimniej. Dużo zimniej. Na razie nic z tego. Staruszka ziemia jest pełna niespodzianek, jedna duża niespodzianka za drugą nawet zanim porzuciła księżyc, który krąży i krąży jak partner ustrzelonej gęsi.

Nie ma już gęsi. Kilka. Poprzedniego roku w październiku usłyszałem po zmroku znane okrzyki i zobaczyłem je, pięć na tle chłodnego,

zmytego krwią błękitu nad krawędzią dachu. Pięć przez całą jesień, tak mi się wydaje, później w kwietniu żadnej.

Kiedy nie ma słońca, ręcznie pompuję niskoołowiową benzynę lotniczą ze starej lotniskowej cysterny a jest jeszcze cysterna, która dostarczała paliwo. Więcej paliwa, niż Bestia wypali za mojego życia, jeśli ograniczę się do lokalnych wypadów, a tak ma być, tak musi być. To mały samolot, cessna 182, rocznik 1956, istne cacko. Niebiesko-kremowa. Podejrzewam, że umrę, zanim Bestia wyda ostatnie tchnienie. Kupię tę farmę. Osiemdziesiąt akrów łąk i pól kukurydzy w miejscu, gdzie z liliowych gór wciąż wypływa zimny strumień pełen pstrągów.

Wcześniej będę robił swoje rundy. Tam i z powrotem.

*

Mam sąsiada. Jednego. Tylko nas dwóch na małym wiejskim lotnisku kilka mil od gór. Teren szkoleniowy z domami dla ludzi, którzy nie zasnęliby z dala od swoich samolocików, jak golfiści, którzy mieszkają na polach golfowych. Bangley to imię z dowodu rejestracyjnego jego starego pikapa, który już nie jeździ. Bruce Bangley. Wyłowiłem go ze schowka, szukając miernika ciśnienia opon, który mógłbym zabrać na Bestię. Adres w Wheat Ridge. Ale nie nazywam go tak, bo i po co, jest nas tu tylko dwóch. Tylko my dwaj w promieniu przynajmniej ośmiu mil, czyli na otwartej prerii dzielącej nas od pierwszych zarośli jałowców u podnóża góry. Mówię po prostu: Hej. Nad jałowcami rosną dęby a wyżej czarne drzewa. A właściwie brązowe. Ogołocone przez chrząszcze i uschnięte. Stoją teraz martwe, kołysząc się jak armia szkieletów, wzdychając jak armia duchów, ale nie wszystkie. Zdarzają się kępy zielonych drzew, którym kibicuję ze wszystkich sił. Zagrzewam je do walki tu, na płaskowyżu. Dalej Dalej Dalej Wyżej Wyżej Wyżej! To nasza pieśń bojowa. Skanduję ją przez okno, przelatując nisko ponad nimi.

Zielone kępy z roku na rok są coraz większe. Życie przetrwa, wystarczy mu odrobina zachęty. Mógłbym przysiąc, że mnie słyszą. Machają w odpowiedzi, machają w przód i w tył pierzastymi ramionami spuszczonymi wzdłuż pni, przypominają mi kobiety w kimonach. Kroczki małe albo żadne, falujcie falujcie opuszczonymi dłońmi.

Wspinam się tam, kiedy tylko mogę. Do zieleńszej części lasu. Zabawnie to brzmi: nie muszę przecież zmieniać żadnych planów. Idę tam oddychać. Innym powietrzem. To niebezpieczne, to przypływ adrenaliny, bez którego mógłbym się obejść. Widziałem ślad łosia. Nie taki stary. O ile są tu jeszcze łosie. Zdaniem Bangleya, nie ma mowy. Jest mowa, ale. Nigdy żadnego nie widziałem. Za to mnóstwo jeleni. Biorę trzysta ósemkę, zabijam łanię i targam ją z powrotem w kadłubie kajaka. Odpiłowałem wierzch, więc teraz to sanie. Moje zielone sanie. Jelenie zostały, tak jak króliki i szczury. Nadal rośnie trawa, najwyraźniej to wystarcza.

Zanim tam pójdę, robię dwa kursy Bestią. Jeden w dzień, jeden w nocy w goglach. W goglach całkiem nieźle widać między drzewami, o ile nie są zbyt gęste. Ludzie wyglądają jak pulsujące zielone cienie, nawet gdy śpią. Lepsze to niż wcale nie sprawdzić. Potem robię pętlę na południe i wschód, wracam od północy. Trzydzieści mil, przynajmniej dzień drogi dla koczownika. Wszędzie otwarta przestrzeń, wszędzie równiny, szałwia i trawa i krzewy i stare farmy. Brązowe kręgi pól niczym odciski kuli inwalidzkiej płowiejące na prerii. Żywopłoty i wiatrochrony, połowa drzew połamana, powalona, kilka wciąż zielonych nad wysiękiem lub wzdłuż strumienia. Potem mówię Bangleyowi.

Dwie godziny ciągnę puste sanie przez osiem mil prerii, później jestem kryty. Jeszcze mogę się ruszać. Ale czeka mnie długi powrót z łanią. Przez odkryty teren. Bangley osłania mnie od połowy drogi. Wciąż jeszcze mamy krótkofalówki, które udaje się naładować,

używając paneli. Japońska konstrukcja, na szczęście. Bangley rozstawił karabin snajperski cheytac kaliber .408 na własnoręcznie zbudowanej platformie. I dalmierz. Taki fart. Fanatyk broni. Naprawdę wredny fanatyk broni. Twierdzi, że potrafi zabić człowieka z odległości mili. Już to robił. Widziałem nieraz. Zeszłego lata zastrzelił dziewczynę, która goniła mnie na otwartej przestrzeni. Młoda dziewczyna, chucherko. Usłyszałem wystrzał, zatrzymałem się, zostawiłem sanie i zawróciłem. Odrzuciło ją na skałę. Zamiast talii miała dziurę, rozerwało ją niemal na pół. Oddychała ciężko, dysząc z wykręconą na bok głową. Czarne, lśniące oko patrzyło na mnie bez strachu, tylko pytająco, natarczywie, jakby ze wszystkich rzeczy, jakie widziało, ta jedna była nie do wiary. Właśnie tak. Bo kurwa dlaczego?

O to samo zapytałem Bangleya, kurwa dlaczego.

Mogła cię dogonić.

To co? Ja miałem broń, ona mały nożyk. Pewnie dla ochrony przede mną. Może potrzebowała jedzenia.

Może. Może poderżnęłaby ci gardło w środku nocy.

Wpatrywałem się w niego, myśli poniosły go gdzieś daleko, gdzie środek nocy, ja i ona. Jezu. Mój jedyny sąsiad. Co mam powiedzieć Bangleyowi? Wiele razy ratował mi skórę. Ratowanie mi skóry to jego praca. Ja mam samolot, więc patrzę, on ma broń, więc strzela. Wie, że ja wiem, że on wie: on nie potrafi latać, ja nie mam serca do zabijania. Inaczej pewnie ostałby się tylko jeden z nas. Albo żaden.

Jest ze mną jeszcze Jasper, syn Daisy, a to najlepszy system wczesnego ostrzegania.

Więc kiedy znudzą nam się króliki i rybki ze stawu, idę po jelenia. Najbardziej chcę po prostu tam pójść. To uświęcone, chłodne miejsce, jak kościół. Martwy las rozkołysany szeptami, zielony las

pełen westchnień. Piżmowy zapach legowisk jeleni. Strumienie, w których zawsze wypatruję pstrągów. Jednej młodej rybki. Jednego starego, dorodnego niedobitka, którego zielony cień zamajaczy na tle zielonych cieni skał.

Osiem mil odkrytego terenu do podnóża gór, pierwszych drzew. Nasze pogranicze. Strefa bezpieczeństwa. Za to odpowiadam.

Dzięki temu on może skupić siłę ognia na zachodzie. Tak rozumuje Bangley. Bo w innych kierunkach mamy trzydzieści mil, płaskowyż, ponad dobę drogi, a od pierwszych drzew na zachodzie tylko parę godzin. Rodziny mieszkają dziesięć mil na południe, ale nie stwarzają problemów. Tak ich nazywam. Około trzydziestu menonitów z chorobą krwi, która zaatakowała po grypie. Jak epidemia, ale zabija powoli. Chyba coś w rodzaju AIDS, może bardziej zaraźliwe. Dzieci przyszły z tym na świat, a choroba odbiera im siły i co roku kilkoro umiera.

Mamy pogranicze. Ale gdyby ktoś się ukrył. W starych zagrodach. W kępach szałwii. Wierzbach wzdłuż strumienia. Wyschniętych korytach z podmytymi brzegami. Kiedyś mnie o to zapytał: skąd wiem. Skąd wiem, że gdzieś na naszym pograniczu, na całym tym pustkowiu, nie czai się ktoś, kto chce nas zaatakować? Tyle że ja dużo widzę. Nie jak na dłoni, to zbyt proste, ale jak w książce, którą czytałem setki razy, może jak niektórzy dawniej Biblię. Ja bym to poznał. Niepasujące zdanie. Lukę. Dwie kropki tam, gdzie powinna być jedna. Ja wiem.

Chyba wiem: jeśli umrę – żadne Jeśli – to podczas jednej z tych wypraw w góry. Ciągnąc pełne sanie przez otwartą przestrzeń. Od strzały w plecach.

Bangley już dawno dał mi kuloodporną, jedną ze swojej kolekcji kamizelek. Ma tego chłamu na pęczki. Powiedział, że powstrzyma każdy pistolet i strzałę, ale z karabinem może być różnie, lepiej nie

kusić losu. Zastanawiałem się nad tym. Oprócz rodzin jesteśmy chyba jedynymi ludźmi na przestrzeni przynajmniej kilkuset mil kwadratowych, jedynymi, którym udało się przeżyć, lepiej nie kusić losu. Więc noszę kamizelkę, bo mi w niej ciepło, ale w lecie rzadko. Kiedy ją noszę, czuję się tak, jakbym na coś czekał. Czy stałbym na peronie i czekał na pociąg, który nie przyjeżdża od wielu miesięcy? Może. Czasami właśnie tak się z tym wszystkim czuję.

*

Na początku był Strach. Wtedy już nie tyle grypa, wtedy już chodziłem, mówiłem. Nie tyle mówiłem, ale zdrowy na ciele – i na umyśle, zostawiam to waszej ocenie. Bite dwa tygodnie gorączki, czterdzieści stopni przez trzy dni, musiało usmażyć mi szare komórki. Zapalenie mózgu czy coś w tym rodzaju. Gorąco. Myśli dawniej uporządkowane, dopasowane do siebie, teraz były skonsternowane, niepewne, przygnębione, jak te kudłate norweskie kucyki, które rosyjski profesor wywiózł na Syberię, czytałem o tym przedtem. Próbował odtworzyć epokę lodowcową, mnóstwo trawy i zwierząt i mało ludzi. Gdyby wiedział, co się szykuje, znalazłby sobie inne hobby. Połowa kucyków zdechła, podejrzewam, że z tęsknoty za lasami Skandynawii, a druga połowa kręciła się przy stacji badawczej, dostawała ziarno a potem i tak zdechła. Tak czasem zachowują się moje myśli. Kiedy jestem zdenerwowany. Kiedy coś mnie dręczy i nie chce odpuścić. Są w miarę w porządku, to znaczy działają, ale często wydają się zagubione, trochę smętne, jakby zastanawiały się, czy nie powinny być dziesięć tysięcy mil stąd w miejscu, gdzie milion mil kwadratowych porastają chłodne świerki. Czasem nie mam pewności, czy moje myśli nie pierzchną w zarośla. Pewnie to nie mój mózg, pewnie to normalne w tej sytuacji.

Nie chcę się w tym pogubić: minęło dziewięć lat. Grypa zabiła prawie wszystkich, potem choroba krwi zabiła następnych. Większość

z tych, którzy przeżyli, jest Niezbyt Miła, dlatego mieszkamy na płaskowyżu, dlatego każdego dnia latam na patrol.

Przez ataki zacząłem spać na ziemi. Ocalali, miałem wrażenie, że wyszukują to miejsce na mapie. Nad dużym strumieniem, zgadza się. Czyli woda, zgadza się. Musi tam być paliwo, zgadza się. Bo to dawne lotnisko, zgadza się. Każdy, kto cokolwiek przeczytał, wiedział, że działał tu model energii odnawialnej, zgadza się. Panele na każdym domu i Stacja Obsługi Lotniska zasilana głównie wiatrem. Zgadza się. Stacja Obsługi Lotniska. Mogli to nazwać po prostu: Goście, Którzy Prowadzą Lotnisko. Gdyby wiedzieli, co się szykuje, przestaliby wszystko komplikować.

Intruzi przychodzili najczęściej nocą. Przychodzili pojedynczo albo grupami, uzbrojeni w sztucery, w noże, zlatywali się jak ćmy do światła, które zostawiałem włączone na werandzie.

Mam cztery sześćdziesięciowatowe panele na domu, w którym nie śpię, więc jedna lampa LED włączona na całą noc to żaden problem.

Nie było mnie w domu. Spałem pod kocami na odkrytym terenie za nasypem jakieś sto jardów dalej. To stare lotnisko, cały teren jest odkryty. Ciche warknięcie Jaspera. To mieszaniec australijskiego psa pasterskiego, ma świetny węch. Budzę się. Daję Bangleyowi sygnał krótkofalówką. Dla niego to chyba było jak sport. Jakby w ten sposób oczyszczał umysł, jak ja w górach.

To był wysoki nasyp, zwykły kopiec ziemi, podsypaliśmy go jeszcze wyżej. Można za nim przejść. Bangley wspina się i sadowi obok mnie na górze, skąd ja patrzę już przez gogle i czuję jego chrapliwy oddech. On też je ma, gogle, właściwie ma ze cztery pary, swoje dostałem od niego. Powiedział, że przy naszym tempie diody starczą na dziesięć lat może dwadzieścia. A co potem? W zeszłym roku obchodziłem czterdzieste urodziny. Jasper dostał wątrobę (łani), ja

zjadłem puszkę brzoskwiń. Zaprosiłem Melissę a ona pojawiła się jak to ma w zwyczaju w szepcie i dreszczu.

Za dziesięć lat dodatek do benzyny przestanie działać i paliwo się zestarzeje. Za dziesięć lat nie będę musiał się tym wszystkim martwić. Może.

Często, jeśli świeci księżyc albo jest jasno od gwiazd i śniegu, Bangley nie potrzebuje gogli, ma swoją czerwoną kropkę, po prostu umieszcza czerwoną kropkę na poruszających się postaciach, na tych które stoją nieruchomo, kucają, szepczą, umieszcza ją na cieniu za starym kontenerem na śmieci, celuje czerwoną kropką w czyjąś klatkę piersiową. Paf. Nie spieszy się, planuje całą serię, paf paf paf. Tuż przedtem oddycha ciężej, bardziej chrapliwie. Jakby zaraz miał kogoś zerżnąć, co w zasadzie się zgadza.

Największa grupa miała siedem osób. Słyszałem, jak Bangley liczy pod nosem, leżąc obok mnie. Szlag by to, mruknął i zachichotał jak zwykle, kiedy jest niezadowolony. To znaczy o wiele bardziej niezadowolony niż zazwyczaj.

Hig, szepnął, będziesz musiał się włączyć.

Mam półautomatyczny karabin AR-15, dobrze sobie z nim radzę, dał mi do niego noktowizor. Ja po prostu.

Zrobiłem to.

Początkową salwę przeżyło trzech a potem mieliśmy pierwszą prawdziwą wymianę ognia. Ale nie mieli noktowizorów i nie znali terenu, więc nie trwało to długo.

Tak to się zaczęło, spanie na zewnątrz. Nie zamierzałem dać się zaskoczyć w domu. Smok śpi na swoich skarbach, ale nie ja. Ja trzymam się z daleka.

Po drugim lecie zrobiło się ich mniej, jakby ktoś zakręcił kurek, kap kap. Najwyżej jeden przybysz na sezon, potem żadnych gości. Nikogo przez niemal rok a później banda czterech straceńców, którzy prawie wysłali nas na tamten świat. Wtedy zacząłem latać regularnie jak w pracy.

Teraz nie muszę spać na ziemi. Mamy swój system, jesteśmy spokojni. Strach jest jak wspomnienie mdłości. Nie pamiętasz, jak źle się czułeś ani że niemal marzyłeś o śmierci. Ale i tak to robię. Śpię na ziemi. Zimą pod stertą koców, które ważą pewnie ze dwadzieścia funtów. Podoba mi się to. Nie w zamknięciu. Nadal śpię za nasypem, nadal zostawiam zapalone światło na werandzie, Jasper nadal kładzie mi się w nogach, nadal skomle przez sen, nadal drży pod własnym kocem, ale wydaje mi się, że jest już prawie głuchy i bezużyteczny jako alarm, z czym nigdy nie zdradzimy się przed Bangleyem. Z Bangleyem nigdy nie wiadomo. Jest skryty. Może mu się nie spodobać, że dzielę się mięsem kto wie. Dla niego wszystko musi być po coś.

Kiedyś miałem książkę o gwiazdach, ale już nie mam. Pamięć mi dopisuje, ale nie do gwiazd. Dlatego wymyśliłem gwiazdozbiory. Stworzyłem Niedźwiedzicę i Koziorożca, ale chyba nie tam, gdzie ich miejsce, stworzyłem kilka dla zwierząt, które kiedyś istniały, tych, o których wiem. Stworzyłem jeden dla Melissy, całą jej sylwetkę uśmiechniętą i wysoką, spogląda na mnie z góry w zimowe noce. Patrzy, jak mróz oszrania mi rzęsy i brodę. Stworzyłem jeden dla Aniołka.

*

Melissa i ja mieszkaliśmy nad jeziorem w Denver. Tylko siedem minut od miasta, dużej księgarni, restauracji, kina, podobało nam się to. Widzieliśmy trawę, wodę, góry przez duże okno małego domku. Gęsi. Mieliśmy miejscowe stado i stado bernikli kanadyjskich, które

przylatywały jesienią i wiosną ogromnymi kluczami, łączyły się z okolicznymi ptakami, być może rozmnażały, potem odlatywały. Podrywały się do lotu wrzaskliwymi falami. Potrafiłem odróżnić przelotne od dzikich. Tak mi się wydawało.

W październiku, listopadzie, spacerując wokół jeziora przed kolacją, pokazywaliśmy je sobie nawzajem. Moim zdaniem myliła się za każdym razem. Strasznie się na to wściekała. Była taka mądra, ale nie znała gęsi jak ja. Nigdy nie uważałem się za specjalnie bystrego, ale rzadko myliło mnie przeczucie.

Kiedy kupiliśmy Jaspera, wyszło na moje: szczeniak gonił te dzikie, płochliwe, a nie okoliczne zadziory. Przynajmniej zgodnie z moją teorią.

Nie mieliśmy dzieci. Ona nie mogła. Poszliśmy do lekarza. Próbował sprzedać nam leczenie, którego odmówiliśmy. Było nam dobrze tylko we dwoje. A potem udało jej się, to był cud. Zajść w ciążę. Przyzwyczailiśmy się do tamtego i nie byłem pewny, czy umiałbym pokochać kogoś bardziej. Patrzyłem na nią, kiedy spała, i myślałem: kocham cię ponad wszystko.

Czasami w tamtych dniach, łowiąc z Jasperem ryby w Sulphur, osiągałem swój kres. To znaczy miałem wrażenie, że serce mi pęknie. Pęknięte to nie to samo co złamane. Jakby nie było w stanie pomieścić jak piękne. Też nie to, nie tylko piękno. Jakieś moje dopasowanie. To nieduże zakole z gładkich kamieni, pochyłe ściany skał. Zapach świerków. Mały łosoś Clarka, który krążył cicho w ciemnej wodzie stawu. I nawet nie trzeba dziękować. Wystarczy być. Wystarczy łowić. Wystarczy pójść nad strumień, ciemnieje, chłodnieje, to wszystko jest częścią. Mnie, w jakiś sposób.

Melissa w tym samym kręgu. Ale inna, bo los powierza nam opiekę nad pewnymi duszami. Jakbym mógł trzymać ją ostrożnie

w złączonych dłoniach, jakby nieść ją ostrożnie ostrożnie, okolicy nie mogę, ale ją mogę, a może przez cały czas to ona trzymała mnie.

Szpital św. Wincenta stał dokładnie po drugiej stronie jeziora. Tam lądowały pomarańczowe helikoptery. Pod koniec zastanawialiśmy się, czy nie polecieć na zachód, ale było za późno i mieliśmy ten szpital, poszliśmy do szpitala. Do jednego z przejętych budynków. Zapełniających się zmarłymi.

*

Bangley po prostu się pojawia. Wymieniam olej. Mógłby zastukać w stalowy siding ale nie stuka lubi przyprawiać mnie o atak serca. Pojawia się obok jak duch.

Co znowu za kombinacje?

Jezu, kto będzie latał na patrol jak dostanę zawału?

Kogoś by się znalazło prawda? Przez ogłoszenie w gazecie.

Szeroki uśmiech na jego twarzy nigdy w oczach.

Poza tym założę się że umiałbym polecieć tym rzęchem.

Mówi tak od czasu do czasu. Brzmi jak ostrzeżenie. Przed czym? Gdyby chciał to wietrzne miejsce dla siebie, już by. Dawno temu. Teraz Jasper obudził się na swoim zakurzonym kocu i warczy. Jasper nie znosi Bangleya chyba że mamy niechcianych gości wtedy trzyma język za zębami, jest graczem zespołowym. Kiedyś zaraz po tym jak pojawił się Bangley Jasper złapał go zębami za rękę a Bangley wyciągnął z kabury pistolet wielkości rondla i wycelował a ja wrzasnąłem. Jedyny raz. Powiedziałem Zastrzel psa a wszyscy zginiemy.

Bangley zamrugał miał na twarzy ten uśmiech. Jak to wszyscy zginiemy?

Bo to ja patroluję teren z powietrza, tylko w ten sposób możemy zabezpieczyć pogranicze.

To słowo. Ono jedno trafiło do celu. Niemal widziałem jak wpada mu do ucha i nerwami do mózgu. Pogranicze. Jedyny sposób żeby zabezpieczyć. Zamrugał. Poruszył szczęką. Śmierdział. Jak stara krew jak przy zarzynaniu jelenia.

Tylko dzięki temu jeszcze żyję. Jak myślisz jak daję tu sobie radę sam?

I tak zawarliśmy układ. Bez żadnych negocjacji. Nie padło więcej słów. Ja latałem. On zabijał. Jasper warczał. Tolerowaliśmy się nawzajem.

Wracając do tematu: zmieniam olej w Bestii a on zjawia się obok mnie jak duch.

Po co latasz do Druidów? pyta.

Nie są Druidami to menonici.

Chrząka.

Odkładam klucz do filtra. Kładę go na skrzynce. Biorę cęgi do drutu zabezpieczającego.

Bangley stoi obok. Czuję jego zapach, zanim go zobaczę. Wsuwam drut przez otwór w kołnierzu u podstawy filtra, skręcam go cęgami. To drut zabezpieczający. Przytrzymuje filtr na wszelki wypadek. Wszystko zgodnie z regulacjami Federalnej Administracji Lotnictwa. Nie chciałbym, żeby przez wibracje filtr oleju obluzował się, odpadł, wypuścił cały olej w powietrzu i rozsadził silnik. Zdarzało się. Podobno wszystkie zasady Federalnej Administracji wzięły się z prawdziwych wypadków. Więc ten drut zabezpieczający o średnicy 0,032 cala może upamiętniać jakiegoś pilota. A może i jego rodzinę.

Bangley dłubie drzazgą w zębach, patrzy na mnie. Na skrzynce na narzędzia leży szmata, kwadratowy kawałek starego T-shirtu. Nadruk jest sprany, ale widzę rzędy poplamionych rysunków kobiet: z dużymi piersiami z małymi piersiami wszystkich kształtów a pod spodem „melony" „brzoskwinie" „balony" „śliwki" „rodzynki" u góry spory napis „Cabo". Czytam nazwy wszystkich owoców zanim sięgnę, żeby jeszcze raz wszystko wytrzeć. Ukłucie bólu. To wystarczy. Składam ją. Rysunek. Że jesteśmy tak zaprogramowani. Że dwa małe łuki albo kółka rysunkowych cycków mogą wywołać wspomnienie, gorączkę, zmianę, ścisk żołądka, mrowienie w kroczu. Zadziwia mnie to. Przełykam ślinę, przez chwilę stoję bez ruchu, oddycham.

Melissa miała kantalupy.

Cabo leży na krańcu dziewięćsetmilowego półwyspu. Pewnie mnóstwo ryb. Czy jakiś rozbitek taki jak ja siedzi tam na starym miejskim lotnisku i wymienia olej w zabytkowym maule'u, codziennie lata na rekonesans, a jako szmaty używa T-shirtu z ośrodka narciarskiego w Kolorado? Łowi wieczorami ryby na jakimś rozpadającym się molo, które nadal śmierdzi kreozotem? Zastanawia się, jak to jest jeździć na nartach.

Dlaczego na koszulkach z Kolorado nigdy nie było piersi? pytam Bangleya.

Poczucie humoru nie jest mocną stroną starego B.

Podchodzę do północnej ściany hangaru zsuwam ze sterty skrzynkę jednosezonowego oleju Aeroshell. Stawiam ją na drewnianym stołku. Promienie słońca cofają się po betonowej płycie w stronę otwartego wejścia. Bangley ma przy sobie tę gigantyczną spluwę. Dniem i nocą. Kiedyś poszedł nad staw w dole strumienia łowić sumy a zza krzewu oliwnika wyłonił się brodacz wielki jak tur i zaatakował go. Tak mówi. Bangley strzelił mu prosto w ten zarośnięty łeb. Przyniósł

z powrotem całą nogę jeszcze w strzępach trzech par spodni i zabandażowanym bucie. Lewą. Cisnął ją na ziemię przed hangarem.

Dla psa powiedział. Zły. Bo nie wykonałem swojego obowiązku. Wobec niego. Nie zabezpieczyłem pogranicza.

Po co latasz do mormonów? pyta jeszcze raz. Chce mnie wkurwić. Stoi wyprężony jak struna i wychyla się bardzo delikatnie do przodu kiedy jest wściekły.

Ciągnę za klapę kartonu oleju silnikowego. Klej trzyma mocno, rozrywam pudło rwę drugą stronę, cztery rzędy po trzy czarne kwarty. Wzdłuż każdej wysokiej prostokątnej butelki biegnie woskowata półprzezroczysta linia do odczytywania poziomu, przypominają mi spodnie smokingowe. Pojedyncza lamówka. Dwunastu małych panów młodych.

Skąd wiesz że latam?

Bangley robi się zły stopniowo ze wzrostem ciśnienia wewnętrznego, jak wulkan. Czerwienieją mu żyły na nosie. To znaczy bardziej zły. Przypomina jeden z tych wulkanów w Ekwadorze, który zawsze grozi erupcją, nawet jeśli szczyt wygląda na zasnuty chmurami jak zwykła góra.

Umówiliśmy się, mówi. Sejsmolodzy z Amerykańskiej Służby Geologicznej czy innej agencji dostrzegają złowieszcze wstrząsy na wykresie. Na czole tuż pod krawędzią wojskowej czapki Ducks Unlimited zaczyna pulsować znajoma żyła.

Nie, to ty się umówiłeś. Ze sobą.

Teren zakazany. To teren zakazany.

A kim ty jesteś? Dowódcą Bazy?

Nie powinienem tak mówić do Bangleya. Wiem o tym już w chwili, gdy się odzywam. Po prostu mam dosyć takiego nastawienia serdecznie dosyć. Rusza szczęką w przód i w tył.

Odkładam lejek, zwykłą butelkę po oleju przeciętą na pół, z powrotem na resztę kwart. Odwracam się do niego.

Słuchaj Bangley uspokój się. Chcesz colę?

Raz na dwa miesiące ląduję na wykarczowanym bulwarze w Commerce City i uzupełniam zapas oleju o dziesięć skrzynek. Któregoś dnia po drodze natknąłem się na ciężarówkę z colą. Zawsze przywożę cztery skrzynki, dwie dla niego dwie dla mnie. Skrzynkę sprite'a dla rodzin, o czym mu nie mówię. Większość puszek zamarzła za dużo razy i pękła, ale plastikowe butelki przetrwały. Bangley zawsze zużywa swój przydział dużo szybciej.

Zabijesz nas obu. Umówiliśmy się.

Podaję mu colę. Masz uspokój się. To ci szkodzi na serce.

Miał miażdżycę. Ma. Kiedyś powiedział: jestem bombą zegarową. Nie musiał mi mówić.

Otwieram ją żeby nie miał wyboru. Słysząc trzask nakrętki i syk bąbelków krzywi się, jakby jeszcze jedna wypita cola, o jedną mniej na świecie.

Proszę.

Hig zabijesz nas. Pije, nie może się opanować. Widzę jak przesuwa mu się w gardle i wpada do szerokiej klatki piersiowej.

Powstrzymuje się przed opróżnieniem butelki. Wiesz że nawet jedno kaszlnięcie, ciągnie. Tak mówili na koniec. Nie tylko przez krew.

Wymiana płynów ustrojowych. Nie pieprzę się z żadną menonitką.

Kaszel to płyn ustrojowy. Wpadnie ci do oka. Otworzysz usta żeby się odezwać.

Chyba nie było na to dowodów.

Co za kurwa różnica czy były dowody. Chcesz dotrzeć tak daleko i umrzeć na krew?

Tak daleko. Myślę to nie mówię. Tak daleko. Bangley i Jasper i dieta niskotłuszczowa. No cóż.

Nie możesz podjąć za mnie decyzji Hig.

Oddycham.

Ryzykujemy na każdym kroku. Od czasu do czasu potrzebują mojej pomocy.

Po co? Kurwa po co? Ile im zostało? Dwa, trzy, pięć lat? Największym szczęściarzom? Co parę miesięcy któryś umiera. Poznaję po tym, jak się snujesz. I po co? Dla czyraków i wysypki i krwawego kaszlu i pieczenia?

To ludzie. Próbują przeżyć dzień po dniu. Może niektórym uda się przetrwać. Podobno były takie przypadki.

Nadal stoi wychylony do przodu, nadal z pulsującą żyłą na czole ze strużką świeżej coli na zarośniętej brodzie.

Nie są dla nas zagrożeniem Bruce.

Dźwięk własnego imienia rozszerza mu źrenice. Nigdy mi go nie zdradził, zawsze tylko Jestem Bangley, którego jak już wspomniałem rzadko używam.

Rodziny wiedzą, że mają się trzymać piętnaście stóp ode mnie. Przeszkoliłem je. Nigdy ani razu nie okazały mi agresji, tylko wdzięczność, trochę krępującą wdzięczność, kiedy naprawiam pompę

albo pokazuję im, jak zastawić pułapkę na ryby w strumieniu. Prawdę mówiąc, robię to w równej mierze dla nich co dla siebie: dzięki temu coś we mnie taje. Co prawie zamarzło.

Bangley porusza szczęką wpatruje się we mnie. Ta ostatnia część – jakbym przeszedł na płynny japoński, cały fragment kończąc lekkim ukłonem. Jakby po pierwsze nie mógł kurwa uwierzyć że to powiedziałem, a po drugie nie zrozumiał ani jednej sylaby. Duchowość i psychologia interesują go, cóż, mniej niż wcale.

Kiedyś zapytałem czy jego zdaniem istnieje coś więcej. Piliśmy dwie bezcenne cole na werandzie mojego domu, do którego nigdy nie wchodzę, pod włączaną na noc żarówką, która dawniej przyciągała napastników jak magnes. Był wieczór, a październikowe słońce zmierzało ku górom. Jak para starych ludzi, którzy chcą odpocząć. Dwa wiklinowe fotele z odrapaną farbą skrzypiące przy każdym ruchu. Jego miał pewien rytm, jakby przypomniał sobie, jak się siedzi w fotelu bujanym. Jedyny raz, kiedy powiedział mi cokolwiek o swoim wcześniejszym życiu. Dorastał w Oklahomie. Właśnie to mi powiedział.

To nie tak jak myślisz, dodał. Długo by mówić.

To wszystko. Dość enigmatyczne. Właściwie się nad tym nie zastanawiałem. Nigdy nie rozwinął tematu. Mimo to miałem wrażenie, jakbyśmy zbliżyli się do siebie o setki mil.

Powiedziałem mu, że dawniej budowałem domy.

Jakie domy?

Szkieletowe. Z cegły suszonej. Dziwactwa na zamówienie. Napisałem też książkę.

Książkę o budowie domów.

Nie. Mały tomik. Wiersze. Nikt ich nie przeczytał.

Cholera? Upił ostrożny łyk coli, nie spuszczając ze mnie wzroku kiedy przechylał butelkę, nie spuszczając ze mnie wzroku kiedy odstawiał ją na udo, przyglądając mi się z nowym nastawieniem, nie wiadomo dobrym czy złym. Korygując kontekst.

Od czasu do czasu do magazynów. Głównie o łowieniu ryb, plenerowych historiach.

Ulga ona omiotła mu twarz jakby rozwiewając ciemne chmury. Prawie się roześmiałem. Widać było obracające się trybiki: Uff, plenerowe historie, Hig nie jest pedałem.

Dorastając, chciałem być pisarzem. Wielkim pisarzem. Latem pracowałem na budowie, przy konstrukcjach szkieletowych. I tak. Trudno utrzymać się z pisania. Poza tym pewnie nie byłem zbyt dobry. Ożeniłem się kupiłem dom. Krok po kroku po kroku.

Długo by mówić, powiedziałem.

Bangley trzymał swoją colę obiema dłońmi na kolanach. Tak jakby zapadł się w sobie może we wspomnienia. Nagle daleki, jakby jego myśli wycofały się na bezpieczniejszą odległość. Żeby obserwować. Z pewnej odległości. Nadal bujając się w niebujanym fotelu.

Długo się nie odzywaliśmy. Słońce musnęło jeden z wyższych szczytów, powoli pękło jak krwistoczerwone żółtko. Dokładnie w tym momencie wiatr poruszył, zachrzęścił wyschniętym krzewem. Zimno.

Zapytałem go czy ma czasem wrażenie, że istnieje coś więcej niż to, niż trwanie dzień po dniu. Rekonesans, naprawa samolotu, uprawa pięciu warzyw, łapanie zająca w sidła. Jakby na co my czekamy?

Jego fotel, skrzyp skrzyp, zatrzymał się. Zastygł bez ruchu jak myśliwy, który zwietrzył ofiarę. Blisko. Jakby się obudził.

Powtórz.

Więcej niż to. Dzień po dniu.

Zaciskał szczękę, jego minerałowe oczy szarzały w gasnącym świetle. Jakbym posunął się za daleko.

Muszę iść powiedział. Wstał. Wsunął palec do kieszeni na piersi flanelowej koszuli, wyłowił nakrętkę, zakręcił butelkę. Zniósł swoją colę z werandy, pęknięty stopień trzasnął pod butem.

To było chyba w drugim roku. Więc teraz w hangarze wiem, że tekst o wewnętrznym odtajaniu nie spotka się ze zrozumieniem. Przy Bangleyu najczęściej myślę o tym wszystkim czego nie powinienem pod żadnym pozorem mówić.

Otwieram kwartę oleju i przechylam ją nad lejkiem z przeciętej butelki i wsuwam w bliźniaczą formę. Zostawiam do opróżnienia. Odwracam się do niego.

Kto wie może któregoś dnia my będziemy potrzebować ich. Nigdy nie wiadomo.

Ha. Pogardliwe prychnięcie lekceważenie. Niemożliwe Hig. Nadają się najwyżej na pogrzeb.

Skazał ich, chciał tego. Śmierci ich wszystkich.

Chcesz być jedynym który przeżyje? Dla ciebie to bez różnicy. Jedynym cholernym człowiekiem na ziemi.

Jeśli tak się ułoży. Lepsze od alternatywy. A poza tym mam ciebie. Przechylił colę patrzył na mnie przez plastik.

Chodziło mu o alternatywę że wszyscy umrą. Tak myślę. Nie powiedziałem tego: Któregoś dnia wejdę do Bestii i polecę na zachód i nie zawrócę.

Nie zrobisz tego powiedział.

Czego?

Tego co pomyślałeś. Nie ma innego bezpiecznego miejsca. Może na całej planecie. Mamy pogranicze, wodę, energię, jedzenie, siłę ognia. Mamy góry dość blisko gdyby trudno było o mięso. Nie mamy żadnych wewnętrznych sporów polityki do roztrząsania. Jak mormoni jak wszyscy inni którzy już nie żyją. Nie komplikujmy spraw to damy radę.

Uśmiecha się.

Wiejskie chłopaki dają radę.

Jego ulubione powiedzenie.

Patrzę na mojego jedynego przyjaciela na ziemi. Chyba jest moim przyjacielem.

Nie pozabijaj nas, mówi i odchodzi.

*

Mimo to latam do nich, kiedy proszą. Patrol prowadzi na zachód do ściany gór, potem na południe. Lecę wzdłuż linii drzew wyznaczających rzekę. Na wysokości kominów elektrowni i zbiornika odbijam znów na północny zachód. Menonici mieszkają nad strumieniem. Na dawnej fermie indyków. Osiem metalowych szop w dwóch rzędach po cztery ustawionych pod kątem niczym samochody zaparkowane na ukos. Wysokie, stuletnie drzewa rozrzucone wzdłuż wiatrochronu i zbite w kępę, pośrodku której chyli się asfaltowy dach dużego ceglanego domu. Dwa stawy zasilane strumieniem. W jednym widzę pływaki, pusty kajak. Szereg paneli słonecznych na południe od szop i dwa wiatraki, jeden mechaniczny do czerpania wody. Dlatego w ogóle się tu osiedlili.

Na podwórzu, na polanie, maszt na trzydzieści stóp, flaga już dawno zniknęła, może posłużyła za kocyk dla dziecka. Kiedy potrzebują

pomocy, wciągają podarty czerwony owerol. Sygnał i wskaźnik wiatru. Na silnym wietrze rozrzuca sztywne nogi i ręce jak bezgłowy człowiek.

Ląduję na prostym gruntowym podjeździe odchodzącym od starej drogi okręgowej na zachód. Widzę jak owerol łopocze na wietrze. U szczytu podjazdu przydrutowali do dwóch słupów metalowy znak ma czerwoną czaszkę i skrzyżowane kości głosi NIEBEZPIECZEŃSTWO CHORUJEMY NA KREW. Podjazd zalewa woda, żłobią koleiny. Wychodzą z łopatami i zasypują dziury. Konserwacja im nie idzie, najczęściej są zbyt słabi, ale ten prowizoryczny pas do lądowania to jedyne co porządkują. Prawie zawsze silny boczny wiatr kierunek powiedzmy 330. Wprowadzam Bestię w ślizg więc schodzi przekrzywiona, prawie zawsze ukosem do podjazdu, lewe skrzydło nisko, dziób przechylony mocno na południe, potem wyrównuję ją w ostatniej chwili, dzieci na podwórzu podskakują, z dwustu stóp widzę jak się śmieją, to jedyny moment, kiedy widzę ich śmiech.

*

Dawniej Jasper wskakiwał do kokpitu teraz nie potrafi. W czwartym roku pokłóciliśmy się. Wymontowałem przedni fotel pasażera ze względu na wagę i ładowność i położyłem na podłodze flanelowy śpiwór we wzór z myśliwym który strzela raz po raz do bażanta i jego psem na trzech łapach, w stójce, z przodu. Nie wiem dlaczego nie zrobiłem tego wcześniej. Ten pies nie wygląda jak Jasper, ale mimo wszystko. Wniosłem go. Położyłem na wzorze z myśliwym i psem.

Ty i ja w innym życiu mówię mu.

Lubi latać. I tak nie zostawiłbym go samego z Bangleyem.

Kiedy wymontowałem fotel, wpadł w depresję. Nie mógł siedzieć i wyglądać. Wie, że musi trzymać się z dala od pedałów steru. Kiedyś przez uskok wiatru ześlizgnął się na nie i prawie nas zabił. Później skleciłem coś na kształt czterocalowego drewnianego płotka, ale wyrzuciłem go po tym, jak przyjrzał mu się i wyskoczył z samolotu i odmówił latania, bez jaj. Poczuł się urażony. Całą tą sprawą. Dawniej martwiłem się rykiem silnika i jazgotem śmigła, noszę słuchawki chociaż nie ma z kim rozmawiać przez radio, bo tłumią hałas, ale martwiłem się o Jaspera, próbowałem nawet zrobić mu specjalne ochraniacze na uszy, coś w rodzaju hełmu, ciągle spadały. Pewnie dlatego teraz jest prawie głuchy.

Kiedy zabierałem olej itepe, przekładałem kapę na szczyt sterty, żeby mógł wyglądać.

Widzisz? mówiłem. Masz dobrze przynajmniej czasami. Większość z nas nie może liczyć nawet na tyle.

I tak uważał, że to obciach, widziałem to po nim. Dużo mniejszy entuzjazm. Tak że teraz, kiedy nie uzupełniam, tylko latam, a tak jest najczęściej, przykręcam fotel z powrotem, zajmuje to tylko kilka minut. Czasu nam przecież nie brakuje. Za pierwszym razem usiadł znów prosto i zerknął na mnie w stylu Co tak długo? a potem spojrzał przed siebie z poważną miną i zmarszczonym czołem jak drugi pilot. Poprawa jego nastroju wyraźna jak pogody.

Starzeje się. Nie liczę lat. Nie mnożę przez siedem.

Wyhodowali rasy do wszystkiego innego, nawet do nurkowania po ryby, dlaczego nie wyhodowali psów, które żyłyby dłużej, tyle co człowiek?

*

Dziwna rzecz: GPS nadal działa. Satelity, wojsko czy ktokolwiek inny wystrzelił je, żeby orbitowały wokół nas i mówiły nam, gdzie

jesteśmy, one nadal wysyłają swoje sygnały, wyznaczają moją pozycję, mały garmin zamocowany w uchwycie nadal wyświetla ostrzeżenie jeśli uważa, że lecę zbyt blisko gór.

Zawsze lecę zbyt blisko gór. Tak to jest z końcem wszystkiego: przestałem się bać awarii silnika. Na garminie jest przycisk Pokaż najbliższe. Ktoś pomyślał. Informuje, w którą stronę do najbliższego lotniska i jak daleko. Podaje listę najbliższych lotnisk, ich identyfikatory, odległość, położenie, częstotliwość wieży. Kiedy jeszcze przejmowałem się różnymi rzeczami, przycisk Pokaż najbliższe był moim najlepszym przyjacielem. Czy to pogoda czy jakiś problem czy niski poziom benzyny, ja wciskałem go i wyświetlała się lista i jeśli przewinąłem ją w dół i zaznaczyłem, wystarczyło wcisnąć Leć do i *voilà* podawał mi trasę. Przesuń strzałkę z powrotem na środek łuku. Nic prostszego.

Nadal przydatny, ale po dziewięciu latach tak wiele pasów startowych nie nadaje się do użytku albo musisz wiedzieć dokładnie gdzie jest wybój na dwie stopy i go ominąć. Zaskakujące jak szybko. Jak szybko zamienia się z powrotem w trawę i ziemię. Jeszcze przedtem był taki program: *Świat po zagładzie ludzkości*. Oglądałem każdy odcinek. Nagrywałem go. Byłem zafascynowany. Tą wizją: Nowy Jork za tysiąc lat wyglądałby jak: estuarium. Bagno. Rzeka. Lasy. Wzgórza. Podobało mi się to. Nie umiem wyjaśnić dlaczego. Zachwyciło mnie to.

Tak szybko. Bo to niewiarygodne jak szybko pod wpływem wody i powietrza korodują stalowe dźwigary, jak szybko korzenie rozsadzają ten szajs. Wszystko się sypie. Aha, więc te pasy startowe: może się wydawać, że dziewięć lat to niedługo, ale to długo dla asfaltu o który nikt nie dba i dla człowieka z przegrzanym mózgiem, usiłującego przeżyć. Mógłbym spisać listę. Dziewięć lat to całkiem kurewsko długo:

Na życie z pieprzeniem Bangleya.
Na pamiętanie o prowizorycznym oddziale grypowym.
Na tęsknotę za moją żoną po.
Na myślenie o łowieniu ryb i niełowienie.
Inne rzeczy.

Ale. Któregoś wieczora straciłem cylinder na południe od Bennet. Oblatywałem miasto, co robię od czasu do czasu, niezbyt nisko tylko żeby zobaczyć i. Stuk stuk stuk wibracje jak cholera. Najlepiej wylądować i usunąć usterkę, może to tylko zanieczyszczona świeca zapłonowa. Nawet bez garmina wiedziałem, że baza lotnicza Buckley jest tuż obok na zachód może dwanaście mil. Wprowadziłem samolot w przechył i schodziłem ze złotym słońcem prosto w oczy, walenie głośniejsze, teraz trochę niepokojące, bo kiepsko byłoby zniszczyć łożysko, i praktycznie oślepiony słońcem, używając lewej krawędzi pasa jako punktu odniesienia, i sto stóp dalej wylądowałem nadal na pełnej mocy, jakieś siedemdziesiąt na liczniku, ŁUP, i gdyby to było przednie nadwozie a nie lewe główne to z Bestii, i ze mnie też, zostałaby kupka popiołu. Z Jaspera też. Obszedłem ją i sprawdziłem. Wyrwa sięgałaby człowiekowi do pasa, kształtem przypominała prostopadłościan, wyglądała jakby pieski preriowe wykopały ją małymi koparkami. Kurwa. Mój kręgosłup. To szarpnięcie. Usiadłem dyndając nogami w dziurze, Jasper też usiadł i oparł się o mnie jak to on i zerknął na mnie bardzo szybko i dyskretnie, bardzo zatroskany. Siedzenie w ten sposób skojarzyło mi się z japońską restauracją do której kiedyś zabrała mnie Melissa, gdzie zamiast krzeseł, zamiast mat i poduszek mieli jakby studnię na stopy, coś jakby udawane siedzenie na podłodze dla sztywnych ludzi Zachodu. Słońce rozciągało nasze cienie na jakieś pół mili po pasie startowym. Jak się okazało siła uderzenia złamała zastrzał i wtedy nauczyłem się spawać oraz że można spawać przy pomocy energii słonecznej.

Siedziałem ze stopami w wyrwie i potrząsnąłem sam siebie za ramiona i zapytałem: Co się z tobą dzieje? Myślisz że to jakaś gra?

Nie umiałem odpowiedzieć od razu.

Czy chcesz dziś żyć?

Tak.

Czy przyznajesz że możesz chcieć żyć jutro? I pojutrze może też?

Tak.

To zacznij działać metodycznie. Czasu masz aż nadto.

Więc przeprowadziłem inspekcję. Wziąłem mapę dla tak zwanych lotów z widocznością i obleciałem każde lądowisko w promieniu stu mil. Obleciałem Centennial, obleciałem Colorado Springs, Akademię Sił Powietrznych, obleciałem Kirby, wcześniej znane jako Nebraska, obleciałem Cheyenne. Obleciałem je wszystkie na wysokości jakichś trzydziestu stóp przy dobrym świetle i zrobiłem notatki. Zaskakujące ile by mnie zabiło. W Cranton prawie nas, kiedy zszedłem na przelot naprawdę nisko i równolegle do pasa startowego a jakiś ksenofob wybił w kadłubie dziurę pociskiem z karabinu dalekiego zasięgu. Wiedziałem, bo wyszedł dokładnie przez moje boczne okno na przestrzał. Stąd wiedziałem że mamy sąsiadów w Cranton.

Więc przycisk Pokaż najbliższe działa, ale połowa zupełnie nie nadaje się już do użytku. Lepiej lądować na starym polu. Kiedyś znaczył Pokaż najbliższy port, teraz znaczy Pokaż najbliższą być może śmiertelną pułapkę. Wszystko przydatne informacje.

*

Nadal prowadzę nasłuch. Trudno się wyzbyć starych nawyków. Każde lotnisko ma swoją częstotliwość, żeby samoloty mogły się porozumiewać jeśli nie ma wieży. Trzeba wiedzieć, gdzie są wszyscy, kiedy startujesz albo wchodzisz na krąg. Trzeba było. Co roku dochodziło do kolizji. Pomiędzy lotniskami nie ma ustalonej metody komunikacji ale jest częstotliwość alarmowa 121,5. Zbliżając się do

lotniska włączam ten stary kanał. Z odległości pięciu mil zaczynam wywoływać. Wywołuję kilka razy.

Strefa Loveland cessna Sześć Trzy Trzy Trzy Alfa pięć mil na południe na sześciu tysiącach w drodze do Greeley. Powtórz. Jest tam kto? Nie ma tu więcej samolotów i pewnie tak już cholera zostanie do końca świata. Może na innej planecie w innym wszechświecie znów wynajdą cessnę. Ha!

Śmieję się. Do rozpuku. To dość makabryczne. Jasper zerka z ukosa z lekkim psim zażenowaniem.

Mam tomik wierszy Williama Stafforda. To jedyna rzecz po którą wróciłem: moje zbiory poezji. Lądowanie nocą z wyłączonym silnikiem, wyłączonymi światłami, na starym parkingu przed supermarketem King Soopers, jeden pas tysiąc łatwych stóp między niskimi samochodami, skrzydła zmieściły się nad, i żadnych latarni. Stamtąd trochę ponad milę do domu. Zachód i południe trawione pożarami, wystrzały przeszywające ciszę. Czekanie w samolocie z AR-15 między nogami czekanie żeby sprawdzić czy nie został tu ktoś kto będzie niepokoił Bestię przez te pół godziny mojej nieobecności.

Wziąłem karabin i obiegłem jezioro jak tyle razy wcześniej rano i wieczorem. Kiedyś biegałem. Nie zwracałem uwagi na zdjęcia na kominku, wzdłuż schodów, nie patrzyłem, zapakowałem stary plecak i worek podróżny książkami, samą poezją. Przekartkowałem *We Die Alone* – *„Umieramy sami"* – pierwszą książkę, którą dała mi Melissa, przerażająco proroczą tylko jeśli chodzi o tytuł: jej bohaterem jest zupełnie prawdziwy autentyczny norweski komandos z czasów ostatniej porządnej wojny. Ucieka na nartach całym dwóm niemieckim dywizjom i uchodzi z życiem, żeby w średnim wieku pozować wytwornie w rybackim swetrze z golfem do zdjęcia na tylną okładkę swoich pamiętników. Zawsze zazdrościłem temu facetowi,

bohaterowi wojennemu w rubasznej Norwegii, który wysoko wśród fiordów na pewno miał drewniany domek i tysiąc przyjaciół i opijał się grzanym cydrem albo akevittem czy co się tam podaje na przyjęciach, a teraz jeździł na nartach tylko dla przyjemności. Gdyby ten człowiek mógł wyobrazić sobie piekło na ziemi prawdopodobnie. Widział jego cień. Przekartkowałem książkę, nie przeczytałem dedykacji i wsunąłem ją z powrotem na półkę. Koniec. Postanowiłem, że koniec z płakaniem nad czymkolwiek.

Kiedy wróciłem na parking, zaszedłem od strony zewnętrznych rzędów, a dwie postaci zaglądały przez otwarte drzwi samolotu, jedna przymierzała się do wejścia. Przekląłem swoją głupotę i z walącym sercem odbezpieczyłem karabin i wstałem i wrzasnąłem wypierdalać mi stąd, a kiedy chwycili sztucer i śrutówkę, strzeliłem do nich z dwudziestu jardów, do nich pierwszych. Za wiersze. Dałem ich broń Bangleyowi, odmówiłem odpowiedzi na jego pytania.

Tomik Stafforda nosi tytuł *Historie, które mogą być prawdziwe*. Jeden z wierszy to *Farma na Wielkich Równinach* a zaczyna się:
Linia telefoniczna zamiera;
ptaki chodzą po niej tam dokąd prowadzi.
Farma na skraju wielkiej równiny
napina jeden koniec linii.
Dzwonię na tę farmę co roku,
telefonuję, nasłuchuję, wciąż

Dzwoni do swojego ojca. Dzwoni do swojej matki. Odeszli wiele lat wcześniej na linii został już tylko szum ale on nadal dzwoni.

Kiedy nikt nie odpowiada na lotnisku, nad którym mam właśnie przelecieć, przełączam się znów na częstotliwość alarmową i wywołuję dla przyzwoitości

Mayday mayday cessna Sześć Trzy Trzy Trzy Alfa czuje się strasznie samotnie.

W siódmym roku ktoś odpowiedział. Zdjąłem ręce z wolantu i wcisnąłem słuchawki do uszu. Włosy zjeżyły mi się na rękach jak podczas burzy z piorunami.

Wyłoniło się z radiowego szumu z dopplerowskim zanikiem.

Trzy Trzy Trzy Alfa… niknące w śniegu radiostacji.

Trzy Trzy Trzy Alfa… Trzask w słuchawkach… *Grand Junk.* Huk jak od podmuchu magnetycznego wiatru.

Grand Junction…

Czekałem. Kręciłem głową. Z całych sił wbijałem pałąk słuchawek w skroń. Wciskałem klawisz mikrofonu na wolancie.

Grand Junction? Grand Junction? Trzy Trzy Trzy Alfa nad Longmont. Jestem nad Longmont do jasnej cholery! Nie przyjąłem. Powtarzam: nie przyjąłem!

Krążyłem. Krążyłem wyżej. Wszedłem na piętnaście tysięcy stóp i krążyłem póki nie dostałem zawrotów głowy od hipoksji. Zszedłem na trzynaście i krążyłem przez dwie godziny dopóki wskaźnik paliwa nie pokazał, że zostało mi piętnaście minut, wtedy odbiłem na wschód.

Ktokolwiek to był, był pilotem albo kontrolerem.

Jeden jedyny raz.

*

Gotuję dla siebie w hangarze. Jakiś miesiąc po tym jak pojawił się Bangley namówiłem go, żeby pomógł mi przewieźć opalaną drewnem kuchnię marki Vigilant z ekstrawaganckiej rezydencji po wschodniej stronie pasa startowego. Może prowizoryczny charakter jedzenia w miejscu które zasadniczo jest warsztatem mechanika daje

mi poczucie że to wszystko nie jest na stałe. Między innymi dlatego nie mieszkam w domu. Jakbym mieszkając w hangarze, śpiąc pod gołym niebem mógł udawać że gdzieś indziej jest dom a w nim ktoś, ktoś do kogo można wrócić. Ale kto tu kogo chce oszukać? Melissa nie wróci, pstrągi nie wrócą ani słoń ani pelikan. Może przyroda stworzy jeszcze raz dumną zimnolubną waleczną cętkowaną rybę ale nigdy nie da drugiej szansy mało prawdopodobnemu słoniowi.

A jednak zeszłego lata widziałem lelka. Pierwszego od lat. Śmigał za owadami w ciepły zmierzch, białe lotki połyskiwały w półmroku. Ten delikatny elektryczny świergot.

Więc gotuję i jem w hangarze. Próbowałem jeść w domu przy kuchennym stole jak Bangley, próbowałem przez kilka dni ale nie pasowało mi.

W ścianach domów wokół lotniska jest więcej drewna na opał niż zużyjemy przez całe życie. Oburęczny młot i łom i w kilka godzin robię zapas na tydzień. Nie mówiąc już o eleganckich meblach.

Niełatwo było przyzwyczaić się do rozwalania stolarki, wiśnia i orzech, i podłóg z klonu na opał. Ale. Wartość mierzona potrzebą. Mimo to najpierw rozbieram brzydsze domy. Nie wiem czy kiedykolwiek zabiorę się za cztery czy pięć naprawdę cudownie wybudowanych minirezydencji tych z egzotycznego drewna, jeśli tak to do tego czasu stracą pewnie cały urok. Pewnie będę w nich widział tylko miłą odmianę w zapachu ognia. Zgodnie z inną niepisaną umową zaczęliśmy wybierać drewno z tańszych domów po zachodniej stronie pasa startowego, on przesuwa się na północ a ja na południe. Mam stamtąd niezbyt daleko taczką do hangaru.

Bangley często zagląda i dołącza do mnie. On nie umie gotować ja umiem. Za nic nie da się go nauczyć pukania albo żeby chociaż nie zakradał się jak duch co trochę mnie wkurza, bo nigdy nie wiem, od jak dawna patrzy.

Coś wcześnie dziś kolacja.

Kurwa Bangley, prawie się oparzyłem.

Gotujesz jakbyś to lubił.

Co?

Tak paradujesz z tą patelnią, z tym nożem, jakbyś był w kuchni. Jakbyś występował w jakimś programie kulinarnym.

Kiedy wyjątkowo dobrze się bawi nozdrza Bangleya rozszerzają się jak skrzela.

Wpatruję się w niego tylko przez chwilę.

Głodny?

Jak w jakimś programie kulinarnym w którym zakładają fartuchy. Jakby gotowanie pieprzonej kolacji to był jakiś taniec. Tra la la.

Kładę patelnię pełną młodych ziemniaków na kuchni. Na początku próbowałem zastępować słoninę sarnim smalcem, ale za szybko jełczał.

Ale jak widzisz nie mam na sobie fartucha ani nie tańczę.

Oleju jak na lekarstwo w spiżarniach domów pewnie na koniec ostatnie kilka miesięcy pili go dla kalorii. Potem w piwnicy dużego domu w stylu Bauhaus po drugiej stronie przy Piper Lane znalazłem dwie pięciogalonowe beczki oliwy. Ukryte za stertą nowych cegieł.

Za to śpiewałeś. Błyska tym szerokim uśmiechem. Wygląda z nim jeszcze złośliwiej.

Kuchnia jest opalana kanadyjską jodłą deski dwa na cztery cale, najlepsze drewno do szybkiego podgrzewania. Oliwa strzela a ja przekładam pokrojone ziemniaki dopóki większość nie dotyka dna

patelni. Myślę: Gdybym miał inny charakter, gdybym uważał że mogę sam bronić tego miejsca zastrzeliłbym Bangleya tak jak stoi i skończyłoby się. Zastrzeliłbym? Może. A wtedy tęskniłbym za tymi sprzeczkami każdego dnia. Pewnie bardzo by mi ich brakowało. Naprawdę zaczęliśmy przypominać małżeństwo.

Nie wydaje mi się żebym śpiewał, mówię wreszcie.

Śpiewałeś, Hig, śpiewałeś. I nie był to Johny Cash. Uśmiecha się.

Jakby tylko to można było śpiewać pod nosem zgodnie z Ewangelią według Bangleya.

To co to kurwa było?

Wzrusza ramionami. A skąd mam wiedzieć. Jakiś pop dla nastolatków. Coś z radia o ile mnie pamięć nie myli.

O ile mnie pamięć nie myli. Stoi tak z triumfalnym uśmieszkiem i niechlujnym tygodniowym zarostem. Jak Boga kocham. Zaczynam się śmiać. Zawsze mi to robi: irytuje mnie coraz bardziej, aż w końcu wybucham śmiechem. Wszystko nabiera wymiaru absurdu, a potem dochodzi do zwarcia, przełącznik przeskakuje i zaczynam się śmiać. Chyba na szczęście dla nas obu.

Siadaj Bangley. Przysuń sobie stołek. Dziś jemy suma, sałatkę z mlecza z bazylią i młode ziemniaki *au* nie *gratin.*

Widzisz? pyta. Zupełnie jak w jakimś telewizyjnym show. Jeśli ty nie masz niezdrowych skłonności to ze mnie żyd.

Patrzę na niego. Rozśmiesza mnie jeszcze bardziej.

*

Czasem włączam muzykę. Mam empetrójki, płyty kompaktowe, winylowe, wszystko. Podpiąłem mój hangar do głównego

akumulatora na Stacji Obsługi, tego zasilanego turbiną wiatrową, dlatego prąd nie stanowi problemu. Podstawa to odpowiedni nastrój. Muszę uważać, bo inaczej przeniesie mnie w miejsce, w którym już nigdy nie chcę się znaleźć. Odpada wszystko, czego słuchaliśmy dawniej: mieliśmy słabość do starych piosenkarzy country, autorów tekstów o zmaganiach z butelką i życiu w drodze, Whiskeytown po Topley po Sinéad. Uwielbialiśmy Dixie Chicks, jak wszyscy. Amazing Rythm Aces. Open Road, Sweet Sunny South, Reel Time Travelers, zadziorne bluegrassowe i starodawne zespoły tuż zanim zanim. Wtedy wydawały nam się poruszające. A spróbujcie puścić je w piękny wiosenny poranek przy otwartych drzwiach do hangaru, kiedy nad rozgrzewającym się asfaltem kołuje jeden jedyny myszołów:
Pachniałaś wiciokrzewem, pamiętam, czuję go jak dziś,
Tak trudno mi uwierzyć, że nie chcesz już ze mną być…

Albo ten słodki zdarty górski tenor Brada Lee Folka w *Hard Times.*
Ze zwieszoną głową, bezdomny, zagubiony w deszczu…

Nie sądziłem że mając czterdzieści lat będę stary.

Mogę za to słuchać bluesa. Nigdy nie przepadała za bluesem. Ratują mnie Lighting i Cotton, BB i Clapton, i Stevie Ray. Mogę puszczać na cały regulator *Dear Son* Sona Sealsa dopóki kojoty na przełęczy nie włączą się z życzliwą, rozdzierającą niebo interpretacją partii harmonijki ustnej. Przeszywający skowyt i jęki. Brzmią jakby konały z bólu i jakby im się to podobało. W zasadzie właśnie na tym polega blues.

*

W nocy leżę z Jasperem wsparty o tył nasypu. Jest wczesna wiosna, jakaś późna albo bardzo wczesna godzina a Orion potyka się i spada w tył na ostre krawędzie gór, ale bez krzyku tylko w milczeniu

w milczeniu usiłując zastrzelić z łuku byka zanim go stratuje. Czasem jest bardzo spokojny nie dziś. Dziś walczy o życie.

Jasper spuszczony ze smyczy, pogrążony we śnie na moim lewym udzie, ale myśli z niej nie spuszczam. Trzymam je krótko. Mogą otrzeć się o zielony dom, hangar, możliwość wiosennego polowania na wiosennego niedźwiedzia, kiedy niedźwiedzie stają się nieostrożne z głodu.

Pochrapuje lekko jak to on, delikatne parsknięcie przy wdechu i czasem jęk przy wydechu. Potem wbrew wszelkim planom zaczynam wspominać wywołanie z Grand Junction. Jak pociąg wyłaniający się ze śnieżycy zadudniło na łączach a potem znów zniknęło w zamieci, zostawiając za sobą ponury ślad zdopplerowanej przestrzeni. Zagubione. *Trzy Trzy Trzy Alfa… Grand Junk… Grand Junction…* Głos starszy, miły, zatroskany, jak dziadek wołający wnuka na szczycie stromych schodów.

Ile lat temu? Dwa albo trzy. Było lato pamiętam. Pamiętam dym z letnich pożarów, krążenie Bestią w dymie i zachód słońca tej nocy jak rzeź. Jak krążyłem i wchodziłem wyżej i zataczałem coraz większe kręgi i wciskałem i wciskałem przycisk mikrofonu. Gorączkowo obracałem pokrętłem blokady szumów. Może jakaś fala odbita, jak mogła dotrzeć tak daleko, skoro żaden przekaźnik nie działa już od wielu lat po. Ta kompetencja w głosie. Starszy mężczyzna. Pamiętam to. Przebił się przez hałas. Inny pilot, jestem pewny, że to był pilot.

Dolecę do Gunnison i z powrotem na jednym baku, może do Delty w drugim kierunku. Może – jeśli wiatr będzie sprzyjał w obie strony. Co zdarza się rzadko. Myślałem o tym. Wiele razy. Junction mniej niż pół godziny drogi za. A potem. Co? Inny pilot na innym lotnisku, pewnie dużo mniej bezpiecznym. Ale.

Mieli skądś prąd. Oni – on – przetrwał siedem lat. Może wciąż.

Jasper zmienia pozycję, prostuje łapy, rozciągając się przez sen, i wciska się we mnie plecami, sam wyrywa się z drzemki. Parska. Znów opuszcza głowę.
Podnoszę głowę z poduszki
Widzę szron księżyc.
Opuszczając głowę wspominam dom.

Najsłynniejszy wiersz Li Bai.

Nawet wtedy: na długo przed przed końcem, bezbrzeżna tęsknota. Tak rzadko w domu, każdy z nas.

Opieram się o worek podróżny wypchany pianką, którego używam jako poduszki. Nie brudzi się tak szybko, nie przypomina mi mojego starego łóżka. Naciągam wełnianą czapkę z powrotem na czoło. Niebo jest krystalicznie czyste, pożary lasów zaczynają się dopiero w połowie czerwca, a Droga Mleczna to rzeka gwiazd dogłębnie niezgłębiona. To znaczy głębsza niż można zmierzyć. Jasper wzdycha. Prawie bezwietrznie. Lekki podmuch chłodzi mi prawe ucho, leniwa bryza z północy.

Czy czułbym się lepiej gdybym spotkał się z pilotem z Grand Junction? Gdyby Denver na południu było miastem tętniącym życiem? Gdyby Melissa spała po drugiej stronie Jaspera jak dawniej? Z kim czułbym się lepiej? Ze sobą?

Mimo to myślę o głosie tego pilota. Tej kompetencji i tej tęsknocie. Za kontaktem. Chyba trzeba było tam polecieć. Zaryzykować z paliwem, zmniejszyć trochę ciąg, lecieć wolno, może osiemnaście, nie więcej, wybrać któryś poranek i polecieć. Żeby zobaczyć. Co, tego nie wiem. Mimo to nigdy nie byłem bliski. Tej decyzji. Przyznaj: bałem się. Że znajdę trupa nadawcy urwanego komunikatu tak jak wcześniej wciąż i wciąż i wciąż. Nic oprócz. I że skończy mi się paliwo jeszcze zanim dolecę do Siedem Victor Dwa czyli do Paonii, lądowiska wysoko na ostańcu wąskim i płaskim jak lotniskowiec. Że

zabraknie mi paliwa na ceglastych nizinach na wschód od Delty. Że runę w dół w cieniu Wielkiej Mesy.

Przedtem czytałem, że znaleźli Amelię Earhart. Chyba niezbite. Na wyspie odhaczonej w 1940 roku jako Przeszukana. Otwarte muszle małży, scyzoryk roztrzaskany dla ostrza, może na oścień. Palenisko. Stare skruszałe kosmetyki. Okienko samolotowe z pleksiglasu. Damski but. Kości. Odłamki kości. DNA potwierdzone badaniami żyjącej kuzynki z rodu Earhartów. To musiała być jej wyspa, ona i nawigator rozbitkami jak długo póki nie ulegli czemu? Z lotu ptaka atol: eliptyczna oaza z laguną w środku. Płaska zewnętrzna rafa jak parking. Lockheed electra z prędkością przeciągnięcia w konfiguracji do lądowania na poziomie pięćdziesięciu pięciu mil na godzinę potrzebowałaby siedmiuset stóp, nie więcej. Wlokąc skąpe zapasy na brzeg być może ranni. Może nie odpływ, może podwozie zerwane przez wodę. Może krew w wodzie. Wyczerpane paliwo nad Pacyfikiem wdzięczność za to co przynosi los. Że w ogóle dotarli na tę maleńką wyspę. Żyjąc o małżach i deszczówce.

Małżach i deszczówce.

I towarzystwem drugiego, tylko jednego.

Głód. Trawiący powoli i długo jak ogień mokre drewno. Wżerający się w kości, aż skóra i kości, potem jedno umiera, potem drugie. Albo zaatakowani przez przygodnych wyspiarzy może lepiej.

Tęskniąc za czym najbardziej przez cały czas? Wrzaskliwym bezimiennym tłumem, rozgłosem, przyjęciami, błyskiem fleszy? Kochankami, wesołością, szampanem? Samotnością wykrojoną ze sławy, studiowaniem map w świetle lampki przy szerokim biurku w szacownym hotelu? Obsługą hotelową, kawą przed świtem? Towarzystwem jednego przyjaciela, dwóch? Wyborem: Wszystko czy nie? Trochę czy wcale? Teraz, nie teraz, może później?

Nie mam tego teraz. Tych wyborów. A mimo to. Nie chcę wyczerpać paliwa i spaść w pustynne trawy zachodniej części doliny Gunnison i umrzeć, usiłując pokonać z Jasperem trzysta mil do domu. Dom. Chociaż skromny. Chociaż do stracenia nie mam nic. Nic to jednak coś.

*

Jasper warknął. Przysnąłem w swojej zadumie.

Nisko, nieprzyjemnie, poważnie.

Wstrzymałem oddech, nasłuchiwałem. Powoli usiadłem. Jest prawie głuchy, owszem, ale węch ma dobry.

To mogły być kojoty. Albo wilki. Górskie wilki przez ostatnie dwa lata: schodzą z gór zmizerowanymi watahami. Coraz większy napór odradzającej się populacji. Bo dawniej były tu dość liczne i znów są.

Jasper warknął teraz w mrok i poderwałem się z pościeli z walącym sercem. Szepnąłem Zostań i wczołgałem się na szczyt nasypu.

Jasper wie. Wie, kiedy sytuacja robi się poważna.

Usiadł i umilkł w połowie warknięcia i spojrzał na mnie z prawdziwą troską ale też z czujnym spokojem myśliwego który dobrze się bawi. Był podekscytowany. Ja też. To nie zdarzało się od dawna, może od pół roku, i czułem się trochę ślamazarny, jakbym wyszedł z wprawy. Kilka lat temu byłbym już na szczycie nasypu, lustrując w goglach, z lewą dłonią na korpusie AR. Teraz musiałem wyciągnąć karabin spomiędzy zimnego wilgotnego brezentu i worka. Obok niego gogle w starej wełnianej skarpecie. Przynajmniej pamiętałem jeszcze, żeby je zabrać ze sobą na noc. Oparłem gogle o czoło i naciągnąłem pasek na tył głowy i powoli, cicho, chwyciłem i pociągnąłem dźwignię przeładowania. Wspiąłem się na nasyp wolno, ostrożniej.

Jasper siedział bez ruchu. Walcząc z chęcią tropienia zapachu w ciemności. A może jakiegoś dźwięku, jakiegoś dźwięku na jakiejś częstotliwości, która przebijała się przez jego niemal zupełną głuchotę. Wspinałem się powoli po stromej tylnej części nasypu. Modliłem się o kojoty, nawet wilki. Nie w nastroju do zabijania, ani trochę. Ani sam, ani wystawiając Bangleyowi.

Na górze wsunąłem karabin płasko na gładką powierzchnię i położyłem się na zimnej ziemi i podciągałem się wyżej, żeby widzieć zza krawędzi.

W świetle żarówki na werandzie zobaczyłem ich. Raz dwa trzyczterypięć… *i okiełznać go razdwatrzyczterypięć zupełniejakgołąbka*… Pięciu mężczyzn wszyscy dorośli może poza jednym mniejszym może młodszym.

Cholera.

Tamtego pierwszego lata z ogromnym wysiłkiem podważyliśmy i przewróciliśmy kontener na śmieci jakieś sto stóp na południe od domu. Leżał na boku, górny otwór zionął czernią. Brzeg potoku był stromy i wysoki. Strumień opływał go tak, że lotnisko znajdowało się w zakolu. Idealna fosa. Jedynym dobrym brodem był szlak, który prowadził do tego domu, jedynego, który oświetliliśmy. Więc oczywiście stłoczyli się przy kontenerze, na południe od niego w cieniu żarówki, osłonięci od domu w którym – jak każdy poza zawodowym żołnierzem – widzieli zagrożenie i cel.

Owce na rzeź. Czy jakakolwiek inna nieszczęsna metafora nieszczęśników, których wkrótce czeka śmierć.

Zabijam jelenie. Nie mam żadnego problemu z zabijaniem jeleni. Sprawianiem, rozbieraniem, jedzeniem.

Serce wali teraz jak ślepe zwierzę usiłuje wyrwać się z klatki piersiowej. Zsunąłem po omacku dłoń do paska i nacisnąłem boki

krótkofalówki, kciukiem pstrykając przycisk mikrofonu trzy razy. Potem trzy potem trzy. Potem zacząłem liczyć. Zanim dojdę do dwustu Bangley pojawi się za mną niespiesznie niosąc dwa karabiny: szturmowy M4 i jakiś snajperski, pewnie AR-10 kaliber .308. Liczyłem cicho i przełożyłem broń na jeden z worków z piaskiem na nasypie i wcisnąłem łoże w prawe ramię, i ustawiłem celownik. Dziewięćdziesiąt stóp. Wymierzyliśmy to co do cala.

Stotrzydzieścijeden stotrzydzieścidwa

Siedzieli przykucnięci i naradzali się, szeptem, nie słyszałem ich. Wiatr był lekki, chłodny na moim karku, zachodni ode mnie do nich. Niósł dźwięki. Bardzo wolno odbezpieczyłem karabin, usłyszałem szczęk, grymas, wydawał się głośny, przestawiłem małą dźwignię do przodu na pełen automat.

Stosiedemdziesiątdziewięć stoosiemdziesiąt

Nie byli nawet niezawodowcami. Siedzieli przykucnięci razem jak jeden cel, z tej odległości nawet jeden wypełniał wizjer, bardziej niż wypełniał. Byli rolnikami ubezpieczycielami mechanikami. Prawdopodobnie. Nieszczęsna gromadka. Ale. Przesunąłem celownik, wystarczyło leciutko napiąć mięśnia ramienia, i przyjrzałem się im i byli uzbrojeni, każdy z nich. Kiedy patrzyłem, obraz w wizjerze drgał od łomotu mojego serca. Na tym etapie byli mordercami. To znaczy na tym etapie naszej współzawinionej historii. Kto ma ocenić ilu i z jakim okrucieństwem. Na tym etapie obrali wspólnie strategię ataku z bronią w ręku. Na kto wie jaką resztę rodziny, która zdołała przetrwać w tym domu. I.

Uderzyło mnie okrucieństwo tego wszystkiego: ich w stosunku do domu, nieistniejącej rodziny, moje wobec nich, że ktokolwiek z nas znalazł się w tej sytuacji. *Kurwa Hig, nie myśl tyle. Pozabijasz nas wszystkich* lubił warknąć Bangley.

Dwieściepięć dwieściesześć. Ani śladu Bangleya. Co jest kurwa. Nigdy dotąd, zawsze zjawiał się przy dwustu, zwykle wcześniej.

Odsunąłem oko od okularu i zwróciłem głowę w lewo. Żadnej postaci, żadnego nadchodzącego Bangleya. Kurwa. Oko z powrotem przy celowniku. Dłoń na osłonie spustu drżąca. Zaczyna drżeć.

Naradzali się. Drżącą lewą dłonią przestawiłem dźwignię, która odblokowała celownik optyczny i wysunąłem go z prowadnicy, żeby nie zasłaniał przeziernika. Miałem teraz szersze pole widzenia.

Nawet jako chłopiec najmniej lubiłem moment zabijania. Uwielbiałem polować z moim Wujem Petem. Był niereformowalnym człowiekiem pióra i czynu w rodzaju Ernesta Hemingwaya i Jacka Londona, tyle że uczył tańca towarzyskiego. Na statkach wycieczkowych. Razem z Ciotką Louise pracowali tak przez jakieś dwadzieścia lat i ona umarła a mój zazwyczaj żywiołowy i gadatliwy wujek zrobił się cichy, bardziej poważny. Nadal fajny. Nie radził sobie zbyt dobrze ani z jednym ani z drugim – ani z piórem ani z czynem – ale byłem w niego zapatrzony przez długi czas, dłużej niż to było konieczne, i poszedłem z nim na pierwsze polowanie na łosia, kiedy miałem dwanaście lat.

Byłem dobry. To znaczy szybko orientowałem się w terenie i siedliskach, prawie jakbym wychował się w Plemieniu Jelenia, i byłem cicho i uważałem na kierunek wiatru i świst gałęzi na cordurze mojego plecaka i maskujący szum wody, i byłem świetnym tropicielem i pomagałem w obozie i o piątej rano prawie wyskakiwałem ze śpiwora na lodowaty chłód wciąż jeszcze górskiej listopadowej nocy. Uwielbiałem to wszystko i na pozór nie miałem żadnego problemu z namierzeniem klępy, poza tym jak przewróciła się na osuwisku kiedy strzeliłem, potykając się i waląc do przodu, i tym jak jej oko rozbłysło i jak rzucała bezużytecznymi już nogami na boki na skałach zanim w panice strzeliłem jeszcze raz prosto

w głowę i życie uszło z jej oka i jej nóg, a potem tym, jak gdy ją oprawiałem krew wylała się na zamarzniętą ziemię i zrobiła się różowa od ciepłego mleka z sutków nadal pełnych pokarmu.

Nie podobało mi się to. Robiłem to później co roku przez wiele lat i uwielbiałem każdy moment łącznie z trzymaniem mięsa łosia w zamrażarce, tylko nie to. Nie lubię nawet zabijać owadów.

Dwieściedwadzieściatrzy dwieściedwadzieściacztery

Ani śladu Bangleya. Raz próbowałem negocjować. Nigdy nie byłem bliżej śmierci.

Koniec z dawnymi zasadami Hig. Ich już nie ma jak dzięciołów. Odeszły razem z lodowcami i rządem. Teraz to nowy świat. Nowy świat nowe zasady. Nigdy nie negocjuj.

Uwielbiał to powtarzać zanim wymierzy żeby kogoś rozwalić.

Pięciu to spora banda, największa jaką mieliśmy tu od paru lat. Siedzieli przykucnięci, największy najbliżej kontenera miał karabin z celownikiem, był wykręcony do tyłu zajęty mówieniem, pokazywał coś prawą ręką, dotykał przekrzywionej dokerki na głowie, ten tuż obok niego miał jakiś karabin szturmowy pewnie kałasznikowa, trzej pozostali: dwie śrutówki i karabinek ranch rifle, wszyscy dobrze widoczni przez gogle z dziewięćdziesięciu stóp. Trzeci od lewej ze śrutówką miał kowbojski kapelusz niski facet w dużym kapeluszu. Siedzieli w grupie i kiwali głowami i mieli zamiar ruszyć. Dłoń mi zadrżała. Nigdy nie będą tak zwartym celem.

Zamierzałem iść od prawej do lewej. Pełen automat. Ustawiłem przeziernik centralnie na bryle postaci ostatniego z nich i zamierzałem posłać im serię na wysokości brzucha.

Przesunąłem prawy palec wskazujący na zimny spust, wziąłem głęboki oddech, głęboki żyjący oddech który wypuszczę powoli tak

jak tego uczą i Roztrzaskała się. Noc. Nie ja. Pulsujące płomienie buchnęły poniżej mnie na prawo, zwaliste cielsko ciężarówki, kaskadowy huk ognia maszynowego, grupa w zasięgu mojego wzroku ulega entropii, czerwona kropka krąży jak śmiercionośny insekt, wyrzucając ich cienie do góry i w dół, gdzie połyka je zielona ziemia.

Nie ja.

Nie pociągnąłem za spust.

Wrzask i krzyk, jeden jęczy inny się zwija, i skowyt, zobaczyłem jak Bangley wychodzi zza ciężarówki wyjmuje z kabury swoją czterdziestkę piątkę idzie spokojnie przez otwarty teren i trzy strzały, krzyczący nagle umilkli.

Lekki wiatr, zimno. Krew tętni mi w uszach, wypłukując krzyki. Cisza.

Podniósł rozrzucone karabiny, zarzucił sobie wszystkie pięć. Obszedł nasyp, zrzucił broń, słyszałem jej szczęk na ziemi, powiedział coś cicho do Jaspera, wspiął się do mnie na górę, gdzie wciąż leżałem na brzuchu, powiedziałbym wciąż sparaliżowany z palcem na spuście, ale raczej po prostu obezwładniony niedowierzaniem.

Co jest kurwa.

Dobrze powiedział. Dobra robota. Nie byłem pewny czy jeszcze to w sobie masz.

Miał na myśli że bym to zrobił. Że mój palec poruszył się na spuście. Zanim wkroczył do akcji.

Bangley co jest kurwa. Nie byłeś pewny czy jeszcze co w sobie mam?

Cisza. Wiedział że wiem co.

Nigdy tego kurwa w sobie nie miałem. Ale to robię. Co ty sobie kurwa wyobrażasz? A gdybym cię zobaczył i wziął za jednego z nich?

Nie ma takiej opcji: Ty widzisz mnie. Niemożliwe. Nic z tych rzeczy.

Otworzyłem usta, zamknąłem je. Powiedziałem: niewiarykurwagodne. A gdyby się rozdzielili. To znaczy po prostu zaatakowali. Wcześniej.

Cisza. Wiedział że teraz wiem że od pierwszej chwili miał ich pod kontrolą.

A skąd do diabła wiedziałeś że mam właśnie pociągnąć za spust i dlaczego? Nie pozwoliłeś na to?

Cisza. Wiedział że teraz wiem że obserwował mnie dokładniej niż ich. Wpatrywał się w mój pieprzony palec, kątem oka obserwując ludzi którzy mogli nas zabić. Cały czas miał ich na muszce. Odpuścił sobie dopiero kiedy zobaczył jak biorę ten głęboki oddech być może. Widzę go oczami wyobraźni jak pociąga za spust mierząc w kierunku pierwszego mężczyzny jeszcze na ślepo, obserwując mnie wcześniej przez precyzyjny noktowizor na nóżkach, obserwując jak wzdrygam się przerażony zdumiony, a potem od niechcenia ale sprawnie nachyla się nad swoją bronią i roznosi resztę grupy. Nie roznosi. Bangley nie wierzy w pełny automat. Pewnie po dwa strzały na każdy ogarnięty paniką cień. P-PAF. Każdy równie szybki. Może posyłając ich dusze na tamten świat przez cały czas śmiał się z mojej konsternacji.

Chono Hig. Pokażę ci coś.

Przechodzi przez wierzchołek nasypu i schodzi na ziemię. Jasper wciąż na dole, po tej stronie, drżący. Nie ze strachu. Widzę go w świetle gwiazd. Siedzi wyprostowany, śledząc moje ruchy z niepokojem, powstrzymując się przed jakimkolwiek działaniem,

ktoś kto wykonuje swoje zadanie, wyłącznie swoje zadanie, tak jak należy.

Chodź. Gwiżdżę cicho. Wskakuje, nie jak za dawnych czasów ale nadal dość szybko na nasyp i na drugą stronę. Bangley stoi na dole wśród czarnych postaci rozciągniętych na ziemi. Jasper już chodzi od jednej do drugiej, nie zatrzymuje się, węszy, nisko warczy.

Spójrz na to Hig. Nie powinni byli tego robić.

Nie wydaje się niezadowolony.

Bangley sięgnął w górę i włączył ledową czołówkę przymocowaną do czapki. Czapkę ma tyłem do przodu. Oświetla niskiego mężczyznę, tego w kowbojskim kapeluszu, kapelusz potoczył się do kanału melioracyjnego. To chłopiec. Może dziewięciolatek. Mniej więcej w tym wieku. Melissa w siódmym miesiącu ciąży kiedy. Dziewięć lat temu. Ten chłopiec jest chudy, potargane i splątane włosy. Z wplecionym piórem jastrzębia. Twarz zapadnięta, cień zbrukany błotem i życiem pod gołym niebem. Dziewięć lat czegoś takiego. Układania puzzli tego świata w jakiś potworny obraz w swojej głowie żeby skończyć jako statysta w farsie Bangleya.

Chrząka. Broń w rękach dzieci. Powinni go byli zostawić.

Gdzie?

Bangley wzrusza ramionami, podnosi głowę, światło prosto w oczy, oślepiające.

Krzywię się pod jaskrawym gromem bieli ale nie odwracam.

Wtedy jutro wyszedłby głodny ze strumienia a ty zastrzeliłbyś go jak pozostałych, tylko w pełnym słońcu i z trzystu jardów nie trzydziestu.

Nie widzę nic oprócz światła ale wiem że uśmiech Bangleya jest szeroki i ponury.

Hig niczego się nie nauczyłeś przez cały ten cholerny czas. Żyjesz przeszłością. Zastanawiam się czy ty w ogóle cokolwiek doceniasz. Szlag by to.

Odchodzi. Ma na myśli, czy na to zasługuję. Żeby żyć.

Zabieram się nie przeszkadzam Jasperowi. Pochowamy ich jutro.

Oto co robię, zrobiłem: odcinam pośladki ramiona piersi łydki. Kroję w cienkie plastry namaczam w solance i robię suszone mięso dla Jaspera na dni pomiędzy. Pamiętacie historię o tej drużynie rugbistów w Andach. Zwłoki były zwłokami już martwymi. Zrobili to żeby przeżyć. W niczym się od nich nie różnię. Robię to dla niego. Jem sarninę, ryby z dna strumienia i mniejsze rybki, króliki. Trzymam jego suszone mięso w szczelnych kubłach. Lubi je najbardziej ze wszystkiego co ma do jedzenia, na pewno z powodu soli. Jutro znów to zrobię ale nie chłopca, pochowam go bez żadnej czułości czy żalu po prostu w jednym kawałku z jego piórem jastrzębia.

Że do tego doszło: zmieniamy własne zakazy zapominamy o pierwotnych przyczynach ale wciąż toniemy w przestrogach. Obchodzę z powrotem nasyp. Powinienem położyć się znów pod naszymi kocami i spać z głową przy nasypie przypominającym szeroki nagrobek. Żeby rano mieć siłę latać. Nie będę spał przez całą noc. Kładę karabin, tylko karabin, wciskam go z powrotem pod worek i idę dalej.

II

W tamtym czasie zacząłem latać z poczuciem że robię coś do czego zostałem stworzony. Takie wrażenie ma wielu ludzi którzy latają, a według mnie wynika to bardziej z jakiegoś genu wierzchołka drzewa albo wierzchołka góry niż z uczucia bezgranicznej wolności czy wizji odżywającej nadziei. To, jak ziemia poniżej się rozwiewa. To jak krajobraz układa się wokół dorzeczy, kapilar i arterii spływającej wody: ściśnięte i pomarszczone zbocza górskie, które wrzynają się w bruzdy żlebów i strumyków, rysy i rozpadliny, niższe miejsca, które wyznaczają granie i łańcuchy i pogórza, tak jak zmarszczki wyznaczają płaszczyzny twarzy, niżej załomy kanionu a dalej mokradła i doliny najniższych zboczy, kręte rzeki i wyschnięte koryta, gdzie kiedyś płynęła woda, które sprawiają wrażenie, jakby to one spajały ze sobą wzniesienia i fale wyżyn, a nie na odwrót. To jak osiedla rozciągają się, a potem skupiają nad tymi rzekami i tłoczą przy każdym ujściu. Pomyślałem: Ten widok powinien nas zaskakiwać, ale tak nie jest. Już to widzieliśmy i interpretujemy teren poniżej z taką samą łatwością z jaką chodzimy po brzegach strumienia i wiemy gdzie stawiać stopy.

Ale tym, co pokochałem najmocniej od pierwszego lotu szkoleniowego, była harmonia, wrażenie że wszystko jest na właściwym miejscu. Farmy na swoich kwadratowych poletkach, drogi dzielące przestrzeń wzdłuż głównych kierunków świata, wiatrochrony kładące się rano długim cieniem na zachód, okrągłe bele siana i rozsiane tu i ówdzie bydło i konie, równie doskonałe w swoim rozproszeniu jak skupiska gwiazd i połyskujące tym samym rdzawym słońcem, pikapy na podwórzach, osiedla przyczep kempingowych w ukośnych rzędach, podmiejskie domki szeregowe o powtarzalnych, bocznie oświetlonych pochyłościach dachów, boiska do baseballu i owalne tory gokartowe, nawet złomowiska dokładnie takie jak

trzeba, nierówne rzędy zardzewiałych samochodów i sterty metalu równie nieuniknione i urocze jak topole amerykańskie rzucające długie cienie na brzegi rzek. Biała smuga z komina elektrowni odchylona na wschód porannym wiatrem, czysta jak bawełniany puch. Tak było kiedyś. Z góry nie było widać rozpaczy, cierpienia, konfliktów, tylko wzory i doskonałość. Nieśmiertelny bezruch pejzażu na płótnie. *W gałęziach nie jękną zimowe wichry*… Nawet błyskające światła karetki pogotowia na pasie autostrady pulsowały uspokajającym rytmem niczym świerszcz.

I przez pewien czas latając, widząc wszystko tak jak widziałby to jastrząb, w jakiś sposób sam uwalniam się od kłopotliwych szczegółów: nie jestem chory z rozpaczy ani mniej sprawny ani samotny ani kimś kto żyje z odium że zabił i według wszelkiego prawdopodobieństwa znów zabije. Jestem kimś, kto leci nad tym wszystkim, spoglądając w dół. Nic nie może mnie dotknąć.

Nie ma komu tego opowiedzieć a jednak bardzo ważne wydaje się żeby to uchwycić. Rzeczywistość i jak to jest od niej uciec. Że nawet teraz piękno jest czasem nie do zniesienia.

Zastanawiam się też nad wewnętrzną konstrukcją Bangleya i wszystkich jemu podobnych. Jest mu tak dobrze z samotnością jak nucie rozbrzmiewającej w dzwonie. Wybiera ją. Będzie jej bronił do śmierci. Żyje, żeby jej bronić, tak jak sokół wędrowny żyje, żeby zabijać inne ptaki w locie. Nie chce pokazać, jak śmierć i piękno splatają się w jego wnętrzu.

Zabrałem go ze sobą w tygodniu kiedy się pojawił. Chciał zrobić rekonesans pogranicza, naszych najsłabszych punktów dostępu. Wcisnąłem go w fotel pasażera i dałem mu słuchawki, żeby mógł ze mną rozmawiać. Zataczałem coraz większe kręgi i wznosiłem się jak jastrząb. Poranek, dobra widoczność, wąwozy jeszcze zacienione, porażająca biel stada mew między nami a ziemią.

Druidzi. Zejdź niżej.

Nigdy wcześniej nie słyszałem tego słowa.

Spotkałem ich po drodze, powiedział. Mają chorobę krwi. Krzyknąłem przez podwórko. Zastrzeliłem dwóch którzy podeszli za blisko. Szkoda że nie mam przy sobie bomby zapalającej.

Zerknąłem na niego. Totalny wstrząs. Nigdy o tym nie słyszałem, ale nic dziwnego, skąd mieli wiedzieć że zadekował się ze mną, mój partner.

Kilkoro obdartych dzieci wybiegło z zagrody dla indyków i machało, podskakiwało. Bangley obrócił zgarbione ramiona wciśnięte w ciasny fotel, żeby na mnie spojrzeć.

Znają cię?

Tak. Pomagam im. Nie są druidami, to menonici.

Poczułem jego oczy na boku twarzy a później ich brak. Nie odzywał się przez resztę lotu, nawet kiedy lecieliśmy wzdłuż linii gór i zobaczyliśmy świeży śnieg zwiewany z grzbietu skał.

III

Więc zastanawiam się, skąd ta potrzeba opowiadania.

Jakiegoś ożywienia tego martwego bezruchu przemożnego piękna. Tchnięcia życia przez opowiadanie.

Pewnie na przekór strategii Bangleya żeby zabić praktycznie wszystko co się rusza.

*

W noc tego jednostronnego starcia, w którym nie pociągnąłem za spust, minąłem zachodnie hangary i poszedłem dalej. Jasper ma dobry węch i wiedziałem, że gdyby podniósł wzrok i zrobił się niespokojny, przybiegłby za mną. Nie chciałem gwizdać i przerywać mu uczty a znałem Bangleya na tyle by wiedzieć, że miał dość zabijania na jedną noc, żeby czepiać się mojego psa. Nie wziąłem gogli karabinu. Bangley zawsze ma przy sobie broń, pewnie kładzie się z nią spać. Nigdy nie widziałem, żeby spał, ale zastanawiam się ile nocy patrzył jak drzemiemy u podnóża nasypu. Tyle mnie wkurza w tym człowieku, ale to jest najgorsze, to poczucie nieustannej inwigilacji. Nauczyłem się z tym żyć, tak jak Indianie Kri w Kanadzie muszą żyć z chmarami komarów. Musieli żyć. Ale coś jeszcze nie daje mi spokoju: jeśli uzna że ataki są na tyle rzadkie, że może sam bronić tego miejsca, albo jeśli moje wizyty u rodzin staną się zbyt ryzykowne, może zabić nas obu, mnie i Jaspera, bez żadnych przeszkód, dwoma łatwymi strzałami pięćdziesiąt kroków od swojej werandy. Więc w tym sensie głupio robię, że śpię na zewnątrz, z drugiej strony gdyby Bangley chciał mnie zabić, miałby mnóstwo okazji każdego dnia, więc od początku postanowiłem dokonywać codziennych wyborów, nie uwzględniając w tych kalkulacjach Pana Śmierci.

I tak, w ten sposób, myślałem, mijając ostatnie hangary na zachodzie i oddalając się od naszej jedynej zapalonej żarówki na jedynej werandzie w stronę niezupełnej ciemności rozgwieżdżonych równin, myślałem, że w ten sposób wizyta tych pięciu mężczyzn stała się dla mnie swoistą gwarancją przeżycia przynajmniej przez jakiś czas. Przez jakiś czas Jasper i ja byliśmy niezbędni, chociaż Bangley, w fazie zabijania, zlikwidował całą grupę praktycznie z zamkniętymi oczami.

Obszedłem stary zbiornik paliwa, zielony w świetle dnia, teraz czarny, górujący w wysokim krzaku szałwii, a stopy same poprowadziły mnie na przetarty szlak w góry. Mój szlak. Ten, który Jasper i ja przecieraliśmy od dziewięciu lat, i Bangley do swojej wieży. Lotnisko Erie nie miało wieży kontrolnej, to był teren niekontrolowany, czyli piloci po prostu kontaktowali się ze sobą i ustalali wszystko według używanego od dawna protokołu, ale Bangley i ja zbudowaliśmy własną wieżę na równinie cztery mile od lotniska w połowie drogi do podnóża gór, i ta wieża miała służyć do zabijania. Pracowaliśmy nad nią dwa miesiące, wykorzystując materiały ze żmudnej rozbiórki brzydkiego zwalistego drewnianego budynku przy Piper Lane, który przypominał mi szkołę z lat siedemdziesiątych. Przewieźliśmy drewno jego pikapem, kiedy jeszcze był na chodzie, i w jego przyczepie, tej z którą przyjechał pełną karabinów, wszelkiego rodzaju śmiercionośnej broni, min i jedzenia w puszkach, i amunicji. Przewieźliśmy też agregat z jednego z niepodłączonych do prądu hangarów po północnej stronie i napędzaliśmy go paliwem lotniczym, żeby zasilić piły i wiertarki. Bangley nie był urodzonym cieślą i wtedy pierwszy i jedyny raz widziałem, żeby oddawał się pracy fizycznej z jakimkolwiek entuzjazmem, motywowany jak teraz wiem wizją czystej, dalekiej linii strzału ze swojej czterysta ósemki. Nie mógł się doczekać aż wejdzie na górną platformę i zainstaluje stanowisko strzeleckie i zatrzask obrotowy, które projektował wiele godzin przy

biurku. Oddzielny stojak na swoją lunetę obserwacyjną i kolejny na dalmierz laserowy. Przy czym niczego – ani karabinu, ani lunety, ani dalmierza – nigdy nie zostawiał na wieży. Ale zostawił wskaźnik prędkości / kierunku wiatru na osobnym maszcie w miejscu, gdzie wiatr nie odbija się od dachów, i zostawił swoje tablice balistyczne w wygodnej szufladzie z wczepami na jaskółczy ogon, którą dla niego zrobiłem.

Preferował odległość tysiąca czterystu jardów. Na tyle blisko, żeby przy jego umiejętnościach zagwarantować zabicie ofiary, ale na tyle daleko, by połechtać sobie dumę. Co oznacza że na szlaku znajdował się punkt, skąd przez lata wielu ludzi oglądało ten świat po raz ostatni. Miejsce dosłownie skąpane we krwi. Ziemia między wysokim krzakiem szałwii po południowej stronie szlaku a wysokim gęstym krzewem o żółtych kwiatach po północnej była tu czarna od miedzianych minerałów z przelanej krwi, przebarwiona tak jak miejsce na podwórku czy podjeździe, gdzie wymienia się olej w samochodzie. Tej nocy przeszedłem te cztery mile i jeszcze czterysta jardów i nie zajęło mi to nawet godziny. Nie zważałem na odległość i nie zważałem na czas. W moim kalendarzu była noc dwudziestego pierwszego kwietnia, która o ile wiem nie jest żadnym przesileniem ani równonocą, ale i tak wydaje mi się ważna jak dwudziesty pierwszy dzień każdego miesiąca. A Melissa miała urodziny. Nie lubiła przyjęć, więc nigdy żadnego nie urządziliśmy. Chodziliśmy na spokojne kolacje, zwykle na sushi, które uważała za absurdalnie dekadencką postać jedzenia, ale mimo to uwielbiała mniej więcej dwa razy w roku. Pod koniec nie było już jej ulubionych, tuńczyka i serioli i dzikiego łososia, a ceny większości pozostałych zrobiły się tak wysokie, że po prostu przestaliśmy chodzić.

Zawsze dawałem jej książkę. Jakieś stare wydanie w twardej oprawie z tego samego działu w antykwariacie, w którym można było znaleźć przygody braci Hardy i Nancy Drew, i pachnące stęchlizną

pobazgrolone *Hobbity*, często z podartą lub brakującą obwolutą. Ale jakiś motyw z okładkowej ilustracji był wytłoczony na tkaninie oprawy, koń stojący dęba albo starożytny elf, i można było zamknąć oczy i przesunąć dłońmi po ziarnistej powierzchni i poczuć rącze krągłości wierzgającego mustanga, rozgałęzioną koronę rozłożystego drzewa.

Najbardziej podobał mi się ilustrowany przewodnik po stworzeniach żyjących w stawie. Jakiś bardzo młody czytelnik zrobił notatki ołówkiem na każdej stronie.

Pod obrazkiem wydry:
Kocham wydrę

Pod piżmakiem:
Kocham piżmaka

Bóbr:
Kocham bobra

*

Minąłem wieżę w ciemności. Ścieżka przez krzaki pochłaniała i oddawała światło z Drogi Mlecznej i była kręta i jasno oświetlona. Przeszedłem nad punktem strzału, nad czarną plamą, która nie była cieniem szałwii. Nie wzdrygnąłem się i nie poczułem właściwie nic. Poczułem wiatr. Wiał od zachodu z gór i powinien być zimny i nieść mroźny zapach śniegu, ale był ciepły i pachniał ziemią i cedrem z niższych zboczy, i świerkiem z wyższych. Jak skała wyłaniająca się z lodu. Porostami i mchem. Tak mi się wydawało. Pachniał wiosną.

W połowie kwietnia za wcześnie na prawdziwą odwilż, ale podział na pory roku należał raczej do przeszłości. Tej zimy mieliśmy w górach śnieg, ale przez dwa poprzednie lata szczyty były suche, prawie nagie. To przerażało mnie bardziej niż ataki czy choroba.

Utrata pstrąga była przykra. Utrata strumienia to zupełnie inna sprawa.

Nadal łowiłem ryby w górach. Pstrągi odeszły, ponieważ w potokach zrobiło się za ciepło, ale łowiłem czukuczany i karpie, używając nimf przy dnie jak dawniej i pokonując wstręt, kiedy łapałem czukuczana, ten ospały opór, którego nie można nazwać walką, i te wydęte usta, i te łuski. Na siłę przyzwyczaiłem się do smaku i ości. Teraz, kiedy nie ma pstrągów, ich niszę zajęły karpie i coraz częściej szukają pokarmu przy powierzchni, więc czasami łowiłem na suchą muchę. Nigdy nie przynosiłem ich Bangleyowi, on by nie zrozumiał. Poświęconych godzin. Ryzyka takiego zaabsorbowania przy strumieniu, który był szlakiem tranzytowym zarówno dla zwierząt, jak i wędrowców.

Ale ja rozumiałem. On by to nazwał Rekreacją, bo tak nazywał z pogardą wszystko co nie dotyczyło bezpośrednio naszego przetrwania albo zabijania, albo planowania jak zabić, co sprowadzało się do tego samego. *Chryste Hig chyba nie zajmujemy się tu Rekreacją co? Niech to szlag.* Polowanie na jelenie to co innego. Ilość wysokiej jakości białka z jednej udanej wyprawy dzielona przez ryzyko. Fakt, że chciałem iść, że potrzebowałem tego – pójść tam, wyrwać się, oddychać tym powietrzem – pomijał. Gdybym tego nie znosił, byłby bardziej zadowolony. To samo z lataniem. Wiedział że latanie było dla mnie w jakiś sposób życiem, a jednak trudno zliczyć ile razy wiadomości z patrolu prawdopodobnie nas uratowały.

Nie był moim szefem i robiłem co chciałem, ale nie krył się ze swoją dezaprobatą i po jakimś czasie łatwiej było nie afiszować się przed nim z takimi rzeczami. Lepiej nie podnosić alarmu bez potrzeby.

Łowiłem ryby. Opierałem plecak o zielone jeszcze drzewo. Sanie z kajaka. Mój sztucer. Mijałem drzewa zaatakowane przez

chrząszcze, martwe pnie, które łamały się na wietrze i padały, i wchodziłem głębiej w zieleń. Zawsze łowiłem w takiej części lasu, która nie umarła albo która się odradzała. Odstawiałem plecak i wdychałem zapach płynącej wody, zimnych skał, jodły i świerku, jak saszetki, które moja mama trzymała kiedyś w szufladzie ze skarpetkami. Oddychałem i dziękowałem czemuś, co nie było do końca Bogiem, czemuś, co wciąż tu było. Prawie mogłem sobie wyobrazić, że nadal jest przedtem, kiedy byliśmy młodzi a wiele rzeczy wciąż żyło.

Słuchałem strumienia i wiatru i patrzyłem jak porusza ciężkimi ciemnymi konarami. Zielony pyłek pokrył ciemną taflę poniżej. Korzenie drzewa odsłonięte na brzegu wiły się nad wodą, a stara pajęczyna kołysała się na wietrze między nimi i skrzyła jego rytmem.

Wyjmowałem cztery części wędki zawinięte we flanelę i łączyłem je ze sobą, sprawdzając przelotki i obracając lśniące metalowe pętelki tak, by znalazły się w jednej linii. To była wędka podróżna firmy Sage, mała czwórka, którą miałem od szkoły średniej. Ojciec dał mi ją na szesnaste urodziny, tuż po tym jak z nim zamieszkałem. Zmarł na raka trzustki rok później, zanim zdążył mi pokazać jak jej używać, ale w końcu nauczyłem się tego sam i od Wuja Pete'a.

Wyciągałem kołowrotek Orvis, który dostałem razem z wędką i który zawsze czyściłem i oliwiłem, nawet kiedy moje życie pod żadnym względem nie toczyło się gładko. Wsuwałem stopkę kołowrotka w aluminiowy otwór w korkowej rękojeści i dokręcałem śrubę. Śruba obejmowała całą wędkę i uchwyt i była głęboko tłoczona we wzór diamentów, co ułatwiało chwyt kciukiem i palcem wskazującym. Łatwo się obracała i mocno zaciskała.

To wszystko, te ruchy, ta kolejność, cisza, strumień i chlupot, szmer wody i wiatr szumiący igłami wysokich drzew. Kiedy napinałem żyłkę. Znałem to wszystko powtarzałem setki, a teraz pewnie tysiące

razy. To był rytuał który nie wymagał myślenia. Jak wciąganie skarpetek. Tyle że ten rytuał pozwalał mi dotknąć czegoś co wydawało się bardzo prawdziwe. To znaczy, łowiąc ryby zawsze przez całe życie odnajdywałem w sobie to co najlepsze. Moje skupienie i ostrożność, moją skłonność do ryzyka i moją miłość. Cierpliwość. Niezależnie od tego co się działo. Zacząłem łowić ryby zaraz po śmierci Taty i próbowałem je łowić tak, jak moim zdaniem robiłby to on. Co dziś wydaje się trochę dziwne: próba naśladowania człowieka, którego nigdy nie widziałem z wędką w ręku, i to z zapamiętaniem syna, któremu ten człowiek nigdy właściwie nie miał okazji być ojcem.

Kiedy w liceum zerwała ze mną dziewczyna, łowiłem. Kiedy w akcie frustracji i rozpaczy zarzuciłem pisanie czegokolwiek, łowiłem. Łowiłem, kiedy poznałem Melissę i ledwie śmiałem marzyć, że znalazłem kogoś, kogo mogę kochać miłością przewyższającą wszystko, co dotąd znałem. Łowiłem i łowiłem i łowiłem. Kiedy choroba zaatakowała pstrągi, łowiłem. I kiedy w końcu grypa odebrała mi ją w budynku przekształconym w szpital i zastawionym polówkami z umierającymi niecałe pięćset jardów od naszego domu, łowiłem.

Nie mogłem jej pochować. Została spalona z innymi. Łowiłem. Wśród rosnącego chaosu kurczących się zapasów i coraz dłuższych kolejek po benzynę i zamieszek, łowiłem ryby. Wtedy łowiłem już karpie na nimfę, tylko po to żeby się stamtąd wyrwać i iść brzegiem strumienia, którego kształty i nastroje znałem równie dobrze jak ciało mojej zmarłej żony. Przez wszystkie te lata na lotnisku chodziłem z wędką w góry. Odstawiałem plecak na ziemię i składałem wędkę i brałem oddech, a na ten znak Jasper kładł się na brzegu, skąd mógł śledzić bieg zdarzeń. Wkładałem lekkie buty do brodzenia, które przypominały buty za kostkę z lepką gumą na podeszwach, i schodziłem na gładkie skały pokryte kurzem i szare na powierzchni i wchodziłem do wody. Gdy tylko te rzeczne kamienie

zakrywała woda, ożywały kolorami, odcieniami zieleni i rudości i błękitu. Ja też. Tak się czułem. Gdy tylko zimno porażało mi stopy i spinało golenie.

Nie używałem już woderów. Lubiłem czuć, jak zimna woda opływa mi nogi.

Rozmyślałem, wspominałem to idąc ścieżką w stronę gór, i przyszło mi do głowy, że nie łowiłem ryb od ponad roku, ani razu przez ostatnie lato, i zastanawiałem się dlaczego i żałowałem, że nie mam przy sobie wędki i Jaspera, wystarczy plecak na jeden dzień i żadnej broni i pieprzyć Bangleya, nie zamierzałem nawet udawać, że idę na polowanie. Ale nie miałem. Żadnej z tych rzeczy. Szedłem tyle czasu, ile Orionowi zajmuje zajście za góry, jakieś półtorej godziny, i zatrzymałem się. Wziąłem oddech i rozejrzałem się pierwszy raz i zdałem sobie sprawę, że jestem bardzo blisko pierwszych drzew na zboczu. A byłem sam. Otrząsnąłem się z zadumy i prawie zawołałem Jaspera i uświadomiłem sobie, że pierwszy raz odkąd pamiętam nie było go ze mną. Lodowaty strach ścisnął mi żołądek i zawróciłem i biegłem całą drogę z powrotem na lotnisko.

IV

Szybko się ociepliło. Wiosna ustąpiła bez oporu. Dwa tygodnie wcześniej niż ostatnio według kalendarza, który nagryzmoliłem na tablicy w hangarze. Uznałem, że nie ma już ryzyka nocnych przymrozków i zaorałem ogród i wbiłem tyczki i siałem i sadziłem w łagodnym słońcu, które grzało mi kark i czyniło sierść na grzbiecie Jaspera przyjemnie gorącą pod moimi dłońmi.

Posadziłem te same rośliny, które sadzę co roku: fasolkę szparagową, ziemniaki, kukurydzę. Miałem też szpinak, uprawiałem go w inspekcie razem z małymi krzaczkami pomidorów, które wyhodowałem.

Pod sam koniec, kiedy uznałem że muszę szybko wydostać się z miasta, właśnie to wyniosłem z mojej własnej szopy za domem. Pokryty kurzem koszyk torebek z nasionami i wiadro sadzeniaków. Te same pięć, teraz sadzone po raz dziesiąty. Niedługo trzeba będzie wymienić się nasionami z rodzinami, żeby wzmocnić rośliny, nie mam pojęcia, czemu jeszcze tego nie zrobiłem. Przez kilka lat hodowałem sadzonki w ciepłej oranżerii jednej z rezydencji, ale marniały na trzaskającym mrozie za każdym razem, kiedy zimno brało górę nad ciepłem nagromadzonym w ceglanej podłodze. Nie chciało mi się wstawić tam piecyka, który by je ogrzał. Potem zrobiłem inspekt na szpinak, żebyśmy mogli go jeść przez cały rok, i na pomidory wiosną. Zwykle się udawało. Sadziłem ziemniaki później niż zwykle, żeby zbiory przypadły późno i wystarczyły na całą zimę. Mieliśmy tak dużo, i to tylko na nas dwóch, że wekowałem to, czego nie dalibyśmy rady zjeść, i trzymałem słoiki i kopiec ziemniaków w zimnej komórce w piwnicy mojego domu, tego z żarówką. Nigdy nie mówiłem o tym Bangleyowi, ale latem podrzucałem świeże warzywa a później i słoiki rodzinom, które też miały ogród ale nie umiały sobie z nim poradzić przez chorobę.

Tego popołudnia pod koniec kwietnia pracowałem powoli, ciesząc się ciepłym dniem i pozwalając, by słońce rozgrzało moje zimowe kości. Przez cały czas rozmawiałem z Jasperem.

Potrzebny nam kopczyk, zawołałem podnosząc łopatę. Potrzebne nam dwa rządki usypane ładnie pod ziemniaki.

Jasper zmarszczył czoło i przyznał mi rację, zadowolony, że może leżeć na kupce nagrzanego piachu i nadzorować pracę.

Hej, gdzie są te stare tyczki do fasoli? Gdzie je schowaliśmy?

Jasper zastrzygł uszami i rozchylił pysk w swojej wersji uśmiechu. Nie wiedział. Miał to w dupie.

Gdyby życie było tak proste, pomyślałem, jak wiele razy wcześniej. Proste jak życie psa.

Usypałem kopczyki na ziemniaki i zakopałem bulwy, każdą z oczkiem. Znalazłem pęknięte deski, które służyły nam za tyczki do fasoli, i wkopałem je i rozpiąłem między nimi sznurek i rozwiesiłem trzy linki na pędy wyższe niż sześć stóp. Niewiele rzeczy na ziemi przynosi tyle satysfakcji co ściana fasoli, której liście szeleszczą ci nad głową.

Nie spieszyło mi się. Czego nie posadzimy dziś, posadzimy jutro. Pewnie dość ciepło nawet na sadzenie kukurydzy. Nasze cienie zlały się na północy w południe, a potem rozciągnęły nad kanałami, kiedy wiosenne słońce przesunęło się na północny zachód. Nuciłem coś nieczysto. Melissa zawsze śmiała się z tej nieświadomej prawie melodii, którą powtarzałem dzień w dzień przy pracy. Zawsze ta sama niepiosenka. Otucha. Zrobiłem małą rynienkę na fasolę, rozsypałem w niej nasiona i dokładnie przykryłem. Pył wzniesiony przy kopaniu pokrył mi włoski na rękach i rozmazał się na twarzy, kiedy potarłem nos grzbietem dłoni. Ze stawu powstałego dzięki tamie na potoku zassałem wodę do płytkiego rowu u szczytu ogrodu

i przerwałem strumień w czterech miejscach łopatą żeby woda spływała do kanałów. Srebrne bruzdy w przekopanej ziemi połyskiwały czerwonawo i metalicznie w niskim słońcu. Czerniąc glebę po obu stronach. Jeszcze tej nocy wszystkie sadzonki będą nawodnione.

Byłem zmęczony. Jutro zasadzę resztę, pomidory i kukurydzę. Pojutrze jeśli pogoda będzie ładna Jasper i ja weźmiemy sanie i tym razem wędkę muchową i pójdziemy w góry zapolować na wiosennego jelenia.

Jelenie wędrowały po równinach ale skądś wiedziały żeby omijać lotnisko a nie najlepiej mi szło tropienie ich na otwartej prerii. Ja polowałem w górach i tak czy inaczej chciałem tam pójść zanim potoki wezbrą za wysoko.

Czasem Bangley rozstawiał się na drugim piętrze swojego domu z workiem piasku w otwartym oknie i dla zabawy strzelał do wszystkiego co zobaczył. Zabił dwa szare wilki z dużej odległości ale od tego czasu one też trzymały się z daleka. Przyszył futro z kołnierza do kaptura swojej zimowej kurtki wojskowej i nosił je jak trofeum.

Stałem na skraju nowego ogrodu, patrząc jak słońce dotyka gór i czerwieni przekopaną ziemię i strumyczki wody i mogę powiedzieć, że czułem w środku coś na kształt szczęścia.

Nigdy bym tego nie nazwał. Nie wtedy. Ze strachu. Ale nazywam to teraz.

Chodź, Jasp.

Wbiłem łopatę w sypką ziemię na jutro i ruszyłem w stronę hangaru i usłyszałem stłumione odgłosy stąpania, kiedy Jasper otrzepał się i potruchtał za mną.

*

Dwa dni, powiedziałem. Może trzy.

Upchnąłem dwugalonowe torby Ziplock z suszonym mięsem dla Jaspera na dno plecaka. Już dawno po mdłościach. Wuj Pete powiedział mi: Można się przyzwyczaić do przechodzenia przez martwego kozła na progu. A co z martwym człowiekiem?

Dlaczego trzy? spytał Bangley.

Wcisnąłem do środka sweter, luźny brązowy poplamiony sweter, który zamówiłem w sklepie Cabela's przed trzydziestką i od tamtej pory zabierałem na każdą wyprawę do lasu. Na wierzch położyłem torby z suszonym mięsem dla mnie, sarniną, i zwiniętą nylonową plandekę, z której robiłem szałas, i szpulkę linki spadochronowej.

Dlaczego dwa, trzy? Mnóstwo śniegu Hig. Jelenie powinny być nisko.

Żaden powód nie przychodził mi do głowy więc powiedziałem: Ostatnim razem w listopadzie widziałem ślady łosia. Przysięgam. Wiem że uważasz to za bzdury ale ja je widziałem. Ślady dużej klępy. Chcę się trochę rozejrzeć. Chryste, gdybyśmy dorwali łosia.

Nie patrzyłem na niego. Cisza.

Byliśmy jak małżeństwo, które nie umie już mówić prawdy o tym co najważniejsze. Nigdy nie kłamałem Melissie w żadnej sprawie poza moim przekonaniem, że przeżyje grypę. Wiedziała, że to kłamstwo, i nie miała mi go za złe. I tak była zbyt chora, żeby się przejmować czy wyzdrowieje. Miała wymioty i biegunkę jak w czerwonce a jej płuca wypełniały się jak w zapaleniu płuc, co było przerażające. Na koniec chciała po prostu mieć to za sobą. Poduszka, wyszeptała do mnie. Jej oczy były szkliste i rozbiegane, włosy mokre od potu, dłoń potwornie lekka, prawie wyschnięta na mojej. I zimna. Poduszka. Płakałem. Próbowałem z całych sił tego nie robić, nie szlochać

patrząc jak mój świat, wszystko co miało w nim jakiekolwiek znaczenie, wymyka mi się z rąk. Niemal w panice, teraz mogę to przyznać, poprawiłem jedyną poduszkę pod jej głową na łóżku polowym, niepewny jak mam ją poprawić, tak że lekko się zbiła i uniosła jej głowę.

Nie, szepnęła. Prawie bezgłośnie. Jej dłoń drasnęła grzbiet mojej jak szpon, jakby próbowała ją chwycić i nie umiała.

Użyj jej.

Wpatrywałem się w nią.

Hig. Dwa, trzy krótkie oddechy, nie mogła nabrać dość tlenu. Proszę.

Jej oczy szkliste, wciąż błękitnoszare, zawsze myślałem jak przejrzyste morze w pochmurny dzień, teraz ciemniejące, usiłujące skupić się na moich.

Proszę.

Proszę.

Rozejrzałem się po zastawionym polówkami korytarzu za lekarzem albo sanitariuszem, w jakiejś desperackiej próbie uprzedzenia faktów, ale prawie wszyscy i tak byli chorzy albo zaczynali wymiotować i kasłać, przypominało to jakiś krąg piekieł, nie było nikogo. Fetor, odgłosy kasłania i choroby.

Drasnęła mi dłoń nie spuszczała oczu z mojej twarzy.

Delikatnie podniosłem jej głowę z poduszki i położyłem ją z powrotem na brudnym prześcieradle i wziąłem poduszkę i powiedziałem kocham cię. Bardziej niż cokolwiek na bożym świecie. A jej oczy były wpatrzone w moje i nie odezwała się ani słowem i zakryłem jej twarz i użyłem jej. Na własnej żonie.

Szarpnęła się dwa razy, walczyła, drapała lekko, znieruchomiała. Hałas na korytarzu nie ustawał jęki i kaszel. Nie ustawał.

Kochałem ją.

Z tym muszę żyć.
Podnoszę głowę znad poduszki
widzę oszroniony księżyc.
Opuszczam ją wspominam dom.

Bangley powiedział: Co z tobą Hig? Wyglądasz na zjebanego.

Otrząsnąłem się. Jak Jasper.

Nic.

Może przydałyby ci się wakacje Hig. Za ciężko pracowałeś w ogrodzie. Mężczyźni nie powinni być rolnikami tak to widzę. Od tego wszystko się spieprzyło.

Chodziło mu o wakacje w hamaku, który zawiesiłem w cieniu domu. Między dwoma ozdobnymi drzewami, świerkiem norweskim i osiką, które zawsze wydawały mi się tu trochę zagubione, jakby tęsknie potrząsały gałęziami w stronę gór gdzie ich miejsce.

Wziąłem oddech. Tak może masz rację. Ale słuchaj chcę pójść w góry. Jeżeli tam są łosie. Jezu. Żylibyśmy jak królowie.

Żyjemy jak królowie Hig. Wystarczył koniec świata.

Zaczął się śmiać. Chropawo, trochę jakby kasłał. Nieprzyjemnie.

Wystarczył koniec świata żebyśmy żyli jak królowie. Co Hig? Panowie swojego losu. Ha!

Wtedy naprawdę się rozkasłał. Krótki atak. Kiedy mu przeszło powiedział: No to idź w góry. Połów ryby. Zażyj rekreacji. Odpręż

się. Upoluj nam tego cholernego łosia widmo. Ale przy okazji upoluj też jelenia Hig. Coś co da się zjeść.

Uśmiechnął się szeroko, wpatrywał się we mnie oczami które połyskiwały jak kamyki w rzece.

Najwyżej trzy dni. Mówię poważnie. Każdego dnia kiedy ty się kurwa obijasz jesteśmy narażeni na atak.

Przekrzywiłem głowę i spojrzałem na niego. Pierwszy raz przyznał że jestem pożyteczny.

Nie sypiam zbyt dobrze dodał. Prawdę mówiąc.

Kaszlnął jeszcze raz i splunął przez drzwi do hangaru. No to powodzenia, powiedział i wyszedł.

Nie sypiał dobrze, kiedy mnie nie było. Jak żona. Pieprzony Bangley. Akurat kiedy wydawało mi się, że naprawdę wolałbym, żeby go nie było.

*

Mieliśmy wyruszyć następnego dnia rano po ciemku. Byłem w stanie przejść te osiem mil pod zimnymi gwiazdami i dotrzeć do drzew w szarzejącym ziarnistym powietrzu. Spakowałem plecak na trzy dni chociaż uznałem, że jeśli trafimy na trop łosia może to potrwać dłużej. Bangley będzie musiał to przeboleć. Mogłem przymocować plecak do sań i go ciągnąć, ale był lekki i wolałem z nim iść żeby sanie nie ważyły prawie nic w drodze do lasu. Znałem strumienie i poruszałem się od potoku do potoku, więc spakowałem tylko dwa litry wody.

Postanowiłem wybrać się na jeszcze jeden lot. Żeby zrobić zwiad przed polowaniem i zapewnić Bangleyowi bezpieczeństwo z trzech stron na kolejny dzień. Popołudnie było ładne a znad gór docierał tylko lekki wietrzyk, ciepły w słońcu ale niemal zimowo mroźny

w cieniu hangaru. Napaliłem w kuchni i nastawiłem czajnik, który buchał teraz parą. Zaparzyłem herbatę ze słoika zasuszonych letnich kwiatów i liści: dzikich truskawek, jeżyn, mięty, i rozsiadłem się w Valdezie, rozkładanym fotelu, który wyciągnąłem z pokoju telewizyjnego jednej z rezydencji. Nazwanym tak na cześć tankowca Exxonu, który rozbił się na Alasce powodując wyciek.

To był podwójny fotel, prawdopodobnie dla męża i żony, ale teraz dla mnie i Jaspera, z dźwignią po każdej stronie, pokryty najlepszą cielęcą skórą. Bardzo miękki. Część Jaspera wyścieliłem pamiątkową rodzinną kapą zszytą z niebieskich i żółtych kawałków materiału, z powtarzającym się wzorem drewnianej chaty z kwadratów i trójkątów tkaniny w tureckie wzory, kropki albo z kolorową lamówką, każda była inna ale wszystkim z kominów buchała jednakowa smuga dymu. Wyglądały jak fantazyjna wioska rozciągająca się równomiernie wśród geometrycznych pól i kwitnących zbóż, i to w porze odpoczynku, kiedy wszyscy grzali się w domu przed kominkiem. Tak jak my. Przyjemnie się na to patrzyło i przyjemnie siedziało się w cieple płynącym z kuchni w głębokim rozłożonym do połowy fotelu, popijając herbatę.

Prawie mogłem sobie wyobrazić że jest przedtem, że Jasper i ja wyjechaliśmy gdzieś na dłużej ale już niedługo wracamy, że wszystko odzyskam, że nie żyjemy w erze po katastrofie. Nie straciliśmy wszystkiego poza życiem. Tak jak wczoraj stojąc w ogrodzie. Czasem łapałem się na tym: że to jest w porządku. Tylko to. Że proste piękno pozostało niemal nie do zniesienia i że jeśli będę żył z chwili na chwilę, od ogrodu przez kuchnię do prostego aktu latania, osiągnę spokój.

Jakbym żył w rozdwojeniu a tym rozdwojeniem była zjadliwa nieustępliwość życia z jego błękitami i zieleniami nałożonymi na ciemniejącą szarość śmierci, i potrafiłem przechodzić od jednego do drugiego, wchodzić i wychodzić z taką samą łatwością z jaką

wchodziłbym i wychodził z cienia hangaru tuż za wyjściem. Albo jakbym nie ja wchodził, ale cień przemykał nade mną jak cień chmury, od której dostawałem gęsiej skórki na rękach, i znikał.

Życie i śmierć żyły w sobie nawzajem. Do takiego doszedłem wniosku. Śmierć tkwiła w nas wszystkich, czekając na cieplejsze noce, osłabiony układ, chrząszcza, jak w umierających teraz czarnych drzewach w górach. A życie tkwiło w śmierci, zjadliwe i nieustępliwe jak szczep grypy. I takie powinno być.

Z równowagi wytrącała mnie pamięć. Bardzo starałem się nie pamiętać a pamiętałem przez cały czas.

Na imię miał Spencer. Miał mieć. Sophie dla dziewczynki. Bardzo z angielska. W drugim trymestrze uznaliśmy że chcemy wiedzieć. Rodzina Melissy pochodziła ze Szkocji. Przyjechała z Melrose, kiedy miała siedem lat, poszła do szkoły podstawowej w West Denver i musiała stać przed całą klasą i powtarzać takie słowa jak *arytmetyka*, podczas gdy wszystkie dzieci chichotały a nauczyciele rozpływali się z zachwytu. Powiedziała, że w dwa miesiące całkowicie straciła akcent. Nikt nie przystosowuje się lepiej niż siedmiolatki.

Imię po jej ojcu.

Żadnych torsji, ani razu, przez cały czas. Żadnych mdłości. Żadnych zachcianek na awokado i lody.

W ogóle nie lubiła polować, za to uwielbiała łowić ryby. Łowiła ze mną kiedy tylko mogła. Pod pewnymi względami była lepsza ode mnie. Nie zarzucała daleko ani dokładnie, ale chyba nikt nie potrafił lepiej wczuć się w psychikę pstrąga. Stawała na brzegu strumienia i po prostu oddychała i patrzyła jak owady przelatują ze słońca w cień.

Instruktorzy, maniacy wędkarstwa, mieli różne pomysły, na przykład płukali żołądek swoim pierwszym rybom przy pomocy gumowej

gruszki żeby sprawdzić, czym się teraz żywią. Jakby złowiona, złapana w podbierak i trzymana na drażniącym skrzela powietrzu ryba nie dość cierpiała. Wrzucali je potem do wody, ale czy mogły przeżyć taką operację? Twierdzili że tak, ja w to wątpiłem. Ona nie robiła nic z tych rzeczy. Składała połówki swojej wędki, zakładała żyłkę, przeciągała ją przez przelotkę szczytową ze świstem kołowrotka i przesuwała smukłymi palcami wzdłuż przyponu, amortyzatora, i odchylała daszek czapeczki ze znakiem nowojorskich jankesów, a potem zadawała mi pytanie.

Hig co mam założyć?

Obserwowałem owady śmigające w słońcu lub rojące się na powierzchni, zaglądałem pod kilka kamieni, by przyjrzeć się larwom.

Copper john rozmiar osiemnaście na dół, rio grand king, dość duży, na górę.

Poruszała wargami patrząc na mnie jakbym ją nabierał. Potem zakładała prince'a z koralikiem i chruścik z sierścią łosia. Duży i mały tylko na odwrót. Albo wybierała fioletowego wooly buggera, tego z mosiężną stożkową główką, który imituje małą rybkę i wymaga zupełnie innej strategii.

Po co mnie pytasz? powiedziałem. Mam wrażenie że pytasz a potem robisz zupełnie na odwrót.

Jej uśmiech, promienny i niespodziewany, to była jedna z moich ulubionych rzeczy na tej planecie.

Nie chciałam cię urazić Hig. Robię sondę. Tak jakby porównuję to co sama myślę ze zdaniem najlepszego wędkarza jakiego znam.

Teraz się podlizuje. Rany. Po prostu łów.

Zwykle łowiła więcej niż ja. Wyjątkiem były duże rzeki, Gunnison, Green, Snake, gdzie przydawał się długi rzut. Ostatnim razem, kiedy

poszliśmy na ryby, potwornie się pokłóciliśmy.

Wypiłem herbatę. Przyszło mi do głowy że Jasper ma więcej ozdobnych kap niż jakikolwiek pies w historii świata. Ma kapę w drewniane domki na fotel Valdez, kapę w psy myśliwskie do samolotu, kapę do spania na zewnątrz w postaci z kreskówek. Leżał płasko na boku z wciśniętym we mnie tyłkiem i nogami wystającymi za poduszkę i chrapał.

Czy można kochać tak rozpaczliwie że życie jest nie do zniesienia? Nie mówię o nieodwzajemnionej, mówię o życiu wewnątrz tej miłości. W jej wnętrzu i w rozpaczy. Bo wiedząc że się skończy, bo wszystko. Się kończy.

Na początku piłem. Wszystko co nadawało się do jedzenia, nawet konie, zostało skonsumowane już w pierwszym roku, ale alkohol wciąż był poupychany w szafkach i serwantkach, w piwnicach. Bangley nigdy nie pił bo tak głosił jego Kodeks. Nie jestem pewny, czy uważał się za żołnierza, czy choćby wojownika, ale na pewno był Ocalałym przez duże O. Całą resztę, swoje przeżycia z lat ciężkiej młodości, traktował moim zdaniem jako przygotowanie do czegoś bardziej fundamentalnego i szlachetnego. Przez całe życie czekał na Koniec. Jeżeli wcześniej pił, teraz nie pił. Nie robił niczego co nie prowadziło do przetrwania. Wydaje mi się, że gdyby przypadkiem umarł z powodu którego nie uważał za uzasadnioną Przyczynę Naturalną i gdyby miał chwilę na refleksję, zanim pogrąży go ciemność, byłby mniej rozczarowany końcem swojego życia niż przegraną w tej grze. Tym że nie dopilnował szczegółów. Że przechytrzyła go śmierć albo co gorsza jakiś inny żebrak zahartowany przez zagładę.

Czasem wydaje mi się że trzyma mnie tu tylko po to żeby ktoś mógł poświadczyć jak umiejętnie wygrywa każdy dzień. Zastanawiam się czy ten numer poprzedniej nocy nie miał mi po prostu uświadomić,

że to on. Że to on gwarantuje nam przetrwanie każdego dnia. Pamiętaj o tym, Hig.

Słyszałem kiedyś dowcip o rozbitym statku. Słyszałem go dawno temu kiedy nastoletni chłopcy wieszali na ścianach plakaty z modelką Trippą Sands. Dziewczyną z okładek wszystkich magazynów. Trippa jest na wakacjach na dużym statku wycieczkowym, który wpada na rafę na Morzu Karaibskim i tonie. Woda wyrzuca ją na bezludną wyspę z moim kumplem Jedem. Nikt inny nie przeżył. Morze rzuca parę rozbitków na plażę, fale chrzczą ich pianą, ubrania mają w strzępach, są prawie nadzy, i spoglądając sobie w oczy zdają sobie sprawę ze swojej niezwykłej samotności a miłość spada na nich niczym kokos z palmy. Zakochują się w sobie bez pamięci. Na szczęście na wyspie jest pod dostatkiem nisko zwisających owoców i świeżej słodkiej wody i ostryg i ryb które wskakują do ich plecionych koszyków, więc zdobywanie pożywienia jest łatwe i mają mnóstwo wolnego czasu na patrzenie sobie w oczy i kochanie się z taką szaleńczą intensywnością, jaką pewnie wywołuje apokalipsa. Jakiś tydzień później Jed mówi:

Tripp?

Ach. Hmmm. Słucham, mój nienasycony ogierze.

Mam do ciebie prośbę.

Co tylko zechcesz, moja piaskowana maszyno miłości. Dla ciebie wszystko.

Czy możesz przez kilka dni nosić mój kapelusz kowbojski?

No pewnie, dlaczego nie!

Następnego dnia mówi:

Trippa?

Słucham, przystojniaku?

Mam do ciebie prośbę.

Co tylko zechcesz, brzoskwinko.

Czy możesz namalować sobie wąsy tym kawałkiem węgla?

Hmm. No dobrze, zrobię to dla ciebie, mój rosły kumkwacie.

Następnego dnia właśnie skończyli kochać się bez przerwy przez cały cykl przypływu. Siedzą na szylkretowej ławce patrząc jak burza ciska pioruny po lazurowej wodzie, Trippa w kapeluszu i z wąsami, a Jed mówi:

Kotku?

Słucham misiaczku.

Ee, czy mogę mówić do ciebie „Joe”?

Hm, no dobrze, mój ty nurkujący rekinie.

Jed chwyta ją za ramiona i potrząsa mocno.

Joe! woła. Joe! Joe! Pieprzę się z Trippą Sands!

Nadal mnie śmieszy. Od razu myślę o sobie i Bangleyu, co już nie jest takie zabawne. Że mam być jego Joem żeby miał komu pokazać jak świetnie umie przetrwać. *Nieźle napierdalam z tym przetrwaniem, co, Hig?* Nie powiedział mi nic więcej o swoim wychowaniu, poza tym że to nie tak jak myślisz, ale wyobrażam sobie że na jego matce, o ile miał matkę, niewiele rzeczy robiło wrażenie.

No cóż. Chyba tak. Mówię to Jasperowi, który przesunął się na fotelu tak że teraz z Valdeza zwisa mu głowa, ale nadal chrapie. Kładę dłoń na krótkiej sierści na jego żebrach i głaszczę.

Chodźmy polatać.

*

Jest późne popołudnie, mój ulubiony moment po świcie. Nabieram paliwa. Dystrybutor paliwa jest zasilany osobnym panelem słonecznym. Dawniej używałem akumulatora i falownika, ale akumulator padł, więc podłączyłem panel bezpośrednio do falownika i teraz mogę nabierać paliwa tylko wtedy gdy świeci słońce, a teraz świeci. Mam pompę ręczną na wszelki wypadek, ale to męka. Napełniam bak ze składanej drabinki przez zakręcane wloty na każdym skrzydle i to prawdziwa męka stać na ziemi i pompować i kontrolować poziom paliwa, który sprawdza się wchodząc na górę i zaglądając do zbiornika przez otwór. Mogę szacować i być blisko ale dużo łatwiej po prostu stanąć tam i wcisnąć spust pistoletu dystrybutora i usłyszeć kojący elektryczny szum i terkot cyferek przeskakujących na liczniku tak jak kiedyś przy tankowaniu samochodów.

Kiedyś. Wciąż mnóstwo benzyny na świecie ale problem polega na tym, że benzyna samochodowa zwietrzała i zepsuła się rok albo dwa po. Niskoołowiowa setka której używam pozostaje stabilna przez jakieś dziesięć lat. Więc spodziewam się że któregoś dnia ją stracę. Mogę dodawać stabilizator firmy PRI i ciągnąć na niej jeszcze z dziesięć lat. Potem będę musiał poszukać paliwa do odrzutowców, czyli kerozyny, która nie psuje się praktycznie nigdy. Wiem gdzie ją znaleźć najbliżej. Wiem, że jestem teraz jedynym żyjącym człowiekiem który to wie, albo przynajmniej wie jak ją wydobyć. Ale za każdym razem, kiedy ląduję na lotnisku Rocky Mountain, czuję się bezbronny jak nigdzie indziej. Jest za duże. Ogromne stare lotnisko dla odrzutowców z mnóstwem budynków, hangarów, magazynów i dystrybutorów i stalowych stanowisk do tankowania na odkrytym terenie.

Kiedy będę musiał, zrobimy naradę wojenną z Bangleyem. Może trzeba będzie zwinąć obóz. Niewyobrażalne. A może będę go musiał po prostu zabierać ze sobą, żeby mnie osłaniał przy każdym tankowaniu, z czego miałby niezły ubaw, ale Erie zostawałoby niestrzeżone przynajmniej przez pół godziny.

Jasper siedzi na swoim fotelu a ja kołuję, mijając rzędy wciąż jeszcze zakotwiczonych prywatnych samolotów. Wszystkie mają przebite albo zniszczone opony, wiele spękane od gradu przednie szyby. W niektórych liny przetarły się i zużyły i puściły na silnym wietrze, a samoloty przewróciły się lub wtoczyły na inne po drugiej stronie płyty postojowej albo dalej. Minionej wiosny mieliśmy wichurę i piper super cub zerwał się i wbił w okno na drugim piętrze wymyślnego domu naprzeciwko pasa startowego, przy Piper Lane, i dobrze się stało. Zielona tabliczka z nazwą ulicy jak gotowa tabliczka nagrobna.

Dlaczego nie latam jakimś super cubem albo huskym? Którymś smukłym tandemem (jedno miejsce z przodu, drugie z tyłu), czymś bardziej zwrotnym czym można pikować i lądować na krótkim pasie, można w zasadzie lądować i startować z kortu tenisowego? Dlaczego latam moją osiemdziesięcioletnią czteroosobową cessną?

Bo fotele są obok siebie. A Jasper może być moim drugim pilotem. Prawdziwy powód. Lecąc przez cały czas do niego mówię i strasznie mnie bawi że on przez cały czas udaje że mnie nie słucha.

Kołujemy między rzędami. Są tu naprawdę piękne samoloty. Ich kolorowe pasy, błękity, złota i czerwienie blakną. Ich numery. Jednym kiedyś latałem, małym samolotem domowej konstrukcji z przezroczystą odchylaną kroplową osłoną, stoi z dziobem w stronę asfaltu jak opuszczony ptak, gwiazdki Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych namalowane na kadłubie spalone, zostały z nich rozmyte plamy. Zbudował go mój stary przyjaciel, Mike Gagler. Pilot buszowy z Alaski który potem latał odrzutowcami na zlecenie linii

lotniczych i hobbystycznie budował samolot. Nigdy nie robił niczego tak jak wszyscy praktycznie z zasady. Umarł wcześnie ze swoją rodziną, w żółtym domu który widzę przez otwarte drzwi do hangaru. Nie zgodził się iść do szpitala, mówił że w ten sposób rząd chce po prostu zebrać zmarłych w jednym miejscu. Umarł jako ostatni z rodziny, siłą woli, żeby jego żona i dwie córki miały kogoś kto je przytuli. Pochowałem całą czwórkę lotniskową koparką kiedy jeszcze działała.

Na początku latałem nią, RV-ósemką Mike'a, i marnowałem paliwo. Jasper siedział zaniepokojony i samotny obok dystrybutora paliwa a ja wznosiłem się prosto w słońce i nie puszczałem drążka dopóki niebo nie spłynęło pode mnie a horyzont nie opadł mi na oczy jak osłona hełmu. Duże, wolne, mdlące pętle w tył i szybkie beczki. Robiłem to bo nic innego nie przychodziło mi do głowy.

Potem przelatywałem dziesięć stóp nad pasem i patrzyłem, jak Jasper siedzi nieruchomo, śledząc mnie wzrokiem, i nawet przy tej prędkości wiedziałem że się martwi i rozpacza, że mogę go zostawić jak wszyscy i wszystko inne, więc przestałem.

Wskaźnik wiatru na środku pasa odchyla się na północ, wydęty bez szczególnych emocji, więc skręcamy na południe na drogę kołowania, wciskam gaz i startujemy. Kiedy wszyscy umrą nie trzeba używać wyznaczonego pasa startowego.

Nic nie jest już wyznaczone. Gdyby nie Bangley, zapomniałbym jak się nazywam.

*

Uznałem że zrobimy dużą rundę a potem zatrzymamy się po colę. Obejrzymy łąki pod Nederland, pod szczytami Divide, polecimy spiralą do środka, sprawdzimy drogi i oba szlaki, póki światło jest dobre, żeby mieć pewność że Bangley przynajmniej przez jeden

dzień nie będzie musiał spodziewać się gości z trzech stron świata, a potem wylądujemy przy naszej budce z napojami i spakujemy kilka skrzynek. Tylko osiem minut na północny wschód w stronę Greeley. Gałązka oliwna. W postaci wybrzuszonych puszek i plastikowych butelek. W świetle reflektora widzę w głębi ciężarówki stertę dr peppera, może nadszedł czas żeby go nim zaskoczyć jakby było Boże Narodzenie. Bangley wygląda na amatora dr peppera. Skrzynka sprite'a dla rodzin, wyładuję tam którymś razem, to już kilka tygodni. Przechylamy się w lewo, na północ, a zniżające się słońce wlewa się przez szybę jak stopiony metal.

Widziane z góry osiedle domków na północ od lotniska układa się w pajęczynę dróg dojazdowych i ślepych uliczek a jeśli zmrużę oczy, żeby rozmazać te spalone, mogę to sobie wyobrazić, zwyczajny wieczór późną wiosną.

Wznoszę się dalej z przechyłem na zachód i wyrównuję na wysokości ośmiuset stóp i zaczynam zwiad.

*

Nic. Nic na całym terenie. Drogi puste. Dzięki Bogu. Zwykle tak jest. Wędrowcy wszystko by spieprzyli, opóźnili nasze polowanie. Wtedy zanurkowałbym, zredukował moc, puścił nagranie. Mam cztery kawałki w odtwarzaczu CD podłączonym do wzmacniacza i głośników, ich tytuły to
Zawróć na północ albo zginiesz
Zawróć na południe albo zginiesz
Zawróć na wschód albo zginiesz
Zawróć na zachód albo zginiesz

Łatwo zapamiętać słowa: to tylko powtarzany w kółko tytuł. Po którym słychać okrzyk: Wiemy że tu jesteś. Skończysz jako żarcie dla psa jak wielu przed tobą.

Bangley kazał mi to dodać.

Ocipiałeś, powiedziałem. To niepotrzebne i obrzydliwe.

Bangley tylko na mnie patrzył z ustami rozciągniętymi w półuśmiechu.

To prawda co? Co Hig?

Jakby mnie uderzył.

Dodaj to, powiedział. To nie bal debiutantek.

Najczęściej działa. Dosyć niewiadomych, dosyć przeżyć, żeby przybysze nie mogli być pewni czy na lotnisku nie czeka jakaś falanga Mongołów żeby ich zmasakrować. Bo przecież czekamy. Falanga w liczbie dwóch. Nie, trzech. I pewnie myślą: Ci goście mają samolot, głośnik, nagranie i co jeszcze? Mamy Bangleya, myślę. Nie masz pojęcia co to oznacza. Lepiej kurwa zawróć.

Jeśli potrzebują więcej argumentów to już całkiem nieźle strzelam z pistoletu maszynowego Bangleya – uzi – przez okno po lewej stronie. Staram się nikogo nie trafić ale czasem trafiam.

Do mnie strzelali czternaście razy. Trzy kule przeszły przez kadłub. Większość ludzi nie wie jak strzelać do samolotów. Pakują w nas za mało ołowiu.

Tym razem nikogo. Autostrada numer 7 jest pusta, tak samo 287, międzystanowa. Nasz szlak na zachód. Słońce zalewa Boulder Canyon, muskając czubki Flatirons. Tam najbardziej lubiliśmy chodzić, szlakiem wzdłuż podnóża skał, kiedy kiedyś. Na północ Mount Evans rumieni się krwistym śniegiem. Źle zaplanowałem czas, nie zdążę rozejrzeć się nad wzgórzami jeśli chcę skoczyć po napoje. Prawdę mówiąc i tak nie muszę się tam rozglądać. Robię to bo pięknie jest przelecieć nisko nad pogórzem ale my wiemy gdzie są jelenie. Jeśli chcemy znaleźć ślady łosi to będą na ziemi. Robię

przechył na wschód i ruszam prosto do elektrowni w St. Vrain na południowy zachód od Greeley. To przewrócona ciężarówka z dwiema przyczepami w połowie na poboczu drogi, w połowie na długim podjeździe na farmę. Widzę ją z odległości pięciu mil. Brudne czerwono-białe boki połyskują na słońcu jak billboard. Porwana dla wody pitnej, jak podejrzewam, butelkowanej wody w środku i tych wszystkich napojów gazowanych. Kiedy zobaczyłem ciężarówkę pierwszy raz pewnie nie przyszłoby mi do głowy wylądować gdyby nie pięć rozrzuconych wokół ciał. I jedno wystające do połowy z okna kierowcy. Na widok tej inscenizacji wymiany ognia zwolniłem i zawróciłem.

Nie jestem tak bystry jak dawniej, to pewne. Czasem tylko mgła i kudłate kucyki. Ale ciała wołały z ziemi a ciężarówka przyciągała wzrok. Zastanów się, Hig. Wymiana ognia przy ciężarówce z colą.

I stąd nasza comiesięczna uczta.

Za pierwszym razem staw na farmie na wschód od ciężarówki był gładko zaczesany wzdłuż północnego brzegu i pokryty zmarszczkami na reszcie powierzchni więc zatoczyłem koło i wylądowałem na żółtej przerywanej linii na północ, pod wiatr. Zszedłem na dół i odwróciłem się żeby podnieść Jaspera, który czekał skulony i podekscytowany na moim fotelu, i postawiłem go na ziemi. Zaciągnąłem mężczyzn za buty do trawiastego rowu żeby Jasper mógł… Szybko odkryłem, że łatwiej w ten sposób niż za ręce.

Drzwi tylnej przyczepy były zamknięte prostą mosiężną kłódką. Poszedłem na farmę i przemierzyłem błotniste podwórze i znalazłem w szopie szczypce przegubowe.

Dopiero kilka miesięcy później przyszło mi do głowy że mogłem polecieć tam z Bangleyem a on mógł przyjechać ciężarówką na lotnisko. Wtedy lubiłem już przywozić kilka skrzynek na raz. Ale

potem postanowiłem je oszczędzać żeby starczyły nam do końca życia. Niewiele mamy powodów do radości.

Dopiero dużo później przyszło mi też do głowy że do tego czasu, do tego czasu gdyby to były lata, mróz i odwilż mogły doszczętnie zniszczyć puszki. Nieważne. Na razie mój system się sprawdzał.

Za pierwszym razem załadowałem na Bestię trzy skrzynki i zatrzasnąłem drzwi i zamknąłem zasuwę. Już przekręciłem kluczyk żeby wystartować, ale wyszedłem jeszcze raz i przywiązałem kawałek czerwonej męskiej koszuli do słupka milowego żeby mieć wskaźnik wiatru. Czwarta mila. Pamiętam. Podziurawiona trzema pociskami kaliber .22 trzy cale od siebie. Całkiem nieźle. Pewnie jakiś chłopak z farmy ćwiczył strzelanie do piesków preriowych.

Dziś znów północny. Wiatr. Zwrot o sto osiemdziesiąt w mniej niż godzinę, typowe dla tej pory roku. O tej porze roku widywałem wskaźniki wiatru po dwóch stronach pasa startowego na Erie wydęte w przeciwne strony, co urozmaica lądowanie.

Wzdłuż wschodniego brzegu drogi biegnie rząd słupów telefonicznych. Nieważne, zostały ustawione wystarczająco daleko. Niskie słupki przydrożne i milowe z łatwością mieszczą się pod skrzydłami. Mój pierwszy instruktor powiedział mi że przy lądowaniu awaryjnym utwardzona droga prawie zawsze będzie dość szeroka jeśli wylądujesz dokładnie na środku, prawie zawsze wystarczająca odległość od jakiegokolwiek słupka czy znaku. Ryzykowna jest za to ładna, na pozór szeroka droga gruntowa. Przeoczysz drogowskaz i możesz zahaczyć o niego skrzydłem i wywrócić się na bok.

Mimo to robię przechył w lewo na ostatnie podejście pod wiatr, bardzo wysoko, i opadam w dół z maksymalnym wychyleniem klap, wzdłuż środka lewego pasa, celując w punkt na drodze tuż przed wysoką topolą amerykańską, potem na horyzont przed mną, droga wychodzi mi na spotkanie, opada w dół, a później płynnie

przyciągam wolant, do siebie do siebie do siebie, i wyrównuję i siadam jeden lekki wstrząs przy jazgocie alarmu przeciągnięcia. Nadal, po tych wszystkich latach, satysfakcja z dobrego lądowania. Robiłem to mnóstwo razy z tego kierunku i wiem że nie muszę nawet dociskać hamulców, wystarczy podnieść dziób a samolot sam dotoczy się na podjazd i do ciężarówki.

Jedno wciśnięcie hamulca, Jasper usadowiony w pozycji drugiego pilota na swoim fotelu na grubej kapie, rzucony odrobinę w przód, przestawia przednie zęby. Przyciągam czerwoną dźwignię regulacji mieszanki i wyłączam silnik. Przewlekły charkot, wirujące śmigło staje się widoczne, zwalnia, potem cisza.

Wiatr trzęsie przednią szybą, telepie samolotem. Silniejszy niż sądziłem. Porywisty. Kładzie niską trawę na polu, urywany jak podmuch we włosach ściętych na jeża. Fioletowe astry w rowie kiwają głowami. Boczne okienko jest otwarte, opieram łokieć. Zapach wilgotnej ziemi intensywnie zgniły i świeży. Nic tak nie upaja wspomnieniami jak zapach. Wciąż jeszcze powiew starego obornika z błota w tuczarni za szopami. Wszystko jest chwiejne o tej porze roku.

Obracam się do Jaspera.

Witamy w Starym Cocacolowie. Kolejny punktualny przylot i doskonałe lądowanie zapewniła państwu załoga Linii Lotniczych Kundel. Prosimy o pozostanie na swoich miejscach aż do całkowitego zatrzymania samolotu. Zalecamy ostrożność przy otwieraniu schowka nad głową.

Jasper zaszczyca mnie spojrzeniem pełnym dezaprobaty i dalej wypatruje prosto przed siebie przez przednią szybę, ze zmarszczonym czołem jak każdy dobry drugi pilot. Nie lubi żartów przy pracy. Wie że idziemy do ciężarówki więc obserwuje ciężarówkę dwadzieścia jardów od nas.

Potem warczy. Krótko. Niskie sapnięcie które wydyma mu luźną skórę nad górnymi zębami.

No dobra już się zatrzymaliśmy. Nie ma żadnego schowka. Przestań się czepiać. Rany.

Warknięcie tym razem niższe, ciągłe. Podniesiona sierść na grzbiecie, włoski na szorstkim zadzie gładkie na napiętej skórze. Oczy wbite w tył przyczepy z colą. Moje włosy, małe włoski na moim własnym karku, też jeżą się i podnoszą. Podążam za jego wzrokiem. Pomalowana na biało zasuwa odstaje od wypłowiałych czerwonych drzwi. Smuga czarnego cienia między parą. Drzwi. Prawe uchylone. Odrobinę. Zapach niesiony z północy na południe drogą. Do nas.

Nie spuszczając oczu z ciężarówki sięgam po AR. Stoi pionowo, wylotem do góry w uchwycie przymocowanym do lewej przedniej części fotela Jaspera. Obok pistolet maszynowy. Podnoszę kciukiem zatrzask chromowanych mocowań i wyjmuję karabin. Prezent od Bangleya.

Okej piesku. Spisałeś się.

Szepczę teraz, bez powodu.

Okej chodź.

Bez sensu kazać mu zostać w samolocie. I tak nie posłucha. Nie w takich sytuacjach. Nie chcę żeby coś sobie nadwerężył przy wyskakiwaniu. Otwieram drzwi od swojej strony. Dwa kroki, o zastrzał na ziemię, w półobrocie łapię go pod ramię, prawe, i opuszczam na asfalt, przebiera łapami w powietrzu szukając oparcia.

Okej. Noga.

On wie. Już to przerabiał. Zbyt wiele razy.

Jesteśmy sześćdziesiąt stóp od może pięćdziesiąt pięć. Latam z przeładowanym karabinem bo za trudno to zrobić w powietrzu. Wyciągam składaną kolbę którą zrobił dla mnie Bangley. Odbezpieczam broń. Przestawiam dźwignię, z pełnego automatu na półautomat. Przez minutę wieje lekki wiatr, ciepły na naszych twarzach i lekko odchylony na zachód, niosąc ze sobą skomplikowaną mieszankę zapachów, ziemi, kwiatów, może nawet soli. Morskiej. Jak daleko? Przynajmniej dziewięćset mil. Nasłuchuję. Tylko wiatr szumi mi w lewym uchu. Warczenie Jaspera nie ustało. Stawiam krok. Czekam. Kolejny krok. Pustułka przelatuje z prawa na lewo, niewysoko, pikującym, szybkim lotem. Kolejny krok. Przemierzamy połowę odległości i stajemy. Kucam a potem przyklękam na jedno kolano. Najniżej jak mogę nie kładąc się na brzuchu. Najlepiej na brzuchu, ale na brzuchu trudno się szybko przemieszczać. Dzięki temu, jeśli zaczną strzelać z przyczepy, jestem pewny że będą mierzyć za wysoko.

Zaskakuje mnie ryk własnego głosu.

Już jesteście martwi.

Wiatr.

Jesteście martwi. Spróbujcie się ostrzelać a jesteście stuprocentowo martwi.

Warczenie Jaspera. Słońce ciepłe na mojej lewej skroni i policzku.

Mam was jak na dłoni. Słyszycie?! Spróbujcie walczyć a będzie to wasza ostatnia minuta na ziemi. Rzućcie broń i wyjdźcie na zewnątrz. ALE JUŻ! Ręce tak żebym je widział. Jeśli to zrobicie, zrobicie jak mówię, nic złego się wam nie stanie. Daję słowo.

Wiatr. Słońce. Ptak. Zastanawiam się: Czy to prawda? Nic złego. Sam nie jestem pewny. Cokolwiek się tu wydarzy, ja zamierzam przeżyć.

Trzy dwa jeden – OKEJ KONIEC Z WAMI.

Patrzę przez mechaniczny celownik. Wiem, że ostatnie skrzynki z tyłu piętrzą się aż po dach. Jedna trzecia przyczepy opróżniona. Mam dość miejsca żeby nie strzelać w butelki i puszki, prawdopodobnie. Dwa strzały wysoko…

Ale zaraz. Szczęk stali, zgrzytnięcie. Przez szparę wyłania się dłoń z łomem.

Stalowy pręt, dłoń, przedramię.

Rzuć to! Rzuć to! Rzuć to!

Spada. Uderza z brzękiem o drogę.

WYCHODZIĆ, ręce tak żebym je widział.

To duże ręce. Włosy na dłoniach brudne. Wystawione przez szparę wyglądają jakby bandyta usiłował odstawić teatrzyk pacynkowy. Przedramiona w za krótkich rękawach niebieskiej kurtki narciarskiej, zatłuszczonej ale nowej. Drzwi otwierają się szerzej. Kwadratowa głowa, grube blond dredy, miękki kapelusz moro. Splątana broda. Ogromny facet schodzi po zderzaku tak żeby nie odwrócić się tyłem.

Jest ich jeszcze dwóch.

Chrapliwy okrzyk, głos przedzierający się przez pół tony żwiru. Mruga na słońcu.

Samolot na chodzie. Skąd wytrzasnąłeś samolot na chodzie? Jasna cholera.

Stul pysk. Powiedz im. To samo. Najpierw ręce.

Kij baseballowy, dłonie, ręce w zatłuszczonym prochowcu, kolejny Mongoł staje na ziemi. Długie włosy zaplecione w gruby warkocz,

rozbiegany wzrok: moja twarz, karabin, pies, rów. Chce uciec. Jasper warczy o ton niżej.

Nie masz w tym nabojów. Na świecie zabrakło pieprzonych nabojów. Słyszałeś Curtis? Woła w tył. Przesuwa się na zachód. Jeden krok dwa.

Kapitan Pilot myśli że nas powystrzela. Rozbiegany wzrok: karabin, rów.

Już by to zrobił. O tak. Ten to lubi sobie pogadać.

Moja myśl: Na razie nie dopuszcza mnie do głosu.

Wychodź Curtis. To naprawdę wyborne. Facet klęczy trzydzieści stóp stąd ma broń ale bez nabojów.

On teraz najbliżej, trzy stopy od uchylonych drzwi. Celuję z oboma oczami otwartymi. Jak zawsze. Zalety. Widzę drzwi. Czuję jak wieczór zaciska się wokół jak skręcany drut. Dred podaje moje współrzędne jak moździerzysta. Żar. Żar czystej wściekłości która spina mi szyję, czystej i mocnej jak benzyna. Mój palec na gładkim zimnym łuku spustu.

Drzwi otwierają się. Na oścież. Cień. Krawędź rozsuwa się jak kurtyna, stopniowo światło, oświetlenie, pada na mężczyznę w ruchu który kieruje łuk poziomo i w dół. Strzelam. Dwa razy. Strzała jak dziura wydarta w powietrzu, wściekły świst próżni gdzieś daleko ode mnie, mężczyzna odrzucony w tył, łuk uderza o ziemię, przednia ściana skrzynek z colą chwieje się i rozpada. Cisza. Jedna puszka dr peppera toczy się na zewnątrz spada na drogę.

Dwaj na drodze zastygli przykucnięci, rękoma odruchowo zasłonili głowy. Tweedle Dum i Tweedle Dee.

Puszka dr peppera przetoczyła się, zatrzymała na bucie Warkocza. Strużka krwi ścieka z brzegu przyczepy na jezdnię w miejscu gdzie

upadła puszka.

I co narobiliście. Wrzeszczę. Pierdolone tępe pały. Zniszczyliście je. Pewnie ze dwadzieścia skrzynek.

Moja pierś, oddech, trzęsą się od adrenaliny i furii.

Zabiłem waszego kumpla. Zajebiście to rozegraliście.

Mężczyźni zastygli w bezruchu, zasłonięci rękoma, przykucnięci. Ostatni żałosny gest przed śmiercią. Teraz są pewni że umrą. Karabin już wymierzony w Dreda, palec już na spuście. Dyszą ciężko. Klęczę tak biorę oddech. Zabiję ich.

Pierdolone gnoje próbowały mnie zabić. Dla coli. No dobrze. Dla sporego zapasu coli. Dwadzieścia cztery w skrzynce, raz w miesiącu przywożę ze sobą. Tydzień bez – planowy okres braku, żeby następna partia była czymś wyjątkowym. Dla mnie i. Żeby zwiększyć moje notowania u Bangleya. Spójrzmy prawdzie w oczy. Lądowanie u rodzin ze sprite'em jak bóg.

Jeden jęczy, blondyn. Nawet nie błaga.

Muszę ich zabić. Jeśli ich tu zostawię opróżnią ciężarówkę, pochowają je w rowach, wiatrochronach, koniec z comiesięczną ucztą. Tych kilka rzeczy. Tak mało rzeczy, na które się czeka. Poza tym chcieli zabić mnie.

Dred klęka, zasłania oczy wielkimi dłońmi jak dzieciak, który bawi się w chowanego, i płacze. Warkocz obejmuje głowę ramionami, obserwuje mnie z niekrytym przerażeniem, z wykrzywioną twarzą, drży, przygotowując się na strzał.

Wstawać.

Skończ z tym wreszcie! krzyczy Dred.

Wstawać. Nie zabiję was.

Słowa jak ciekły azot. Moment lodowatego bezruchu.

Zrobicie tak zaciągniecie swojego kumpla do rowu i ani słowa, ani kurwa słowa kiedy mój pies będzie jadł kolację.

Natłok sprzecznych obrazów w ich przerażonych umysłach. Ich własne życie, ulga nie w pełni uświadomiona i przetrawiona, wstręt przed karmieniem psa. Tworzy wir, przeciwprąd jak dwie flagi na lotnisku skierowane ku sobie przez przeciwne wiatry. Obaj zaczynają dygotać. Mocno.

Mówię poważnie. Nie zastrzelę was. Tak jak mówiliście już bym to zrobił. Na pewno.

Opuszczają ręce patrząc na mnie. Zabić ich dla coli. Nie podstawy diety, tylko luksusu. Tak jak wcześniej zabijaliśmy za diamenty, za ropę.

Nie. Nie dziś.

Zaciągniecie swojego kolegę do rowu a potem załadujecie dwadzieścia skrzynek, piętnaście coli, pięć sprite'a, aha, i jeszcze dwie dr peppera, załadujecie je grzecznie na tył samolotu a potem wejdę do środka i odlecę. Resztę możecie zabrać. Bo nie mogę was powstrzymać. Po starcie. Chyba że was zabiję. Czego nie zrobię. Zbyt wielu mam na koncie. Do roboty.

Pustułka jest nad polem. Wiatr jest w krótkiej trawie, słońce jest prawie nad Divide. Będzie zawisać w powietrzu i polować jeszcze po zachodzie słońca. Zawisać i pikować, zawisać i pikować. W swoim maleńkim hełmie niestrudzenie się unosić, dreptać w powietrzu. Polując na myszy i norniki.

Mdli mnie. Zrzygałbym się na drogę, ale tego nie zrobię. Rzygać mi się chce od bronienia tego czego powinienem bronić, cokolwiek to

jest.

*

Załadowali puszki. Zaciągnęli swojego kumpla do rowu a ja gwizdnąłem raz, odwróciłem się. Nosili po cztery skrzynki naraz, szybko poszło. Kazałem im załadować łuk i kołczan. Warkocz przy nachylaniu zarzucał długim naszyjnikiem wyschniętych kawałków skóry. Obaj cuchnęli śmiercią.

I tak jesteś trupem, burknął Warkocz, mijając mnie z ładunkiem.

Coś ty powiedział?

Nic. Stękając skrzynki przez luk desantowy.

Coś ty kurwa powiedział?

Odwrócił się, przeszedł obok. Zatrzymałem go lufą AR.

Coś ty powiedział o byciu trupem?

Szturchnąłem go mocno lufą w żebra. Stęknięcie.

A-rabowie. Możesz zabić nas ale A-rabowie zabiją ciebie.

Jacy A-rabowie?

Słyszeliśmy to. W Pueblo. Przez amatorskie radio. A-rabowie. Już tu są. Albo będą. Zabiją nas wszystkich.

Splunął. Tuż obok mojego buta.

Co to jest? Szturchnięcie.

Co?

To. Twój naszyjnik.

Wyprostował się, przełknął ślinę. Jego oczy zielonozłote w ostatnich promieniach pełni słońca. Kpiące.

To są pizdy. Zasuszone pizdy.

Pociągnąłem za spust. Rozprułem mu brzuch. Bez zastanowienia. Leżał jak długi na drodze, z rozlanymi wnętrznościami. Ten drugi, od dredów, rzucił swoje skrzynki i uciekł. Na południe. Na południe między dwoma zielonymi polami. Pod rafą spłonionych rumieńcem chmur groteskowa postać malejącym punktem na horyzoncie.

*

Próbujesz postąpić właściwie. Okoliczności nie pozwalają. Co ja mam zrobić z dwudziestoma skrzynkami coli? Racjonować je Bangleyowi?

V

Kiedy opowiedziałem Bangleyowi o potyczce przy ciężarówce z colą wyjął puszkę tytoniu do żucia z kieszonki kamizelki, nową puszkę, i przesunął ostrym paznokciem kciuka pod krawędzią pokrywki i podważył ją. Czułem jego zapach przy stole warsztatowym, intensywnie słona stęchlizna jak szufla świeżego torfu. Wcisnął ją sobie w żuchwę, cofnął się o dwa kroki i splunął przez drzwi hangaru, jedyne czego udało mi się go nauczyć.

Dzięki.

Cholera Hig, odkąd się dowiedziałem że urządzasz tu kuchnię i salon gościnny, to cholera.

Oparł się o wysoki stołek który postawiłem dla niego przy drzwiach. Żeby mógł mówić i odwracać się i spluwać. Oparł się, na wpół stojąc, z wyprostowanymi nogami, założonymi rękami, nie usiadł tak naprawdę.

Więc chciałeś darować im życie.

Odwrócił się, splunął.

Harcerzyk.

Obserwując mnie. Wyobrażałem sobie, że jego minerałowe oczy przy każdym ruchu wydają suchy chrzęst, jak przesypujący się żwir.

Gotowy poświęcić ważne źródło kofeiny. I to nasyconej dwutlenkiem węgla. Rzadko mamy okazję się nasycić Hig. Raczej jesteśmy skazani na nienasycenie.

Nie mogłem powstrzymać uśmiechu. Odwrócił się, splunął.

Byłeś też skłonny wyrzec się własnego życia. Dwukrotnie. Nie, trzykrotnie. Jak to się mówi dla czterech? Trudno się w tym połapać.

Wyciągnął dłoń spod założonych ramion i zmrużył oczy, zacisnął wargi, zaczął liczyć. Miał trzydniowy zarost, siwą szczecinę jak z drutu. Poddał się.

Zobaczmy: pierwszy błąd nie ustawiłeś się z boku skąd mógłbyś strzelać daleko od coli i zabezpieczyć tył. Powiedziałeś że przyczepa jest pełna w dwóch trzecich. No właśnie. Mnóstwo miejsca. A przeciwnicy pewnie stoją w kupie przy drzwiach. Masz mnóstwo amunicji. Tak czy siak to by ich wypłoszyło. Ten facet z łukiem nie miałby szans złożyć się do strzału.

Pokręcił głową. Niezadowolony.

Drugi raz: kiedy ten facet wołał do swojego kumpla za drzwiami i praktycznie podał mu twoje współrzędne. Namierzył cię, Hig. Podał swojemu strzelcowi kąt i odległość. Jak dla mnie jedyne co tłumaczy taką bezczelność to to że wiedzieli że i tak są martwi ale złapali się tej ostatniej desperackiej szansy. To znaczy wiedzieli że są martwi gdyby to był ktokolwiek poza starym Higiem. Tego nie wzięli pod uwagę. Higa który najwyraźniej sam próbuje trafić do nieba.

Splunął.

Więc wołają: Tak możesz zastrzelić tego zasrańca a ty mówisz że masz ich na muszce. I to był odpowiedni moment żeby wypalić kulkę albo dwie. Przynajmniej trzy. Zabić najpierw faceta na zewnątrz, od razu, tego najbliżej pobocza który mógł schować się za rogiem przyczepy, potem faceta w środku, potem faceta który najwyraźniej czaił się na końcu przyczepy żeby spróbować cię zabić. Bum bum bum.

Splunął.

Nie. Nie stary Hig. Nigdy nie przestaje mnie zadziwiać. Ty czekasz aż drzwi się otworzą i zobaczysz gościa z naciągniętym łukiem i czekasz aż wypuści strzałę na wypadek gdyby polował na bażanta i nie chodziło mu o twój tyłek…

To nie tak.

Wypuścił strzałę czy nie?

Nie ma sensu się kłócić. Oparłem się o stół, sam założyłem ręce. Było mi wstyd. Przyznaję.

W porządku więc go sprzątnąłeś. Pierwsza właściwa decyzja tego poranka. Ale ile zniszczyłeś skrzynek? Gdybyśmy ustawili się z boku jak dobry strateg, no cóż. Ale w porządku. Facet zlikwidowany. Niebezpieczeństwo zażegnane. Dwaj pozostali dają ciała i stają jak wryci zamiast wykorzystać ten moment na atak albo odwrót.

Kręci głową.

Dają Higowi jeszcze jedną jedyną okazję. Na to wtedy wyglądało. Wystawiają się na strzał. Praktycznie błagają cię żebyś to zrobił.

Splunął. Rozprostował ręce, uniósł krawędź przepoconej czapki wojskowej i podrapał się po rzednących włosach. Zsunął czapkę z powrotem. Szeroki uśmiech.

Ale nie. Znów narazimy się na śmiertelne niebezpieczeństwo. Właściwie to podarujemy im całą przyczepę coli za ich wysiłki. A przy okazji, Hig, nigdy mi nie powiedziałeś że to ciężarówka. Zawsze myślałem że jakiś magazyn czy coś takiego. Nawet nie przyszło mi do głowy pytać.

Obrócił się, splunął. Wykręcony w tył patrzył w słońce po drugiej stronie płyty postojowej i pasa startowego.

Odwrócił się do mnie.

No cóż, twoja decyzja. Ty ją znalazłeś. Wbił we mnie wzrok.

Na czym stanęliśmy? Ach tak. W końcu ze wszystkich sił starali się nas zabić więc to uzasadniona reakcja. Podarować im całą colę. W ramach nagrody pocieszenia. Jak przypuszczam. Więc damy ją im, ale najpierw damy im kolejną szansę żeby mogli nas zabić. Każemy im załadować samolot naszą własną skromną nagrodą pocieszenia a przy okazji pozwolimy im się zbliżyć, ty dość blisko żeby ich szturchnąć kolbą, oni wielcy i szybcy, doskonała szansa na kolejny atak. Ty sam, ich dwóch, żadnej kontroli nad sytuacją, nawet najmniejszej, ładowanie, wyładowywanie, obaj stale zmieniają pozycję, zupełnie swobodnie, nie są nawet związani ze sobą. Zupełnie jak w czynie społecznym, co, Hig? No.

Splunął.

No i wtedy los naprawdę się do ciebie uśmiechnął. Bo wprawdzie nie była to kurwa najmądrzejsza decyzja, ale ty masz szczęście Hig. To jedno ci cholera przyznam. Bo wtedy przekazali ci informacje. Zupełnie nieoczekiwanie. I to kurwa nieproszeni. Bez żadnych nacisków. Nie ze strony Higa. Dostajemy cynk o A-rabach.

Teraz naprawdę przeklął. Pod nosem. Teraz się nie odwrócił, splunął na podłogę hangaru.

Dostajemy cynk o A-rabach a ty co robisz? Rozwalasz tego zasrańca. Rozwalasz go właśnie TERAZ. Wreszcie do ciebie dociera że nie jest Harcerzykiem jak ty i likwidujesz go z zimną krwią. Zanim zdążyli ci wyjaśnić o co im kurwa chodziło. Pierwsze informacje o potencjalnych prawdziwych przybyszach, to znaczy przybyszach z którymi trzeba się kurwa liczyć, o możliwości pieprzonej inwazji, a ty kończysz rozmowę. Bo odkrywasz, co za niespodzianka, że ten człowiek jest gwałcicielem i mordercą jak wszyscy inni którzy przeżyli i kręcą się po tym cholernym kraju. Żeż kurwa. Co za zaskoczenie. Jasna cholera.

Wpadł w regularną furię. Jego szyja, twarz zrobiły się czerwone. Pulsowała mu na czole ta jedna żyła. Czułem gorąco na własnej twarzy. Ma rację. Tak pomyślałem. Jeśli któregoś dnia dopadną mnie i zabiją to dlatego że jestem za miękki. Prawda? Czy warto żyć w inny sposób? Sposób Bangleya? No cóż, jestem tylko uczniem. Nadal. Akolitą w Szkole Bangleya. Wystarczy że tu mieszkam. I to nienajlepszym. Nadal.

Dobra robota, powiedział. Udanego polowania.

Wstał, rozprostował plecy, wyszedł.

No tak, nie wyszło najlepiej. Zatrzymałem się przy ciężarówce żeby przywieźć Bangleyowi jego przysmak. Myślałem o nim. Też coś. Nie wziął ani jednej coli ani jednej. Kiedy nas nie będzie też żadnej nie weźmie. Znam tego człowieka. Może i obserwuje nas przez noktowizor jak śpimy, ale nie tknie niczego w hangarze. Tak głosi jego Kodeks. Poza tym cola jest teraz skażona. Skażona niekompetencją. Mamy ją, ale jakim kosztem. Bo chociaż przeżyłem spotkanie, wiązało się ono z kosztami. Chociażby statystycznymi. Zdaniem Bangleya mamy do dyspozycji określoną liczbę wtop zanim pójdziemy na dno, a walka przy ciężarówce to kolejna na moim koncie które, czy tego chce czy nie, jest teraz również jego kontem. To go wkurza najbardziej. Nie chce przegrać tylko dlatego że zadał się z jakimś idiotą.

Wypuściłem powietrze z policzków. Pomyślałem: Góry dobrze mi zrobią. Dobrze będzie tam pójść. Pooddychać świeżym powietrzem. Pomyślałem: Dziwne. Oprócz rodzin w promieniu stu mil tylko jedna osoba a mnie i tak brakuje powietrza.

VI

Teraz idziemy szybko po ciemku. Ja i Jasper, sanie szurają z tyłu. Zimno. Dobrze i zimno. Wysokie gwiazdy drażnią czerń pozbawioną księżyca, przeprawiając się przez Drogą Mleczną jak przez głęboką rzekę. Nigdy nie dotrą na drugą stronę. My nigdy nie docieramy.

Kłótnia z Bangleyem wciąż boli. Teraz tylko nasze oddechy. Zimowy tłuszcz. Czuję go w nogach. Dobrze się ruszać, szybko ruszać.

Ciągnę sanie na smyczy prawą dłonią, potem zmieniam rękę. Plecak leży w saniach, sztucer też. Tym razem, Dzięki Bangley, mam przy sobie subkompaktowy pistolet, plastikowy glock waży tyle co nic. Wrażenie że wokół więcej ocalałych, intensywniejszy ruch, nie wiem dlaczego.

Mijam wieżę po prawej. Mijam Punkt bez wzdrygnięcia. Myśli przychodzą w rytmie szybkich kroków. Można się przyzwyczaić do zabijania, tak jak można się przyzwyczaić do kozła na progu. Wuj Pete. Ze swoją butelką i cygaretkami i opowieściami. Mieszkaniem na jachcie z Louise. Wspólnym mieszkaniem na trawlerze na Alasce. Jakby z perspektywy pokładu życie stawało się bardziej fascynujące. Nigdy nie lubiłem whisky, powiedział mi. Ale piję ją bo ma bogatą historię.

Martwe kozły się mnożą. Kozła możesz zaciągnąć na pole, ale pamięć możesz tylko wystawić na słońce w nadziei że uschnie. Zmieni się w coś skruszałego i bezwonnego.

Idziemy. Jesteśmy pół godziny od pierwszych wzgórz, pierwszych drzew. Noc jest pozbawiona ciężaru: ciemność nieważka teraz w swoim immanentnym przemijaniu jak jeleń zanim zerwie się do ucieczki. Poranne światło jak myśl która właśnie przychodzi do głowy. Cisza i spokój, wysokie gwiazdy, brak wiatru.

Myślę o plemionach Równin, tych które tu mieszkały, które tędy wędrowały. Jutowie Arapaho Czejenowie. Komancze dotarli aż tutaj, Siuksowie tropili i polowali i najeżdżali, Kiowa, sporadyczni Apacze. Kiedy byłem mały czytałem o ich wojnach i najazdach i zastanawiałem się o co można walczyć w tak ogromnym kraju. Dlaczego ten krajobraz stał się terytorium wymagającym podziałów. Cóż. Bangley i ja jesteśmy we dwóch, a czasem nasza baza wydaje się za ciasna. Nie chodzi o to że mamy za mało jedzenia, surowców czy kap. To kwestia ideologii. Ideologii która dzieli narody. Dzieliła, czas przeszły. Jakie teraz narody? Wszyscy którzy przeżyli wciąż walczą, biją się o resztki. Może zwierają szeregi jak ja i Bangley.

Mimo to jesteśmy podzieleni, na naszej koalicji pojawiają się rysy. Z powodu zasad. Jego: Winny dopóki – nie, po prostu winny. Najpierw strzelaj, później zadawaj pytania. Winny, a potem martwy. Kontra co? Moje: Pozwól przybyszowi żyć minutę dłużej aż okaże się istotą ludzką? Bo zawsze się nią okazuje. Bangley powiedział to na samym początku: Nigdy nie negocjuj. Negocjujesz własną śmierć.

Ja kontra on. Idąc tokiem myślenia Bangleya dostajesz rozdzierającą samotność. Każdy dba tylko o siebie, nawet zadając śmierć, i zostajesz całkowicie osamotniony. Ty sam we wszechświecie. Wśród zimnych gwiazd. Jak te które bledną w milczeniu gdy idziemy pod nimi. Uwierz w możliwość kontaktu a dostaniesz coś innego. Podarty owerol powiewający na maszcie. Pomoc przyjętą i udzieloną. Uśmiech przez podwórko, machanie. Teraz świt mniej samotny.

Ale z nas filozofowie, co, Jasper?

Cieszy się że idziemy. Razem. Wie dokąd zmierzamy.

*

Szlakiem wzdłuż strumienia w górę. Szlakiem na długo przed naszymi krokami, przed Arapaho, wspomnianymi już Czejenami.

Jelenie i łosie, wcześniej muflony. Kojoty które na nie polowały. Kuguary. Wilki. Znów wilki. Może bizon górski. Od czasu do czasu grizzly, ale większość z nich unika szlaków, nawet szlaków zwierząt.

Idziemy między topolami które pogłębiają ciemność. Przez gąszcze wierzb. W górę trawiastych, blednących zboczy, przez krótki skalisty kanion rozbrzmiewający echem sączącej się wody. Potem las sosen żółtych, czujemy go wcześniej niż widzimy, zapach niesiony w dół rzeki: pachną wanilią, jak sklep ze słodyczami. Te które wciąż żyją. Sanie szurają na wystających korzeniach, nagich głazach. Kilka dawno wyschniętych jelenich bobków. Zatrzymuję się, wypuszczam uzdę sań i obejmuję duże drzewo we fryzie słodkiej szałwii która również jest bledsza niż noc, kępy między drzewami, pachnące przy tym i cierpkie. Przytulam grubą szorstką korę, z nosem w żywicznej szczelinie, wdycham wanilię intensywną jak w brązowej buteleczce, drzewo gryzące i słodkie jak karmel. Czas kiedy wchodziliśmy do sklepów które tak pachniały. Zatrudniających licealistów w fartuchach którzy usiłowali nałożyć twarde lody. Wtedy wydawały się okrutnie twarde. Po co trzymać je tak zmrożone? Chude dziewczyny które odrzucały włosy w tył i traktowały każdy rożek jak odwiecznego wroga. Moje ulubione rumowo-rodzynkowe. Melissy pistacjowe. Albo jakiekolwiek z kawałkami toffi. Ale uwielbiałem lodowy deser karmelowy. Ślina napływa mi do ust przy drzewie. Teraz pewnie bym za niego zabił, może dosłownie.

Jasper jest cierpliwy. Siada, potem się kładzie. Dawniej puściłby się do przodu i obiegł nasze flanki, szeroko, przecinając szlak raz za razem, idąc za węchem, wietrząc zdobycz, pełen energii, ale teraz z przyjemnością odpoczywa. Ja też. Nigdzie nam się nie spieszy. Na lotnisku jest mnóstwo zapasów jedzenia a Bangley poradzi sobie beze mnie przez kilka dni, chociaż mam nadzieję że niezbyt dobrze. Zawsze ten niepokój kiedy idziemy w góry, że tak spodoba mu się bardziej. W samotności. Chociaż jest na tyle mądry, na tyle dobrym strategiem żeby wiedzieć że na dłuższą metę jego szanse maleją.

Poza tym nie jest rolnikiem. Jasper przechodził to już zbyt wiele razy i ma dość taktu żeby nie okazywać zażenowania. Obejmowanie drzewa, mamrotanie. Tej nocy – wciąż trwa noc, choć już niedługo – nie mówię ani słowa bo tej nocy trochę się pilnuję i zawsze gardziłem sentymentalizmem, może dlatego że sam cierpię na tę przypadłość. Ale teraz to drzewo pachnie niemal słodziej niż cokolwiek innego w naszym świecie i pachnie przeszłością.

Dawniej jedną z najsłodszych rzeczy były jabłka. W Ameryce Północnej. Dlatego były takim przysmakiem, dlatego uczniowie zostawiali je na biurku nauczyciela żeby się przypodobać. Miód i jabłka. Melasa. Cukier klonowy w północnych lasach. Słodycze w Boże Narodzenie. Sen słodki, pyszny, łakomy. Czasem jesienią wracając z patrolu lądujemy w sadzie na północ od Longmont. Niezliczone akry jabłek, odmian których nazw nie znam, większość drzew od dawna martwa z braku wody, te żywe wzdłuż starych niewyschniętych jeszcze kanałów zarosły, pokryły się nowymi pędami, na powrót zdziczały, jabłka skarlałe, napoczęte, toczone przez robaki ale słodkie. Słodsze niż wcześniej. Cokolwiek pozostało z tego co destylują ma teraz większe stężenie dzięki ich bezgranicznej i groźnej wolności.

Biorę głęboki oddech, ręce rozciągnięte wokół, wnętrza dłoni na szorstkiej powierzchni która jakimś sposobem jest cieplejsza od powietrza, palce trzymają spękany sztruks kory niemal z tą samą sympatią, tym samym poczuciem spełnienia, z jakim trzymałyby krągłości kobiety.

Te małe co? Przyjemności. A zapach to zawsze zapach sam w sobie i jeszcze pamięć, nie wiem dlaczego.

Wspinamy się wzdłuż strumienia a ziarnista szarość sączy się między wysokimi szkieletami drzew, wyniszczonymi przez chrząszcze

sosnami żółtymi i wydmowymi, o gałęziach pozbawionych igieł, z pustymi rękoma w obliczu śmierci.

Nadal nie lubię tego miejsca. Martwego lasu. Który zaczął umierać wielkimi połaciami dwadzieścia lat przed. Wspinamy się. Schodzimy na kamienisty brzeg, na głazy zaokrąglone jak jajka. Żeby odpocząć, napić się, potem wspinać się dalej. Wyżej między świerki i jodły które wciąż są wonne i gęste jeszcze od głębokiej ciemności.

Jasper. No chodź. Zostajesz w tyle piesku. Kiepsko się czujesz?

Przeczesuję jego gęstą krótką sierść wzdłuż guzkowatego grzbietu kręgosłupa aż po luźną skórę na karku i drapię. Drapię. Uwielbia to. Odwraca głowę w drugą stronę żeby napiąć skórę. Następnym razem muszę zabrać aspirynę. Mamy mnóstwo aspiryny. Bangley mówi, że powinniśmy ją zażywać codziennie żeby nie dostać Alzheimera.

Żebyśmy nie zapomnieli co my tu kurwa robimy! woła, bliski radości jak nigdy.

Żebyś ty nie zapomniał. Dla ciebie to chyba ważniejsze niż dla mnie, Hig. Pamiętać o różnych pierdołach. Bierz tą cholerną aspirynę.

Bangley na swój sposób spostrzegawczy, znawca charakterów.

Odpoczywamy. Ja siadam na kamieniu nad stawem a Jasper układa mi się na stopach. Robi tak kiedy nie czuje się dobrze. Już rano, szarość nasycona kolorem. Nikło. Odpoczywamy dopóki słońce nie zaczyna przeświecać prosto przez drzewa, delikatnie brzęcząc, przysięgam, jak poluzowane struny banjo. Strumień odpowiada, pluśnięcie i brzeg.

Zeszłej jesieni widziałem ślady łosia. Jeden rząd który prowadził od ciemnego świerku odcisnął się w szlamie w miejscu gdzie latem płynął strumień i urywał się na gładkich zakurzonych kamykach

żwirowej łachy. Jeden. Duża klępa. Duch. Podobno odeszły, wszystkie.

Pisk. Zimorodek. Czasem towarzystwa dotrzymuje nam zimorodek. Śpiewa w górze strumienia przed nami. Jego pikujący lot przypomina mi przewody telefoniczne obciążone lodem, ten sam łuk raz po raz po raz. Przysiada na martwym konarze nad strumieniem, piszczy, znów się podrywa. Jakby kazał nam za sobą nadążać. Całe mile. Może samotny, pozbawiony towarzystwa. Czasem pluszcz podskakujący na kamieniach nad brzegiem wody. Może raz w roku widujemy rybołowa.

Lubimy te ptaki, co Jasp?

Na chwilę otwiera oko, nie podnosi łba z mojego buta. Jeśli powiem coś jeszcze, znam go na tyle: podniesie łeb żeby spojrzeć na mnie i sprawdzić czy ten temat faktycznie go dotyczy, czy nie potrzebuję jego rady, a wtedy nie spuści ze mnie wzroku dopóki nie zorientuje się w sytuacji czy może to nic takiego, więc nic już nie mówię. Niech sobie odpocznie.

*

Budzimy się i ruszamy. Strome podejście, kręta ścieżka na pierwszy bastion wzgórz.

W południe przechodzimy przez starą autostradę stanową. Nawet nie dotykamy spękanego makadamu, idziemy pod dużym przepustem z blachy falistej, teraz suchym, bo powódź wymyła wszelkie ślady życia i zawróciła strumień. Pusta przestrzeń. Myślę o Jonaszu i brzuchu wieloryba. Dawniej krzyczałem i śpiewałem w środku żeby usłyszeć swoje spotęgowane echo, ale teraz już nie.

Jasper tego nie lubił.

Przechodzimy przez autostradę i idziemy w górę wzdłuż strumienia. Czekam aż Jasper mnie dogoni. Sztywno porusza biodrami, urywany oddech, zadyszka. Pierwszy długi spacer w tym roku, pewnie jest w kiepskiej formie tak jak ja, to ten zimowy tłuszczyk.

*

Dwa wilki. Dwa rzędy śladów pojawiają się i znikają w miałkim błocie na samym skraju wody, szybkie tempo. Zwracają uwagę Jaspera. Na moment. Sierść mu się jeży ale zaraz traci zainteresowanie. Skupia się na tym żeby nadążyć, jakby marsz pochłaniał całą jego uwagę.

*

Gdzieś o drugiej zarządzam przerwę dla nas obu. Nigdzie się nie spieszymy. Nadal jesteśmy kilka mil poniżej miejsca w którym widziałem ślady, ale to nic nie znaczy.

Mogą być gdzieś tutaj, co, Jasper?

Wyciągam futerał na wędkę z sań żeby wiedział że oficjalnie skończył dyżur.

*

Płytka woda nad krótkim kamienistym urwiskiem, same bystrza. Powalone drzewo przesiewa strumień. Jeszcze nie kanion, ale duże ciemne drzewa wciąż żywe, świerki srebrne i norweskie, daglezje, pochylają się ku sobie, ich gałęzie porośnięte oplątwami które kołyszą się i drżą na wietrze. Zastanawiam się ile mają lat. Są suche i delikatne w dotyku, niemal sypkie, ale na drzewach kołyszą się jak smutne proporce.

Składam wędkę i zakładam żyłkę a Jasper kładzie się na płaskim kamieniu i mnie obserwuje. To jedyny w słońcu i obserwuje mnie w plamie cieplejszego światła, jego cień na głazach przykrywa okrągłe kamyki jak cienka warstewka wody. Łodygi zeszłorocznej

dziewanny tkwią w łasze jak niezapalone świece. W tych samym promieniach słońca widzę rójkę maleńkich muszek niemal mgiełkę.

Zdejmuję buty i spodnie, wkładam lekkie tenisówki z antypoślizgową podeszwą których używam od lat. Jeśli guma się wytrze, mam następne. Podczas ostatniej wyprawy na parking przy hurtowni wziąłem pięć par w moim rozmiarze. Nie tak lekkie, ale ujdą. Jakieś trzy lata na parę więc powinny mi wystarczyć dopóki dopóki. Nie potrafię sobie tego wyobrazić. W mojej głowie obrazy nie składają się w całość. Mnożenie lat i dzielenie ich przez chęć życia jest fałszowaniem ksiąg. Skupimy się na tym strumyczku. Na zakładaniu nowego kawałka żyłki i kosmatej muchy, i dmuchniemy na nią na szczęście. Na tym rzucie i następnym, a jeśli sami będziemy mieć szczęście, razem złoży się to na zmierzch.

I kolację. Chcę to krzyknąć do Jaspera, ale śpi, a zna to słowo i za bardzo by się podekscytował, więc nie krzyczę dopóki nie złowię ryby. Zawsze dostaje pierwszą.

*

Łowiłem przez kilka godzin. Zarzucałem chruścika za chruścikiem. Stanąłem u szczytu zakola, łowiąc w płytkiej wodzie która zaczęła mienić się srebrem gdy słońce wzeszło ponad strumieniem. W nurcie splatały się srebro i czerń jak rtęć i ropa. Później słońce przesunęło się za wzgórze, spowijając nas zimnym cieniem, a woda odbijała tylko bezchmurne niebo i znów widziałem kamienie w płytszych bystrzach. Zielone kamienie i wodę niebieską tam gdzie marszczyła się i falowała. Jasper nawet przez sen skądś wie kiedy odchodzę dalej niż o kilka kroków i obudził się i poszedł za mną i zwinął się w kłębek w piaszczystym wgłębieniu między kamieniami jakieś pięćdziesiąt jardów wyżej. Zostawiłem muchę i przywiązałem do haczyka kawałek żyłki i założyłem brązkę ze złotą główką i w kilka minut złowiłem cztery duże karpie. Pozwoliłem nimfie toczyć się po

dnie, górny chruścik unosił się swobodnie a potem nieruchomiał, delikatne wychylenie, ulotne, nawet nie szarpnięcie, i wtedy wiedziałem że karp połknął nimfę i atakowałem i zacinałem rybę. Walczyły bez żywiołowości pstrągów, za to z ponurą niechęcią muła zapierającego się kopytami. Nie rzucały się w górę strumienia ani nie chowały między konarami powalonego drzewa, po prostu ani drgnęły co nie było zbyt zabawne, ale niewiele już mnie bawiło i zacząłem podziwiać ich stoicyzm. Beznamiętna niezgoda na to, żeby paść ofiarą wszechświata.

Jak my.

Więc kiedy podniosłem gruby tułów obiema rękami i uderzyłem łbem o kamień powiedziałem Dzięki stary wiedząc dokładnie jak to jest nie być gotowym.

Gwizdnąłem. Wprawdzie Jasper jest prawie głuchy, ale gwizd jakimś sposobem pobudza w jego głowie coś głębszego niż słuch, więc przeciągnął się i stanął nieco chwiejnie i otrząsnął się i zadowolony potruchtał w górę strumienia i dałem mu pierwszą rybę, mogła ważyć jakieś siedem funtów. Wyfiletowałem ją, dałem mu dwa płaty szarego mięsa, łeb i ogon, a ości wrzuciłem z powrotem do wody. Następną którą złowiłem rozciąłem i wypatroszyłem a w brzuchu miała pełno muszek i kilka sporych raków.

Późno. Brodziłem całe popołudnie a nurt był zimny w miejscach gdzie napierał na moje kolana i uda, ale stopy dawno zdrętwiały mi tym martwym ciepłem. Zaczynałem marznąć. Złapałem piątą rybę, mniejszą, wypatroszyłem ją i przebiłem jej skrzela końcem szpili i nawlokłem ją razem z resztą na linkę. Położyłem je w saniach. Roztarłem gołe nogi żeby pobudzić krążenie. Nie było już słońca, strumień połyskiwał wczesnym zmierzchem. Czułem się jak? Szczęśliwy. Myśleliśmy wyłącznie o strumieniu, o kolacji, o rozbiciu obozu ciut wyżej na piaszczystej łasze, którą lubiłem odwiedzać.

Wciągnąłem spodnie, usiadłem na głazie i założyłem buty. Ryba dodała Jasperowi sił, patrzył na mnie z otwartym pyskiem uśmiechnięty bo wiedział że nie idziemy daleko i że dostanie kolejną rybę albo dwie, tym razem usmażone i osolone.

Okej, idziemy.

Obeszliśmy kępę wierzb i olch jeszcze bez liści i znaleźliśmy ścieżkę przez skupisko zielonych i żywych i sędziwych jodeł, ich kora robi się pomarańczowa prawie jak dynia kiedy są bardzo stare, i znaleźliśmy nasze palenisko w piachu kilka kamienistych jardów od wody i gładkie miejsce na posłanie pod jednym z dużych starych drzew.

Przyciągnąłem kilka zwalonych gałęzi z gęstszej części lasu za obozem i połamałem je i ułożyłem na poduszce wyschniętej oplątwy i szybko rozpaliłem ognisko. Żebyśmy mogli się rozgrzać. Drzewo było suche i pełne żywicy i strzelało i trzaskało nucąc domową piosenkę ponad sylabicznym szumem strumienia i wiatru w wysokich konarach. W lesie zapadła już ciemność, wypełniała niewielki kanion jak powolny przypływ a płomienie ją pogłębiały, ale niebo było wciąż jasne rzednącym błękitem i widziałem dwie gwiazdy.

Jasper też był szczęśliwy. Ułożył się przy ognisku pod wiatr i z dala od dymu i z łbem na łapach obserwował jak smażę nasze ryby na lekkiej górskiej patelni z długą rączką, wyprodukowanej pewnie sto lat temu. Rączka miała błyszczącą cynową powłokę, która rozprasza ciepło i wytłoczony znak Simpson and Sons Ranchware. Sto lat temu, kiedy ranczerzy latem wypasali swoje bydło wysoko w górach, dzierżawiąc ziemię od Służby Leśnej, i obozowali tu wiele dni i spędzali zwierzęta jesienią jak w piosence country. Ci twardzi kowboje przykucnięci przy takim ognisku jak to. Co nigdy nie przyszłoby im do głowy. Co nigdy nie przyjdzie nam, kiedy smażymy tu nasze ryby na patelni ciężkiej od karpi i pryskającej ocaloną oliwą z oliwek. Pryskanie i skwierczenie, trzask gałęzi, trzepot płomieni na

zmiennym wietrze, ten sam wiatr na dole niesie zimno z wyższych wzgórz i wpada między konary drzew jak duch dawnych fal.

Jasper siedzi teraz jak Sfinks obserwuje mój każdy ruch. Jego chwila. Solę największą rybę, kładę ją na płaskim kamieniu i wyciągam szkielet, zaczynając od ogona, rozpinając ości.

Provecho.

Stoi, macha ogonem, to dziś pierwszy raz, i pochłania swoją kolację, chrząkając cicho.

Rozciągam naprężoną linkę między dużym drzewem na straży naszego obozu a młodą olchą i rozwieszam plandekę dla ochrony przed rosą.

Smażę rybę dla siebie i klękam na kamykach nad wodą i piję i obmywam twarz. W gładkiej ciemności między kamieniami z ledwo wyczuwalnym nurtem umyka nartnik a kilka gwiazd migocze.

Przygotowuję nasze posłanie pod drzewem i kładę się. Wstaję, rozwiązuję dwa rogi plandeki i przesuwam ją bliżej drzewa. Będzie trochę rosy ale nieważne, rano wysuszymy wszystko przy ognisku. Dziś chcę widzieć niebo. Kładę się znów a Jasper podchodzi sztywno prawie kuśtyka, mieliśmy dziś długi spacer, i liże mnie po całej twarzy dopóki nie odwrócę się ze śmiechem. Wtedy zwija się u mojego boku, jak zwykle opadając z westchnieniem. Słuchamy wiatru wysoko, wody nisko. Wsuwam ręce pod głowę i patrzę jak jaśnieje Wóz. Czuję się świeżo. Świeżo i dobrze.

*

Rano budzę się zesztywniały. Śpiwór i Jaspera pokrywa szron. Moją wełnianą czapkę też. Może nienajlepszy pomysł żeby spać pod gołym niebem. To nic, za chwilę rozpalimy ognisko.

Na pewno ci zimno, piesku. Chodź. Ciągnę za jego kapę w postaci z kreskówek żeby go przykryć. Jest ciężki, nieruchomy. Coraz sztywniejszy, rano mu trudniej.

No chodź, mały, tak będzie lepiej. Dopóki nie rozpalę ogniska. Chodź.

Ignoruje mnie. Wyciągam kapę i otulam go nią, muskam jego ucho. Moja dłoń zastyga. Jego ucho jest zamarznięte. Przesuwam rękę na jego pysk, przecieram mu oczy.

Jasper, wszystko dobrze? Trę i trę. Trę i ciągnę za futro na szyi.

Hej, hej.

Szarpię za kark. Hej, obudź się.

Siadam i obracam się na bok, klatką piersiową na jego plecy, i przykrywam go.

Hej, wszystko dobrze. Prześpij się trochę.

Prześpij.

Przyciągam go, sztywnego i skulonego, bliżej siebie i otulam go kapą i kładę się na plecach. Oddycham. Powinienem był zauważyć. Jak ciężko mu się szło. Łzy których nie było wczoraj zalewają. Przerwały tamę i zalewają.

Co ja teraz zrobię? Za kilka minut rozpalę ogień.

Jasper. Młodszy bracie. Moje serce.

Rozpalę ogień. Ułożę patyki na oplątwie i rozpalę. Usmażę ostatnie dwie ryby. Zjem jedną. Ja.

*

Podróżowaliśmy.
Teraz ty będziesz drogą
Którą będę szedł będę szedł
Po tobie.

*

Cały dzień się nie ruszam. Stale dokładam do ognia. Leży w swojej kapie, owinięty wygodnie, wystaje mu tylko nos. To z jego widokiem nie chcę się rozstać.

On jest teraz jedynym. Jedynym widokiem. Który. Jutro będę. Nie wiem.

KSIĘGA DRUGA

I

Nie. Nie robię nic cały dzień. Nie rozpalam ogniska. Nie smażę ryb. Zostawiam je na lince zwisającej z gałęzi. Mogą zwabić niedźwiedzie i kuguary. Mam to gdzieś. Wstaję żeby się wysikać, napić trochę wody z potoku zimniejszego po mroźnej nocy. Płytszego w korycie, zwalone drzewo na kamieniach w górze strumienia wystaje wyżej ponad nurt. Więc tak. Odwrót. Serce jak strumień też zmrożone.

Wracam do śpiwora i kładę się obok niego. Drzemię. Przysuwam nogę żeby czuć jego ciężar. Teraz inny, sztywny, ale to on. Piję po południu. Chłodny dzień. Słońce w pełni nad strumieniem, nad nami, może trzy cztery godziny potem znika. Teraz czuję ryby. Tak.

Nie rozwijam plandeki i czekam na noc. Jak szła ta piosenka? *Jeśli umrę we śnie, nakarm Jake'a, dobry był z niego pies*… Może lepiej. Ale wtedy to on miałby śmiertelnie złamane serce. Lepiej tak. Jak ciemność która znów zalewa kanion spowija strumień spowija nas czarnym całunem. Cisza. Nigdy żadnego rozstrzygnięcia. Ani jednego. Żadnych decyzji, żadnego domknięcia. Wóz toczy się na swoje miejsce. Wystarczy jeden obrót. Jeden obrót kół i jesteśmy inni, już nigdy tacy sami. Nigdy. Nawet te gwiazdy. Nawet one niszczeją, rozpadają się, łączą, dzielą. Zamykam oczy. Tylko to coś w środku. To coś co porusza się w środku pływa w bólu jak ślepa ryba wiecznie pływa. To coś żyje pozostaje. Odnawia, odnawia miłość i ból. Miłość jest korytem strumienia a wypełnia je ból. Co dzień wypełnia je łzami.

W nocy w którymś momencie, kiedy nad kanionem wiszą Bliźnięta, myślę o saniach i ukrytym w nich sztucerze. Co z nim zrobić. Czuję ciężar Jaspera na kolanie które wcisnąłem pod niego i myślę: Nie spodobałoby mu się to, o nie. Powiedziałby co? Nic by nie

powiedział. Nigdy nie opuścił posterunku nigdy, dodawał mi tym sił. My nigdy nie opuszczamy posterunku, prawda? Tacy już jesteśmy.

W którymś momencie zasypiam pod Bliźniętami.

*

Jest trzeci dzień. O świcie przesuwam się, wyczuwam go w kapie i mam chwilę. Chwilę kiedy nie pamiętam a potem chwilę kiedy pamiętam ale i tak czekam aż się poruszy. Czekam przekonany że zmartwychwstanie. Bo mógłby. W końcu zanegowaliśmy wszystko prawda? Więc czemu nie to?

A potem szlocham. Szlocham i szlocham. I zbieram się w sobie i niosę go skulonego w kapie, zanoszę go pod drzewa i zaczynam kopać. Patykiem, płaskim kamieniem, palcami.

*

Przez większość poranka dopóki nie jest wystarczająco głęboki żeby zniechęcić niedźwiedzia. Ma sens. To było jedno z naszych najbardziej ulubionych obozowisk na świecie. Rok w rok. Żeby jego duch mógł patrzeć. Jak strumień się zmienia z porami roku. Kładę go owiniętego w kapę i mówię

Żegnaj, piesku. Ty jesteś Jasper. Moje serce. Nigdy nas nic nie rozdzieli, ani tu, ani tam.

Potem znów grzebię się w ziemi.

Reszta dnia upływa mi na zbieraniu kamieni. Brukowców, otoczaków, ciężkich głazów. Zaokrąglonych i wygładzonych w strumieniu. Układam kopiec do wysokości mojej klatki piersiowej. Na górze nie wiem co położyć. Zdejmuję stary wełniany sweter. Tak samo jego zapach jak mój. Kładę go na górze i przykładam następnymi kamieniami. Żeby rozwiały się tu jak flaga modlitewna jego zapach i mój skąpane w czasie. Jakbym mógł go przykryć.

Potem pakuję sanie i ruszam w górę strumienia.

*

Dziś dwadzieścia razy zatrzymałem się i odwróciłem jakbym chciał zawołać. Hej trzymaj tempo. Dwadzieścia razy odwracałem się z powrotem w stronę wzgórza. Zwieszałem głowę, stawiałem stopy na ścieżce.

Raz zatrzymałem się, wystawiłem twarz ku słońcu, z zamkniętymi oczami, żeby światło osuszyło moje łzy. Odchyliłem głowę mocniej, kojot pełnią płuc.

Po mojej prawej stronie strumień rozbija się o skalny występ. Słońce obezwładnia powieki, zalewa je jak ciężka woda.

Jeżeli nie ma nic innego jest to: być zasypanym, pochłoniętym.

*

Nie żeby nic nie zostało. Zostało wszystko co było wcześniej, oprócz psa. Oprócz żony. Oprócz hałasu, zamieszania z.

Myślimy mówiąc, a mówiąc możemy coś odroczyć. Cóż. Ja nie mogłem, prawda? Ty nie mogłeś. Towarzyszyłeś mi bo uważałeś że to twój obowiązek. Czy byłem głupi? Czy obaj byliśmy? Kochać to opowiedzieć się po jednej ze stron i trzymać się jej kurczowo po samą śmierć. Stać po jednej ze stron (mocno) obiema nogami. Albo czterema, co, piesku?

My głupcy na szlaku w górę, dwaj głupcy, teraz jeden.

*

Istnieje ból którego nie możesz uśmierzyć myślami. Nie możesz zagłuszyć słowami. Gdybyś miał się do kogo odezwać. Możesz iść. Jedna stopa druga stopa. Wdech wydech. Pijesz ze strumienia.

Sikasz. Jesz suszoną sarninę. Zostawiasz jego mięso na szlaku dla kojotów sójek. I. Nie możesz przetrawić straty. Jest w komórkach twojej twarzy, twojej klatki piersiowej, za oczami, w załamkach trzewi. Mięśniach ścięgnach kościach. Wypełnia cię całego.

Kiedy idziesz pchasz go przed sobą. Kiedy puszczasz sanie i siadasz na powalonej kłodzie i. Wyobrażasz sobie jak zwija się w kłębek obok ciebie w jedynej plamie słońca może układa ci się na stopach. Nie czuje się najlepiej. Wtedy siada przy tobie, Ból otacza cię ramieniem. To twój najbliższy przyjaciel. Oddany. A nocą nie możesz znieść odgłosu własnego oddechu bez akompaniamentu tego drugiego, a w tle wielkiej ciszy jak muzyka filmowa rozlega się huk wodospadu wszystkiego co jest i jest odbierane. Wtedy. Ból leży u twojego boku, blisko. Nie niepokoi cię nawet odgłosem oddychania.

*

Ostro pojechałem, co, Jasper? Napierdalam poezją aż miło kiedy po prostu mi ciebie brakuje. Naprawdę kurewsko mi ciebie brakuje.

*

Szedłem przez trzy dni. Niewiele jadłem i spałem. W śpiworze kładłem się raczej dla przyzwoitości. Nie chciało mi się rozpalać ogniska ani przy nim siedzieć, nie chciało mi się spać ani nie spać, nie wiedziałem co innego mógłbym zrobić. Od czasu do czasu klękałem na kamieniach i piłem ze strumienia. Szedłem na zachód potem na północ. Prosto do Indian Peaks. Kiedy naprawdę poluję zostawiam sanie i plecak w obozie lub jakimś charakterystycznym punkcie i dalej poruszam się bezgłośnie. Zabieram mniejszy plecak a w nim kurtkę puchową, litrową butelkę żeby móc wspiąć się wyżej albo przesiedzieć cały dzień na jakimś zboczu daleko od wody. Zapałki, piłę myśliwską, parkę. Nie tym razem. Sanie szurały i podskakiwały na ziemi i narobiłem rabanu i nie widziałem

zwierzyny, same tamiasy, kowaliki, wrony, przestraszone wiewiórki które podniosły na drzewach alarm, informując całą okolicę: Idzie Hig. Hig ze swoją strzelbą. Ale nie robi tego na poważnie, łomocze tym całym ustrojstwem, nie wygląda najlepiej. Gdzie jego kundel? Wiewiórka na konarze, przestraszona, z ogonem wywiniętym do przodu, żywa i drżąca, jej pisk przeszywający jak róg alpejski. Równie dobrze mogłem wyciągnąć gwizdek. Raz dwa trzy szukam! Nawet wrony rozgorączkowane, wykręcają głowy, wbijają w nas, we mnie, błyszczące oczy, otwierają dzioby, rozciągają gardła, a spośród zachrypłych pomruków wydobywa się wściekły skrzek. Inspiruję je. Szczyt oburzenia. Że myśliwy jest nieostrożny. Że rozbija się po szlaku. Że jest nierozważny, głośny, nieświadomy, nieudolny. Że narusza Porządek. Hierarchię. Łowca i zwierzyna. Brak szacunku. Coś z nim nie tak. KRAAAAA.

Żal jest żywiołem. Ma własny cykl jak cykl węglowy, azotowy. Nigdy nie słabnie nigdy. Przenika wszystko przelotnie ulotnie. Trzeciego dnia wieczorem zaczął padać śnieg. Późny wiosenny śnieg ale nie ciężki, nie mokry. Spadek temperatury równie nagły jak przejście chmury, zimno, zimno jak w środku zimy i wiatr też ucichł. Staliśmy na skraju niewielkiej kotliny ponad granicą drzew a na dnie zalegał stary śnieg i lśniło jeziorko na którym niedawno odtajał lód. Staliśmy. Stałem. Można zostać razem. Mówcie co chcecie tak to czułem. Idzie z tyłu, zapuszcza się w bok, ten sam lecz niewidoczny. Nie jak. Jezioro jak klejnot w oprawie zarośli i chropawego usypiska, woda zielona jaskrawą niepokorną zielenią kamienia półszlachetnego ale marszczona wiatrem. A potem nie. Tafla nieruchoma i zaszklona, wygładzona w mgnieniu oka, odbite w wodzie ciemne chmury które piętrzyły się i napierały na grzbiety jak stopiony metal, i nagle zrobiło się bardzo zimno a płatki śniegu zaczęły muskać powierzchnię. Bezgłośne, ciche, przemijające. Wypuściłem uzdę sań. Stałem pięćdziesiąt jardów od wody. Obfitszy śnieg. Biała gaza która zaćmiła powietrze, która przyspieszyła zmrok tak jak ogień pogłębia noc.

Stałem oczarowany. Za zimno na gołe dłonie, ale moje dłonie były gołe. Płatki sklejały mi rzęsy. Spadały mi na rękawy. Ogromne. Kwiaty i gwiazdy. Wpadały na siebie, zachowując swój kształt, zmieniały się w stosiki idealnych asteryksów i kwiatów stłoczonych w swoich odrębnych geometriach jak klocki dla dzieci.

Coś na kształt śmiechu. Że kwiat może być taki mały, tak ulotny, że płatek śniegu może być taki duży, tak trwały. Ta nieprawdopodobna prostota. Jęknąłem. Dlaczego nie mamy słowa na odgłos między śmiechem a płaczem?

I nagle zrobiłem się bardzo głodny. Oderwałem wzrok od lewego rękawa i rozejrzałem się po przełęczy. Skalisty grzbiet i szczyt nade mną przesłonięte. Ja pierdolę, co ty tu robisz? Hig, co ci strzeliło do tego pieprzonego łba? Dlaczego jesteś tak wysoko, tak późno?

Nie powinienem być. Nocą nad granicą drzew. Burze które o tej porze roku przesuwają się szybko, migrując jak wszystko inne. Zimno. Odsłonięty. Żebra ścisnęła mi dawna panika. Panika zmierzchu, burzy, samotności na otwartym terenie. Cholernie mnie zaskoczyła.

Muszę wracać, zejść niżej.

To znaczy panika była znajoma tak jak znajome są potworne mdłości albo kac, ale tak dawno się nie pokazywała, sądziłem że się jej pozbyłem. Jakby kiedy utkniesz między życiem a śmiercią panika nie ma sensu. Ale nie. Nie pozbyłem się jej. Wcale nie była obca. Panika bliska i znajoma o własnym zapachu, własnym sposobie ścinania zakrętów. Podniosłem uzdę sań. Obejrzałem się na swoje ślady na zamarzniętych resztkach śniegu. Na ciemność, która gęstniała ze śniegiem. Za późno na powrót. Kurwa.

Chodzi o to że Jasper zawsze mnie uspokajał. Mało co go ruszało, może z wyjątkiem wilczych śladów, więc mnie też.

Ale było spokojnie. Bez wiatru nie było niebezpieczeństwa. Mogłem zrobić prowizoryczny szałas z plandeki rozpiętej przy głazie i zasunąć się w śpiworze i spać. Jutro rano, jeśli śnieg nie będzie zbyt głęboki, będę mógł ruszyć w dół i bez problemu przejść pod osłonę drzew i łowić ryby w strumieniu za pół dnia. Kilka godzin.

Zjadłem już całą suszoną sarninę. Głód głęboki, wilczy, żywy. Gdybym nie wyrzucił tego drugiego mięsa, dla Jaspera, zjadłbym je teraz. Kto by mnie osądził? Jakie to ma znaczenie on czy ja, jesteśmy tacy sami. Ale opróżniłem te torby na szlaku wiele dni temu.

W porządku. Była woda. Był stos głazów po drugiej stronie, spadzistej stronie jeziora. Szarpnąłem sanie zrobiłem krok i zatrzymałem się.

Na grani zobaczyłem jakiś cień. Wszystko było bardzo blisko: jezioro, zbocze, bezładne usypisko, za nim ostra linia grzbietowa wynurzająca się ze śnieżycy prosto w niską pokrywę chmur. Właśnie tam na bocznym paśmie, dokładnie w miejscu gdzie znikało w chmurze, duży ciemny kształt. Otarłem ramieniem lód z rzęs a kiedy znów spojrzałem na grzbiet, już go nie było.

Zrobiłem ukośny dach z niebieskiej plandeki rozpiętej na głazie, usunąłem mniejsze kamyki, żeby mieć równe miejsce na posłanie, i przykryłem się i spałem. Spałem bez snów, bez miażdżącego żalu, spałem żeby obudzić się w niemal zupełnej ciemności usłyszeć śnieg padający na plastikową osłonę znów zasnąć. Obudziłem się z myślą że ten kształt był wystarczająco duży na łosia. Z myślą że nie widziałem żadnych śladów i z pytaniem czy to dobrze czy źle marzyć o czymś czego nie ma.

*

Dziesiątego dnia dałem Bangleyowi sygnał przez krótkofalówkę. Wcześnie rano. Niespecjalnie przejmowałem się osłoną na tych kilku milach otwartego terenu, że ktoś mnie zastrzeli albo wyjdzie za mną z lasu, ale to był nasz rytuał. I w ten sposób zyskiwał trochę czasu żeby oswoić się z moim powrotem do jego świata, parę godzin na przypomnienie jak być człowiekiem. Może. Poza tym jeśli co godzinę monitorował pogranicze z wieży w rezydencji, co miał w zwyczaju, mogło mi to uratować skórę przed bratobójczym ogniem. W zasadzie było mi wszystko jedno jak odejdę, ale z jakiegoś powodu tę opcję odrzucałem. Bo już sama myśl: pomyłka Bangleya. A może nie. Może połowiczna pomyłka, nieuświadomiona jak biedny stary Francis Macomber. O właśnie. Nie chciałem być nim w krótkim i szczęśliwym życiu. Dlatego włączyłem krótkofalówkę pierwszy raz i dwukrotnie wcisnąłem przycisk mikrofonu.

W saniach leżały dwie łanie. Były nieduże, ale dwie, może wystarczą żeby uzasadnić długą nieobecność, pewnie nie. Miałem to w dupie. Niech mówi co chce. Już tu nie rządzi, ja tak naprawdę też, kiedy się nad tym zastanowić każdego dnia wiedziałem mniej. Nie wiedziałem już zupełnie nic.

Minuta, mniej, potem szum zakłóceń, i *Proszę proszę. Hig marnotrawny. Myślałem że mi wykitowałeś. Poważnie.*

Cześć Bruce.

Ostrożna pauza, dość długa. Zawsze zbija go z tropu. Odruch jak po wciśnięciu guzika. Może tego imienia używała tylko jego mama. Kiedy była zła.

Jakieś kłopoty?

Tym razem bez ironii. Co mnie zaskoczyło. W głosie Bangleya jakby nuta niepokoju. Chociaż trudno ocenić przez krótkofalówkę.

Coś w tym rodzaju.

Okej. Cieszę się że wróciłeś w jednym kawałku.

Pauza.

Jesteś? W jednym kawałku?

Wyciągnąłem krótkofalówkę przed siebie i przyjrzałem jej się. Cholera, Bangley brzmiał jak człowiek. To na pewno problem z zasięgiem, zakłócenia, coś w załamaniu fal radiowych, jakiś rozbłysk słoneczny, szum. Chciał przez to powiedzieć: Czy potrzebujesz pomocy przy przejściu?

Tak jest w jednym kawałku. Nogi ręce, cała reszta.

Okej daj mi dziewięćdziesiąt minut.

Dziesięć cztery.

Hig?

No?

Urlop sobie kurwa wziąłeś?

Ach, stary dobry Bangley.

Wcisnąłem mikrofon. *Dziewięćdziesiąt minut. Bez odbioru.*

Było już jasno. Kucałem w moim miejscu pod zboczem porośniętym sosnami żółtymi – w kępie wierzb i topoli u podnóża pierwszych wzgórz, gdzie strumień odbijał na południe a nasz szlak biegł prosto na wschód. Przez otwarty teren. Gdybym się lepiej zorganizował, wyruszyłbym wiele godzin przed świtem a Bangley nie musiałby iść do wieży za dnia. Niósł cheytaca kaliber .408 czyli lekki karabin snajperski, o ile coś o tak wielkiej mocy może być lekkie. Jego chluba, przystosowany do marszu jeśli musisz iść i równocześnie przestrzelić komuś płuca z odległości mili.

Siedziałem dziewięćdziesiąt minut ze słońcem prosto w twarz co prawdę mówiąc nie było najlepszym pomysłem, żebym wyszedł tam na wpół ślepy, i uspokajała mnie świadomość że stał na swojej wieży, ze słońcem za plecami i niezakłóconym widokiem aż po pierwsze drzewa w idealnym świetle. Wcześniej trzy razy miałem problemy. Raz to była ta dziewczyna z nożem która wcale nie była problemem. Myślałem o tym że zupełnie nie spodziewam się problemów, tak ciepło o świcie rześkim od zapachu młodej trawy i pierwszych kwiatów kiedy zacząłem iść. Szedłem ponad godzinę ładunek ciężki na równym terenie, obie łanie poćwiartowane i ułożone w saniach, i pokonałem ponad połowę drogi do wieży walcząc z uzdą sań, szarpiąc mocno, kiedy nadajnik przypięty na klatce piersiowej ożył.

Hig masz towarzystwo. Zaniepokojenie. Rzadki alarm.

Okej. Towarzystwo.

Upuściłem uzdę i odwróciłem się. Za mną wzdłuż szlaku nic. Wysoka szałwia, krzewy, trawa sięgająca już kolan. Kwitnące astry, żółte i białe, grube pszczoły już spijały nektar, szlak za mną równy i pusty. Łomot serca.

Hig, oni cię tropią. Ćwierć mili za tobą. Przyjąłeś? Ćwierć mili, trochę więcej.

Okej. Okej. Przyjąłem.

Powiedz dziesięć cztery. Powtórz informacje. Jesteś pilotem do jasnej cholery.

Jezu Bangley.

Próbuję cię uspokoić. Skup się na szczegółach. Po kolei.

Matko boska. Skąd on się urwał?

Pauza.

Dziesięć kurwa cztery. Ćwierć mili. Jestem skupiony.

Dobrze. Okej, odwróć się z powrotem. Teraz. Odwróć się. Popatrz na mnie. Weź butelkę z wodą. Przeciągnij się. Udawaj że robisz sobie przerwę. ALE JUŻ!

Okej, okej, rozumiem.

Nie mogą nas słyszeć, Hig. Wiatr wieje od nich od ciebie. Idą pod wiatr. Zachowuj się naturalnie. Przeciągnij się. Napij. Wciśnij mikrofon jakbyś się drapał po piersi. Jesteś tu całkiem sam. Jak dla nich jesteś tu solo, Hig. Samotna ofiara.

Zajebiście.

Gdzie twój przyjaciel?

Mój przyjaciel? A, Jasper. Długo by mówić.

Krótka pauza. Prawie słyszę zgrzyt trybików, lekką modyfikację strategii.

Dziewięć. Zrozumiałeś? Liczba to dziewięć. Masz dziewięciu na ogonie.

Dziewięciu? Ja pierdolę.

Hig oni wiedzą że jesteś uzbrojony. Chcą dostać twoje mięso chcą dostać twoją broń. Sami nie są uzbrojeni. Nie mają broni. Nie widziałem broni palnej. Gdyby ją mieli już byś nie żył. Przyjąłeś?

Tak kurwa przyjąłem. Dziewięciu?

Hig posłuchaj. Mają maczety. To wygląda na maczety albo szable.

Szable? Pieprzone szable?

Hig, uspokój się. Są gotowi ponieść jakieś straty. Tak to widzę. Naprawdę chcą dostać twoją broń.

Pieprzony Bangley. Zgadywał to wszystko z odległości dwóch mil. Na wieży pochylony przy okularze swojej lunety.

Super.

Gotowi ponieść jakieś straty. Każdy kombinuje że padnie na kogoś innego. Chcą zjeść sarninę i chcą dostać sztucer. Przyjąłeś?

Tak.

Powiedz to Hig. Nie trać koncentracji.

Waliło mi serce. Prawie parsknąłem śmiechem. Właśnie wtedy kiedy słońce świeciło mi w plecy, kiedy patrzyłem na szlak przez wysokie krzaki z pieprzonym, w zasadzie, pieprzonym oddziałem przybyszów czterysta jardów dalej.

Powiedz to.

Dziesięć cztery.

Dobrze. Uspokój oddech.

Bangley, kurwa, co ja mam twoim zdaniem zrobić? Co powinienem robić?

Oddychaj, masz oddychać. Tropią cię Hig. Mają cały dzień. Tak to widzę. Nie ma pośpiechu. Idziesz powoli, będą zmniejszać odległość. Stopniowo. Potem cię zaatakują. Już to robili. Ruszają się jakby już to robili. Przyjąłeś?

Tak kurwa przyjąłem. Dziesięć cztery.

Okej. Ty masz przewagę. Przewagę Hig. W tej chwili ty jesteś górą.

Tak?

Żebyś kurwa wiedział Hig. Słuchaj.

W tym momencie pomyślałem że wydaje się lekko zaniepokojony, co nie dodało mi otuchy. Dziewięciu przybyszów to zajebiście dużo jak na ludzi którzy chcą cię zabić. Mnie.

Posłuchaj. Przed tobą, na wschód, za jakieś osiemdziesiąt jardów, szlak opada w dół tworząc coś na kształt niecki. Płytkiej, ale wystarczy. Przeciągnij się i podnieś linę jakbyś był naprawdę wykończony i idź przed siebie i zejdź tam.

Bangley ja jeste*m naprawdę wykończony.*

To dobrze Hig. Będziesz spokojny. Nie ma espresso dla Higa, przynajmniej na razie. Pewna ręka. Chcemy żebyś miał pewną rękę. A teraz idź. Po północnej stronie szlaku dokładnie na dnie rośnie wielki gęsty krzew szałwii czy czegoś takiego. Parę krzewów. Świetnie. Wciągnij tam sanie i ukryj je. Zetnij gałęzie jeśli będziesz musiał. Masz tam dwa zwierzęta o ile dobrze widzę. Mam rację?

Niezły jesteś Bruce. Jesteś niesamowity.

Pauza na przetrawienie tych słów. Niepewny czy były sarkastyczne czy nie, nie miało to nawet znaczenia.

Cieszę się że zaczynasz to rozumieć, Hig, naprawdę. Sanie, mięso będą twoją osłoną. Na wypadek gdybym się mylił co do broni. Na wypadek gdyby ją mieli. Kuszę albo coś czego nie widzę. Nie mają, ale chcemy żebyś był przygotowany. Na każdą ewentualność.

Uwielbiał mówić takie rzeczy. Na każdą ewentualność. Cóż, właśnie dlatego jeszcze kurwa żył. Musiałem, przyznawałem mu to. Bangley.

Chowasz sanie i rozstawiasz się za nimi. Zrozumiałeś?

Potwierdzam. Pauza. *Bangley?*

Mów Hig.

Mój magazynek mieści pięć naboi. Jeden w komorze. Sześć.

Pauza. Słyszałem jak wiatr szeleści gałęziami krzewów. Nagle wydał mi się bardzo bardzo cichy.

Jak mam załatwić dziewięciu jeśli mnie zaatakują? Sześcioma nabojami?

Trzask radia. Nie pamiętam czy kiedykolwiek tak się cieszyłem słysząc ten dźwięk. Dźwięk interwencji, opanowania w walce, dźwięk taktycznej maestrii. Bangley.

Okej posłuchaj Hig. Oddychaj i słuchaj. Przeciągnij się jeszcze raz. Nie masz bladego pojęcia, nawet ci się śni że tropią cię jacyś popierdoleńcy. Nie zaszkodziłoby śpiewać.

Śpiewać?

Tak, śpiewać. Albo gwizdać. Nic tak nie usypia czujności jak gwizdanie. Teraz słuchaj, posłuchaj mnie Hig. Kiedy przejdą przez krawędź tej niecki zaczekaj. Zaplanuj strzały. Będziesz szedł od prawej do lewej. Tak jest łatwiej. Rozumiesz?

Tak.

Powiedz to.

Od prawej do lewej. Dziesięć cztery.

Okej. Nawet jeśli nie jesteś dziś w życiowej formie rozwalisz dwóch pewnie trzech. Co najmniej. Poza tym strzelasz z ukrycia. Te pierwsze strzały to będzie absolutny szok, możesz mi kurwa wierzyć. Absolutny szok. Myśleli że cię mają. Myśleli że jesteś jakimś biednym wykończonym sukinsynem który upolował kilka jeleni a teraz wraca

do domu nieświadomy co go czeka. Nie wiedzieli że weszli na nasze pieprzone pogranicze.

Walnął mi mowę motywacyjną. I podziałała. Cholerny Bangley.

Hig?

No?

Jesteś tam?

Okej. Co teraz robią te pojeby?

Nie przejmuj się nimi. Mają cały dzień, pamiętasz? Dopóki stoisz w miejscu, robisz sobie przerwę, oni się nie ruszą. Okej, Hig, rozwalisz dwóch albo trzech w pierwszym podejściu. Może czterech jeśli będziesz miał cholerne szczęście. Teraz reszta szuka bezpiecznego miejsca i próbuje cię namierzyć. Nie mieli czasu cię namierzyć. Teraz bierzesz przygotowaną amunicję. Nie trzymaj wszystkiego w dłoni, możesz upuścić naboje. Ułóż je sobie w rzędzie razdwatrzycztery pięć. Ułóż dziesięć. Lepiej dwanaście jeśli masz gest. Przed sobą na saniach. Dziesięć.

Dziesięć.

Dobrze. Magazynek ładowany z boku. Nigdy nie rozumiałem twojego sentymentu do tego szmelcu kaliber .308 przeładowywanego dźwignią. Co ty tam masz? Savage'a 99?

Wiedział dokładnie co mam.

Pieprzony Savage 99. Cholera Hig. No to jestem zadowolony. Teraz jestem zadowolony.

Tak?

Zajebiście. Magazynek ładowany z boku. Tak będzie dużo szybciej. Po prostu wepchnij je kciukiem. Po kolei, bez pośpiechu. Jeżeli

zdążysz zarepetuj go cicho i załaduj szósty. Po cichu bo nie chcesz żeby cię namierzyli o ile jeszcze im się nie udało. A nie udało się. Rozumiesz?

Wziąłem głęboki oddech. Byłem wykończony. Nagle poczułem się bardzo bardzo szczęśliwy że osłania mnie Bangley. Nigdy nie byłem szczęśliwszy.

Rozumiem. Dziesięć kurwa cztery.

Takiego Higa lubię. Teraz tak, zostanie ich od siedmiu do pięciu. Jesteś kryty, schowany, a jeśli uznają że warto dalej ryzykować swoje nędzne cztery litery, po tym jak rozwaliłeś ich kumpli, to są bardziej zdeterminowani niż sądziłem. Pewnie nie są. Ale mogą się wkurwić. Element wkurwu. Nie można go lekceważyć. Element ślepej furii na zasadzie: właśnie zabiłeś mojego upośledzonego brata bliźniaka. A wtedy naprawdę masz przewagę.

Zacząłem się śmiać. Właśnie tam, chociaż słońce paliło mi twarz, wiatr wiał od gór, pewnie niosąc zapach *Eau de bandzior*, a mój pies umarł, zacząłem się śmiać.

Śmiejesz się czy płaczesz?

Wydawał się autentycznie zaniepokojony.

Śmieję, śmieję się. Jasper umarł. We śnie.

Przykro mi, Hig. Naprawdę. A teraz weź się w garść. Hig!

Okej okej. Element ślepej furii zabiłeś mi upośledzonego brata. Słucham cię, Bangley.

Zadanie Hig. Skup się na zadaniu. Zostało ich od czterech do siedmiu. Jeśli rzucą się na ciebie rozjuszeni po prostu rozwal jeszcze kilku i pozamiatane. Reszta się wycofa, na bank. Jeśli są sprytniejsi niż wyglądają, najpierw się rozproszą. Spróbują cię otoczyć. To

byłoby niebezpieczne ale mam dobry kąt strzału. Pamiętasz jak chciałeś żeby wieża miała dwadzieścia stóp? Jak chciałeś poprzestać na dwudziestu? A kiedy powiedziałem trzydzieści boczyłeś się przez dwa tygodnie? Pamiętasz? A platforma? Moja wzmocniona platforma z podwójnymi wspornikami? Właśnie po to. Widzę ich. Każdego jednego. Teraz się przyczaili ale niech tylko któryś się ruszy, nawet ukucnie, będę ich miał. Więc czekaj spokojnie. Jeśli się rozproszą, po prostu przeładuj, a ja ci ich wystawię. Staniesz przodem do Needle Rock, prosto na zachód, to będzie godzina dwunasta, a ja ci ich wystawię. Podam kierunek i odległość. Jak kiedyś na zawodach.

Hig? Przyjąłeś?

Na zawodach. Needle Rock to dwunasta.

Bardzo ładnie. Wydajesz się całkiem spokojny, Hig. Coś mi przyszło do głowy. Zabrałeś zapasowy pistolet? Swojego glocka?

Tak.

Bingo. Trzymamy się mojego planu. Jeśli wszystko inne zawiedzie, któryś podejdzie za blisko, wyciągniesz tego gnata i go rozwalisz. Sprawdź czy jest przeładowany. Poczekaj aż będziesz niżej i stracą cię z oczu i sprawdź czy jest przeładowany. Zrozumiałeś?

Zrozu… dziesięć cztery.

Teraz zakręć butelkę z wodą, zacznij gwizdać, podnieś linę i idź.

Tak właśnie zrobiłem. Zacząłem gwizdać. Założyłem sobie uprząż na czoło, żeby dać odpocząć ramionom, i ruszyłem przed siebie. Bardzo powoli. Nagle ogarnęło mnie potworne zmęczenie, większe niż kiedykolwiek wcześniej. Chwilami miałem ochotę po prostu położyć się i spać w ciepłym słońcu, pozwolić im odebrać mi mięso, broń, życie. Skończyć z tym wszystkim. Z drugiej strony chciałem współpracować z Bangleyem. To znaczy czułem że jest

podekscytowany tym wyzwaniem i czułem że ten skurwiel naprawdę we mnie wierzy. Że może mi się udać. Dziwne ale po części chciałem to zrobić dla niego. Pewnie dlatego drużyna to zwykle więcej niż suma jednostek. Pochyliłem się do przodu i zaparłem się i szarpnąłem jak muł w uprzęży i wprawiłem sanie w ruch a kiedy ruszyły, łatwiej było iść dalej. Dotarłem na skraj płytkiej niecki i chwyciłem linę jedną ręką, potem cofnąłem się i uniosłem przepołowiony kajak za boczny uchwyt i ostrożnie przechyliłem go przez krawędź. Manewrowałem nim schodząc po małym zboczu. Na dole, kiedy jeszcze sunął po ziemi, szarpnąłem najmocniej jak umiałem i rzuciłem się jak najdalej. Piaszczyste, odkryte dno. Biegłem najszybciej jak mogłem. Teraz kiedy stracili mnie z oczu zaczną zmniejszać dystans, sami będą biec. Wepchnąłem sanie w gęstą szałwię po drugiej stronie i ustawiłem je bokiem do szlaku. Niemal równocześnie sięgnąłem po duży nóż firmy Buck i zacząłem ścinać gęste gałęzie. W mniej niż minutę zakryłem sanie. To był zielony kajak, leśna zieleń, i nagle byłem zajebiście zadowolony że miałem dość oleju w głowie żeby wybrać coś w zasadzie w maskujących barwach zamiast na przykład jaskrawej fuksji.

Pięćdziesiąt jardów Hig. Pięćdziesiąt jardów od rowu.

Wyciągnąłem sztucer z wiązania na saniach, pudełko nabojów i położyłem się, położyłem sztucer na płaskiej twardej skórze ćwiartki łani. Zawsze ćwiartowałem zwierzęta ze skórą, zdejmowałem ją później co było trudniejsze ale mięso lepiej znosiło transport. Teraz byłem z tego zadowolony. Krótka sierść dawała dobre solidne oparcie lufie mojej trzysta ósemki.

Trzydzieści jardów. Trzydzieści Hig.

Teraz szeptem, blisko krótkofalówki.

Zwalniają. Jeden za drugim za łatwą ofiarą. Nie mają pojęcia, Hig. Słyszałeś? Przewaga Hig. Po prostu zachowaj spokój, poczekaj aż

większość zejdzie na dół, i rozwal ich od prawej do lewej, od przodu do tyłu. Przeładuj. I jeszcze raz. Dasz sobie radę. Teraz się zamknę. Baw się dobrze.

Wyłączył się. Bangley. Jak można coś takiego powiedzieć: Baw się dobrze. Ale ten skurwiel mówił poważnie, właśnie o to chodzi. I coś przestawiło mi się w głowie. Byłem podjarany. Oparłem sztucer na zadzie łani, wyciągnąłem glocka z kabury przy pasku i przeładowałem go i położyłem na sierści po prawej. Dwie stopy dalej. Wytrząsnąłem z pudełka naboje w czerwonych osłonkach i wyjąłem każdy i ułożyłem wszystkie na sierści łani po prawej stronie sztucera czubkiem do przodu żebym mógł je wsuwać nie zmieniając ich ułożenia. Trochę trzęsły mi się ręce. Tylko trochę. *Baw się dobrze*. To wszystko zmieniło. *Nie masz zupełnie nic do stracenia Hig*. Tak sobie powiedziałem. Więc baw się dobrze. Serce mi łomotało, ale to był ten prawie radosny łomot który pamiętałem z meczów piłki nożnej w liceum. Byłem bramkarzem, ostatnim przyczółkiem, ostatnią linią obrony, ostatecznym powiernikiem drużyny i tak się teraz czułem. Jeśli to spieprzysz równie dobrze możesz zapaść się pod ziemię. Ale w trakcie istniało wyłącznie działanie, żadnych myśli, a radość wygrywała ze strachem. Prawie tak się teraz czułem. Nic do stracenia jest bardzo podobne do samurajskiego *Już nie żyjesz.* Tak sobie powiedziałem.

Ułożyłem trzynaście mosiężnych nabojów w szeregu. Szczęśliwa trzynastka. Przeładowałem dźwignią i wprowadziłem nabój do komory i wsunąłem pierwszy do magazynku. Zostało dwanaście, szereg jasnych mosiężnych żołnierzy. Dwa pełne przeładowania. Jeden głęboki oddech i zająłem pozycję. Oparłem luźno ciężar na udzie łani pod mięśniem i zadem. Wcisnęły mi się w klatkę piersiową. Prawa ręka wokół korpusu palce na spuście i celuję z oboma oczami otwartymi w skrawek ziemi gdzie szlak schodzi do rowu, ziemi niemal gładkiej od śladów sań, śladów naszych lat. Jakieś sto pięćdziesiąt stóp. I Pierwszy zszedł przykucnięty, ani

szybko ani wolno, zszedł rozglądając się wokół i zwolnił z wyrazem zdumienia na twarzy. Ale zszedł. Bardzo chudy mężczyzna z bujną siwą brodą, nagie ramiona pokryte więziennymi tatuażami, gwiazdami i krzyżami, z szablą w dłoni. Pieprzoną szablą kawaleryjską. Nie widząc ofiary którą spodziewał się zobaczyć odruchowo wyprostował się i zszedł na dół obserwując ślady sań na piachu. Następny prawie go przewrócił, tak szybko wybiegł, gotowy do ataku, olbrzymi mężczyzna, ruda broda, znowu szabla. Wszystkie wcześniejsze myśli pierzchły. Mordercy. To byli mordercy. Chciałem ich dorwać. *Tak jest, Hig, do jasnej cholery.* Słyszałem słowa Bangleya jak w jakimś telepatycznym przekazie. Nie wiem może naprawdę ślina napłynęła mi do ust. Szkoda wszystkich którzy padli ofiarą tych ludzi. Trzeci miał długie włosy, splątane brudne włosy do pasa, gładko ogolony, w czarnej skórzanej kamizelce motocyklowej – niósł kij baseballowy najeżony śrubami. Długimi, może ćwierćcalowymi śrubami z odpiłowanymi główkami i zaostrzonymi czubkami. Rudy i Śruba minęli Lidera i puścili się pędem w dół odkrytą skarpą najwyraźniej niesieni żądzą krwi i dopiero jakieś sto stóp ode mnie zatrzymali się i zaczęli rozglądać. Tych trzech miałem. Trzej kolejni dopiero schodzili, byli dla mnie tylko plamą aktywności. Tych miałem. Od przodu do tyłu, od mizernego Lidera przez Rudego kończąc na Śrubie to było od lewej do prawej, Trudno się mówi, umieściłem krzyżyk na Liderze, pociągnąłem. Znajomy odrzut, broń zsunęła się z sierści, unoszę ją odrobinę, przeładowuję dźwignią i odchylam się w prawo, robiłem to setki razy żeby powalić dwa albo trzy jelenie, odchylam się w prawo mierząc w klatkę piersiową, lufa teraz o szerokość pięści od reszty, żaden problem, namierzam Rudego i strzelam. PAF! Dźwignia. Żadnych decyzji tylko strzał. Prawie nie zauważam że pierwsi dwaj padają, ostatni, Śruba, właśnie przykuca żeby odskoczyć i PAF, trafione ramię albo bok, obraca się i pada i wije się na ziemi, potem w górę, plama na skraju rowu rozlewa się, zaraz się rozproszą, po prostu mierz w największy cel, dwóch mężczyzn obok siebie i strzelaj, jedno ramię w tył, chwieje się

i pada. Dźwignia. Czwarty. Czwarty! Fala czegoś, nie radości nie triumfu ale blisko. Byłem, byliśmy, byliśmy drużyną, rozwaliliśmy czterech…

Hig, wycofaj się! Uciekaj!

Nadajnik teraz głośno, natarczywie, z niemal obłędną natarczywością

Biegnij do mnie stary! Teraz! Glock! Glock do kieszeni. Złap naboje jedną ręką sztucer biegnij! BIEGNIJ! Do mnie!

Jezu. Posłuchałem. Te jego rozkazy, kolejność, naprawdę jasna kolejność, niech bóg go błogosławi, złapałem glocka, wcisnąłem do prawej kieszeni, zgarnąłem garść naboi, sztucer, puściłem się biegiem. Obejrzałem się. W tej samej chwili pozostali wypadli zza krawędzi w pełnym pędzie, rozproszeni. Byli szybcy. Szczupli i szybcy, obciążeni jedynie bronią w każdej dłoni. Ten obraz: pięciu rosłych mężczyzn rozproszonych i w natarciu. Spowolniłby ich piasek, dopadliby mnie w trzydzieści sekund. Tylko jeden, wystarczyłby jeden żeby mnie zabić. Biegłem. Sztucer, naboje w garści, biegłem. Najszybciej jak umiałem. Jeszcze jedno spojrzenie za siebie, byli już na dole, na otwartym terenie i doganiali…

WRRRUUUUM

Wstrząs zbity z nóg deszcz ziemi ziemia w ustach oczach

WRRRUUUMMM

Ręce zasłaniają głowę jezu matko boska

WRRRAAAAAMMMMMG

Drżenie ziemia trzęsie palce wczepione w ziemię ziemia sypka bryłki deszcz grudek piach w opadających kamykach łodygi las huk grudka i Cisza. Dzwony w uszach, dzwony. Mokro. Krew z nosa.

Słyszę przez nią dzwoniącą w uszach ciszę, radio, *Hig? Hig? Hig! Żyjesz? Hig!*

Wszystkie kawałki. Dłonie znów suną po ziemi. Co? Do głowy. Cała głowa cała. W uszach dzwony. Obracam się na bok, rękaw do nosa, krwawi, nie jest źle. Spluwam. Oczy. Przecieram oczy, szorstkie palce, oddycham. Cały

Hig! Cholera jasna ty żyjesz! Spokojnie, spokojnie. Nic nie złamałeś? W jednym kawałku? Spróbuj wstać. Powoli. Hig!

Okej na kolana. Siedzę tak jakiś tydzień. Na czworakach. Krew z nosa kapie na piach widzę ją, to dobrze, dobry znak. Na czworakach oddychaj. Oddychaj. W porządku wszystko w porządku.

Hig, zwiali, rozproszeni. Widzę jednego, właściwie resztki jednego, sto stóp za tobą. Może więcej ofiar. Reszta wsiąkła. Zwiali, Hig. Słyszysz? Kiedy się pozbierasz znajdź swoją broń swój sztucer.

Hig? Nic ci nie jest. Pewnie lekki wstrząs mózgu i tyle. Masz jeszcze glocka? Hig? Sprawdź w kieszeni. Powiedz mi że masz jeszcze glocka. Dopóki nie będziemy absolutnie pewni że teren jest czysty. Powiedz mi.

Na czworakach. Osuwam się w tył i siadam. Mrugam na słońcu. Mówi do mnie. Bangley mówi do mnie. Nadajnik. Sięgam dłonią na pierś, dłoń sztywna wolno jak w zwolnionym tempie, wciskam mikrofon ściskam nie mam siły

Mam. Mam

Hig nic ci nie jest. Zuch chłopak

Mam. Mam glocka.

O rany. To dobrze. Dobra robota, Hig. Po prostu posiedź sobie chwilę. Oddychaj.

Pauza.

Bangley

Słucham, Hig.

Stale mi każesz oddychać.

Śmiech z radia. Śmiech szczerej ulgi. Haust zimnej wody.

Kurwa, lepiej żebyś nie przestał, co, Hig?

Znów śmiech.

Dobrze się sprawiłeś, Hig. Zajebiście. Od razu ustrzeliłeś czterech. Czterech! Nikt by cię o to nie posądzał, stary. Wszyscy obstawialiśmy najwyżej dwóch, taki byłeś roztrzęsiony.

Śmiech.

Dzięki.

Pauza.

Ja pierdolę, co to było? Bangley. Coś ty zrobił?

Moździerz. Brytyjski 81 milimetrów. Musiałem kiedyś cholerstwa użyć. Ta platforma na wieży którą kazałem ci zbudować? Właśnie po to Hig. Uratowała ci tyłek. Chciałem mieć dla ciebie niespodziankę, coś jak prezent urodzinowy.

Trzaski.

Zaskoczył cię, co Hig? Prawdziwa niespodzianka. Mam jeszcze kilka. Przydadzą się jak będziemy mieć naprawdę przesrane.

Siedziałem w piachu w słońcu, krew zasychała mi w nosie a ja próbowałem przetrawić wiadomość o moździerzu. Pieprzony Bangley.

Przez cały czas trzymał moździerz schowany gdzieś obok wieży. Rany boskie.

Trzaski.

Jak tylko zobaczyłem podchody tych dziewięciu za tobą zszedłem wyjąć tego skurwiela z krzaków gdzie go trzymam. Wyglądało na to że tym razem naprawdę przyda ci się porządne wsparcie Hig.

Pauza.

Ale naprawdę dobrze sobie poradziłeś. Mogło się udać i bez moździerza. Tak strzelałeś. Cholera.

Zobaczyłem swój sztucer pod łobodą piętnaście stóp dalej. Odchyliłem głowę w tył jak przedtem: zamknięte oczy, palące słońce, dzwony w uszach cichnące powoli jak zabłąkany podmuch wiatru. Śmiałem się. I płakałem. Śmiałem się i płakałem równocześnie, nie wiem jak długo, jak kompletny wariat.

*

Po południu latałem. W moim stanie to było szaleństwo, ale latałem. Żeby poszukać czterech pozostałych, sprawdzić czy nie planują zaatakować rodzin albo nas i ani śladu. Pewnie uciekli na wzgórza. Nic lepszego. Niż latanie. Pierwszy raz od lat bez Jaspera. Ale i tak wyłożyłem fotel jego kapą z polowaniem na bażanta, chyba na szczęście, i tak ostrożniej wchodziłem w zakręty, łagodniej nurkowałem żeby go nie zrzucić – nie umiałem już latać inaczej. Zrobiłem dużą rundę a przed pierwszą falą wzgórz na zachodzie zawróciłem i pikowałem nisko żeby przyjrzeć się miejscu rzezi, trzem ziejącym lejom w zaroślach, ciałom tam gdzie je zostawiliśmy kiedy Bangley przyszedł pomóc mi z saniami. Ledwo dawałem radę je ciągnąć. Nie żebym stracił siłę w nogach. Pulsowały mi skronie, ból głowy, po prostu nie potrafiłem skoncentrować się na tyle żeby zrobić pięć kroków pod rząd nie zwalniając naciągu. I miałem

mdłości. Bangley był cierpliwy i ciągnęliśmy je razem a potem powiedział

Hig zrób sobie przerwę. Na razie ja się tym zajmę. Miałeś ciężki dzień.

Teraz mi powiesz żebym oddychał?

Upił łyk przez plastikową rurkę swojego bidonu i spojrzał na mnie inaczej niż zwykle. Na policzku miał płatek tytoniu który wyglądał jak pieprzyk. Dokładnie w tym samym miejscu co Marylin Monroe.

Hig?

No?

Oddychaj tylko jeśli chcesz. Wiesz co, jakoś mi lżej kiedy tak mówisz. Masz wstrząs mózgu Hig to na pewno. I naprawdę mi przykro z tego powodu. Ale. Lepsze to niż być trupem bez dwóch zdań. Mogło być dużo gorzej. Wszystko na swoim miejscu i Hig nie stracił poczucia humoru.

Założył sobie uzdę sań na czoło zaparł się i ruszył.

Teraz wszystko widziałem z samolotu: ześlizg z piaszczystego szlaku i krzaki w których ukryłem sanie, błysk czerwonego plastiku w piachu osłonka na nabój, miejsce do którego musiałem dobiec kiedy pierwsza bomba spadła niecałe osiemdziesiąt stóp dalej. Tych czterech tam gdzie ich powaliłem, trzech na piaszczystym dnie jednego wyżej, ptaki, sępa wronę kruka nawet srokę, spłoszone moim przelotem. Tego pogruchotanego moździerzem którym równie dobrze mogłem być ja. Jedna ręka, odłupane pół głowy. Mnie głowa wciąż bolała a kiedy przeleciałem nisko i zobaczyłem go wychyliłem się przez okno i zwymiotowałem. Prawie nie miałem czym poza fasolą z puszki i sałatką z sarniny którą Bangley zrobił mi w hangarze ale i tak rozmazało się po kadłubie i musiałem go szorować

następnego dnia. Co by nie mówić, to mogłem być ja. Moździerz nie jest bronią precyzyjną. Bangley powiedział że wymierzył kąt zasięg dla pięciu punktów na szlaku i był w miarę pewny, ale. Co by nie mówić, to było wielkie ryzyko zobaczył że tracę kontrolę nad sytuacją i.

Wytarłem usta wierzchem dłoni i poleciałem na południe i na wschód i sprawdziłem drogi prowadzące do rodzin i nic. A kiedy nawróciłem ze wschodu zobaczyłem tuzin osób na podwórku i czerwony owerol zwisający bezwładnie z masztu i wylądowałem. Podskoczyłem na podjeździe i wyłączyłem silnik. Wyszedłem zesztywniały z samolotu.

Aaron jest wysokim mężczyzną z twarzą pooraną brudami, szpiczastą brodą, brodą jak kawałek rzeźbionego drewna. Organizm miał wyniszczony chorobą krwi tak jak większość z nich i poruszał się powoli i dostojnie jak znacznie starszy człowiek. Pomachał do mnie ogromną dłonią wieńczącą wąski nadgarstek który wystawał z połatanej flanelowej koszuli.

Odmachałem i podszedłem bliżej a oni wszyscy, matki ojcowie dzieci, ruszyli w moją stronę bezkształtną masą i zatrzymali się i staliśmy naprzeciw siebie rozdzieleni udeptanym błotem podwórza. Piętnaście stóp. Milcząco ustalona nieprzekraczalna granica jak w starym westernie w którym traper spotyka się z indiańskimi wojownikami na jakiejś łące. Albo osadnik rzuca wyzwanie ranczerowi zagarniającemu ziemię i jego najemnikom, konie zawsze stawały w niemal prostej linii jak gdyby nad przepaścią. Zawsze ta niewielka wzajemnie respektowana strefa zdemilitaryzowana, tam można zamienić parę słów za którymi mogą pójść kule i strzały i śmierć. Tak to nazywaliśmy, strefa zdemilitaryzowana. Na początku krępujące ale teraz już nie. W tym przypadku uznaliśmy bez żadnej dyskusji czy nawet dowodów medycznych że choroba nie może zarażać z tak daleka. Pewnie z pięciu stóp też nie, pewnie nawet przelotny dotyk był bezpieczny, ale dzięki tej strefie wszyscy czuli się lepiej, głównie

ja. W razie potrzeby zostawialiśmy różne przedmioty na środku i to też zdawało egzamin.

Aaron powiedział Nie zniesiesz Jaspera?

Zamrugałem, zacząłem odwracać się do samolotu, potem po prostu stałem. Przez chwilę nie mogłem oddychać.

Wszyscy na mnie patrzyli, czułem napór ich spojrzeń. Zwiesiłem głowę, patrzyłem jak kropla słonej wody spada na ziemię. Wytarłem ją.

Hig wszystko w porządku?

Aaron wychylił się do przodu, jego smukłe plecy, jego pomarszczona szyja, broda. Kraina zgubionych. A propos śmierci za życia. Wyprostowałem się.

Umarł Aaronie. W górach. We śnie. Był stary.

Niemal widziałem jak szok wstrząsnął tą małą grupką. Ostatnio śmierć zabrała stąd dziecko, Bena, ośmio- czy dziewięciolatka który tak bardzo się cieszył, bardziej niż ktokolwiek inny, kiedy lądowałem samolotem i znosiłem Jaspera na ziemię. Często zapominał o zasadach i puszczał się przez strefę piszcząc z radości i wyciągał ręce do psa który wstawał i machał ogonem i jak postaci na greckiej urnie nigdy nie dobiegał do celu, nigdy nie spełniał swojego marzenia – zawsze któryś długoręki rodzic lub ciotka chwytali go z delikatnym napomnieniem.

Przykro mi Hig. Wszystkim nam przykro.

Ta szczerość, godność. Po tym wszystkim co stracili i. To nie miało znaczenia. To było moje, moja rodzina. Drugą łzę która się potoczyła wytarłem i powiedziałem sobie że kolejnej nie będzie. Nie przy nich.

Dzięki.

Mała dziewczynka wyszła przed wszystkich. Miała na imię Matilda. Trzymała w dłoni garść dzikich astrów. Przeszła na środek Strefy i położyła je na ziemi i uśmiechnęła się do mnie.

Zebrałam je wcześniej, powiedziała. Dla ciebie.

To prezent?

Skinęła głową, podnosząc na mnie wzrok. Ładna, uśmiechnęła się, woskowa skóra, czarne cienie wokół oczu.

Dziękuję, powiedziałem. Dziękuję. I wybuchnąłem płaczem. Stałem przed nimi wszystkimi i płakałem, płakałem histerycznie, wstrząsany dreszczem, i uśmiechałem się do dziewczynki przez łzy. Jej uśmiech przygasł i wyglądała na przestraszoną i schowała się za spódnicą matki i czułem się okropnie ale nie mogłem się powstrzymać. To przez Jaspera, nie tylko. To przez to wszystko. Czy to było piekło? Kochać w ten sposób, rozpaczać z piętnastu stóp, nieprzekraczalnego dystansu?

Podniosłem kwiaty ale nie cofnąłem się. Stali trochę dalej niż na odległość wyciągniętego ramienia, dwóch.

Dziękuję, powiedziałem do nich wszystkich. Jasper uwielbiał tu być.

To prawda. Myślę że zapach dzieci go uszczęśliwiał.

Kwiaty są piękne. Powąchałem je. Mmmmm. Wow.

Uśmiechnąłem się szeroko. Dziewczynka odwzajemniła uśmiech zza spódnicy kobiety.

Wywiesiliście flagę?

Aaron skinął głową. Poprzednio tydzień po ostatnim spricie. Zasilana energią słoneczną pompa którą czerpali ze strumienia wodę do nawadniania przestała działać, po prostu poszedł bezpiecznik ale nie

mieli nowego a ja miałem więc następnego dnia rano im przywiozłem. Teraz z tyłu wyszła naprzód wysoka kobieta. Była olśniewająca, w połowie twarzy. Choroba nie odebrała jej jeszcze energii. Połowę twarzy miała potwornie poparzoną, jakiś wybuch gazu. Mówiąc odwracała poparzoną część w bok i patrzyła na ciebie z ukosa i wydawała się mówić w przestrzeń. Miała na imię Reba jak dawna piosenkarka country i też potrafiła śpiewać, sam słyszałem. Wyciągnęła popękany plastikowy kubeł na ogórki a ja wziąłem go, z ręki do ręki, pierwszy raz, był wypełniony po brzegi młodą sałatą.

Mamy rekordowe plony, powiedział Aaron. Pamiętam jak mówiłeś że z jakiegoś powodu jej nie uprawiasz. Pomyśleliśmy sobie. Urwał.

Uśmiechnąłem się. Przykucnąłem i wyciągnąłem rękę do małej dziewczynki która dała mi kwiaty.

No dalej powiedziała jej matka.

Wyciągnęła własną zapiaszczoną dłoń a ja ująłem ją i lekko ścisnąłem i uśmiechnąłem się. Spojrzałem w orzechowe oczy dziecka, lekko przekrwione przez wojnę jaką toczył w jego ciele układ odpornościowy, i trzymałem te małe paluszki dłuższą chwilę, trzymałem je tak jakby były liną ratunkową a ja człowiekiem który tonie.

*

Fasola już kiełkowała, małe zawijasy pędów wyglądały z przekopanej ziemi. Kanałami płynęła woda. Powiedziałem Bangleyowi że znów ruszam w drogę.

Byliśmy w jego warsztacie czyli w zapuszczonym dawnym salonie nowobogackiej rezydencji na północ od mojego hangaru. Duże okna z podwójnymi szybami wychodziły na zachód, odwrócone od pasa startowego ukazywały góry. Był to ni mniej ni więcej warsztat rusznikarza. Bangley zupełnie się nie przejmował że nie ma pojęcia

o silnikach, drewnie, jakiejkolwiek stolarce, rolnictwie, zwłaszcza o rolnictwie, ogrodnictwie, gotowaniu, zwłaszcza o gotowaniu, językach obcych, historii, matematyce poza arytmetyką, modzie, garbarstwie, remiku, szyciu, a zwłaszcza o retoryce – o decorum, regułach cywilizowanej dyskusji.

Wykrztuś to z siebie Hig lubił mówić w tym ostatnim przypadku. Wykrztuś to zamiast owijać w cholerną bawełnę. Jesteśmy tu tylko ty i ja ha ha! Nie ma komu imponować.

Ale znał się na broni, umiał ją modyfikować, ulepszać, i potrafił zbudować karabin od początku do końca, wystarczyło dać mu jakąś rurę i komplet starych sztućców. W przyczepie którą ciągnął swoim pikapem tego popołudnia kiedy zjawił się na lotnisku przywiózł wiertarkę przemysłową, spawarkę, generator, szlifierki, piłę taśmową. Kiedy zauważyłem że te umiejętności – spawanie, lutowanie, obróbkę termiczną – można zastosować we wszelkiego rodzaju obróbce metali parsknął swoim żwirowym śmiechem.

Nic mi po tym mówił tylko.

Przywiózł też jakieś pięćdziesiąt plakatów, same dziewczyny w bikini lub nawet nie z różnymi pistoletami przewieszone szarfami z nazwami potentatów broni lekkiej od Colta przez Siga po Winchestera. Wisiały na ścianach wyłożonych orzechową boazerią w miejscu obrazów, przyklejone nawet w rogach okien. Strzelały z pistoletów półmaszynowych stały w pozycji bezpiecznej dolnej zasłaniając się bronią jak listkiem figowym a czasem w ogóle nie zawracały sobie głowy ukrywaniem swojej nagości ani bólem jaki mi sprawiały, mam na myśli widok rozebranych kobiet, naprawdę ściskał mi gardło więc ograniczałem wizyty do minimum żeby nie dać ciała, że tak powiem. Ha. Jeśli już się tam wybrałem wołałem go z podwórza i czekałem aż odpowie wołaniem, może zaproszeniem,

próbując wyrobić w nim taki nawyk żeby nie przyprawiał mnie o zawał w moim hangarze chociaż wiedziałem że to się nie uda.

Mamy mnóstwo sarniny, Hig, powiedział prostując się znad ogromnej rury w imadle.

Po naszej potyczce kilka dni wcześniej postanowił zbudować granatnik. Nawet miał jeden, M203, ale zasięg był za mały żeby uratować mi tyłek, tak powiedział, więc zamierzał go przebudować. Będzie bardziej precyzyjny powiedział.

Nie mogę zafundować Higowi kolejnego wstrząsu mózgu, za bardzo od tego durnieje.

Teraz wyprostował się i patrzył na mnie spod przymrużonych powiek a ja usiłowałem ignorować śmiercionośne nagie dziewczyny. Dziwne: na niskim stoliku, obok skórzanej kanapy którą postanowił zatrzymać, stała ramka ze zdjęciem rodziny która tu mieszkała: jakiś wyjazd na narty, trójka blond dzieciaków w kaskach, kurtkach, za nimi rodzice z nartami, uśmiechnięci szeroko, zęby białe jak śnieżne góry na horyzoncie. Jakiś szczyt w okolicach Vail czy coś takiego. Nigdy o to nie pytałem. Czułem że nie chodzi o coś tak prostego jak wspomnienie rodzinnego ciepła które tu kiedyś panowało, raczej o jakieś porachunki Bangleya w rodzaju: Patrzcie pierdolone japiszony, mieliście to wszystko a teraz ktoś inny urzęduje w waszym zapuszczonym salonie, zdrów jak ryba, i buduje lepszą broń żeby móc go obronić czego wy nie potrafiliście.

To tylko moje domysły.

Myślisz że kolejna wyprawa na ryby to dobry pomysł? Mało ci wrażeń z ostatniej?

Pokręciłem głową. Lecę samolotem.

Samolotem?

Do Grand Junction. Jakiś czas temu odebrałem stamtąd komunikat. Z wieży.

Jego dłonie, które w myślach nazywałem łapami takie były duże i niezgrabne, puściły rurę, odłożyły pilnik. Spojrzał na mnie spod wieszaka na broń który zbiłem dla niego na początku – nigdy nie robił niczego bez całego arsenału w zasięgu ręki.

Jakiś czas temu?

Trzy lata.

Uśmiech od ucha do ucha. Potarł szczecinę na policzku i słyszałem jej chrzest z drugiego końca pokoju.

Trzy lata.

Stanął bokiem żeby wyjrzeć przez okno na zachód w kierunku Junction jakby próbował oszacować w czasoprzestrzeni związek między odległością a upływem lat. W tej krótkiej chwili, pierwszy raz, zobaczyłem w nim człowieka który się starzeje. Odwrócił się do mnie.

Cholera Hig. Czekanie aż oddzwonisz to musiała być niezła zabawa.

Uśmiechnąłem się do niego.

Hig?

No?

Przechodzisz kryzys wieku średniego?

Tuż za nim po lewej stronie na ścianie przy dużym oknie znana czeska modelka ściskała krótki, groźnie wyglądający pistolet maszynowy, coś w stylu uzi. Stała oparta na lewej nodze, z prawym biodrem wysuniętym na zewnątrz, a geometria jej sylwetki prowadziła oko od zielonego spojrzenia do wzgórka który z fałszywą

skromnością wyzierał z bardzo skąpego trójkąta ciemnych włosów który nie mógł zasłonić krótkiej kreski, drogi do ziemi obiecanej. To mnie dobiło. Nie mogłem normalnie oddychać. Przyszło mi do głowy że Bangley jest mistrzem taktyki. Natychmiast zorientował się w sytuacji i znalazł najważniejszą sprężynę mechanizmu, słaby punkt. Czy ja mam kryzys wieku średniego?

Nie wierzę w coś takiego, powiedziałem. Całe nasze życie to jeden pieprzony kryzys.

Tak myślisz?

Nie.

Najpierw łoś, teraz wieża kontrolna. Trzysta mil stąd. Jak daleko jest Ostatni Punkt Odwrotu?

Chodziło mu o paliwo. Punkt w którym będę miał za mało żeby wrócić.

Dwieście sześćdziesiąt.

Może gonisz za cieniem Hig. Chcesz zabić nas obu?

Stałem na środku salonu tej rodziny. Kiedyś była tu duża plazma, zestaw głośników, na bocznym stoliku konsola z ponad dziesięcioma tysiącami piosenek, mnóstwo country popu. Bangley wyrwał to wszystko ze ścian, powiesił plakaty i tablicę na narzędzia. Na środkowym stoliku leżał kontroler gier. Uruchomiliśmy go: *World at War VII*. Myślałem że Bangleyowi się spodoba. Odwrócił się kiedy włączyłem grę i wyraźnie mu ulżyło kiedy ją wyłączyłem.

Wiem, powiedziałem.

Spojrzał na mnie. Minerałowe oczy, uśmiech zastygły na wargach.

Zdaję sobie sprawę z ryzyka. Ten kto tam był kto nadał komunikat miał prąd. Był w wieży kontrolnej więc miał mocne nadajniki. Może coś wie.

Coś wie?

Ma jakieś informacje.

Informacje.

Na przykład o Arabach czy coś.

Bangley ani drgnął. Potem podniósł pilnik i chwycił rurę swoją łapą i spuścił głowę.

Hig to rekin, powiedział. Musi być w ciągłym ruchu albo zginie. Musi robić wszystko po swojemu.

Myślałem o tym przez całą noc leżąc u podnóża nasypu sam, z bolesnym brakiem ciężaru Jaspera na nodze. I patrzyłem jak ostatnie zimowe konstelacje schodzą pod ziemię na zachodzie. Na swój sposób dał mi pozwolenie. Którego nie potrzebowałem. Ale jednak.

*

Spokojny bezchmurny poranek, wczesny maj, wskaźnik wiatru obok dystrybutora paliwa zwisa nieruchomo, niebo nad górami jak dźwięczna czara błękitu przejrzystego jak woda. Nasz miejscowy myszołów rdzawosterny szybuje nad ciepławym asfaltem pasa, wykorzystując pierwszy prąd termiczny. Zatacza łagodne koła. Jego partnerka ma gniazdo na topoli amerykańskiej na skraju naszego stawu rybnego, a wczoraj słyszałem głośne kwilenie piskląt. Chyba trzech. Wstała, rozpostarła szerokie skrzydła i rzuciła mi mordercze spojrzenie. Zadrzesz z mamuśką to wpierdol. Ani mi się śni odparłem na głos.

Włączam dystrybutor i napełniam dwa sześciogalonowe kanistry i umieszczam je za moim fotelem. Niecałe siedemdziesiąt pięć funtów. Pełny bak pięćdziesiąt pięć galonów zużywalnego paliwa. Dodatkowe paliwo da mi niecałą godzinę, za mało jeśli chcę się rozejrzeć po drodze, za mało żeby wrócić, ale nie zabiorę więcej benzyny bo chcę w razie potrzeby wylądować i wystartować z krótkiego pasa. Trzydzieści funtów zapasów to porcje suszonego mięsa na dziesięć dni, suszone pomidory, kukurydza, dwa słoiki oliwy. Pięć galonów wody, których pewnie nie potrzebuję bo przy Grand Junction zbiegają się dwie duże rzeki, stąd nazwa. Ale to miasto na pustkowiu i nie wiem co się wydarzy, czy łatwo będzie dostać się do rzeki. Zawsze miej przy sobie wodę.

Kapę Jaspera z polowaniem na ptaki zostawiam na fotelu pasażera. Wsuwam AR i pistolet maszynowy do stojaka przed jego siedzeniem.

Jaki masz plan, Hig? Polecieć tam.

A potem? Nawiązać kontakt z miejscowymi.

A potem? Wymienić się informacjami.

Ty nie masz żadnych informacji.

Mam to co mam.

A potem? Z powrotem do domu?

Dobre pytanie.

Nabrać paliwa.

Powodzenia.

Rozmawiam Sam ze Sobą. Bangleya nigdzie nie widać. Wchodzę po drabinie, tankuję Bestię do pełna. Słońca wystarcza żeby uruchomić dystrybutor, cieszyć się starym analogowym terkotem cyferek

przewijających się w jego okienku. Ciepły podmuch na lewym policzku, pojedynczy krzyk jastrzębia. Chropawy jak jego skrzydła. Dawna radość podróży prawdziwej podróży, czyli nowego miejsca. Przypływ optymizmu nie wiem skąd. Bangley ma rację. Szanse na zdobycie jakichkolwiek przydatnych informacji są małe, szanse na to, że z człowieka w wieży został już tylko szkielet, duże. A które informacje są przydatne? Zadawałem sobie to pytanie każdego dnia przez cały tydzień. Czym są informacje? Jemy śpimy zabezpieczamy pogranicze bronimy się czasami chodzę w góry dowiedzieć się czegoś o strumieniach i drzewach. O wietrze od Bestii. Czy istnieje coś więcej?

Pierwszy raz musiałem pokazać Bangleyowi jak nawadniać ogród, jak kierować strumień z kolektora w różne strony, jak czyścić kanały, pokazać mu co jest chwastem a co nie. Był uparty. Powiedział że przysiągł sobie, że nigdy nie będzie farmerem, że w swoim życiu wykopie ziemię jedynie na grób.

Kiedy to powiedział włosy zjeżyły mi się na karku. Tyle czasu a wciąż mnie zaskakiwał.

Mój ojciec był farmerem powiedział.

W Oklahomie?

Wpatrywał się we mnie, szpadel leżał w jego dłoni jak ulał.

Okej czyli już to robiłeś.

Wpatrywał się we mnie. Ściągnął usta, spojrzał na umazaną gliną blachę zanurzoną do połowy w wartkim nurcie.

To twoja działka, powiedział wreszcie. Ja użyłbym rury kroplującej, która leży przed tamtym domem na północy.

Teraz ja się na niego zapatrzyłem.

Jesteś farmerem, powiedziałem.

Nic. Zmrużył oczy i spojrzał na zachód w słońce. Przypadkowy podmuch poruszył włosy wystające mu spod czapki. Woda ze strumienia płynęła przez ogród z zimnym pluskiem. Napierała na grudki które zsunęły się z brzegów, przepływała miękko nad nimi zostawiając za sobą małe zmarszczki. Falując wzdłuż krawędzi. Gdybym patrzył dość długo mógłbym powiększyć ten kanał w wyobraźni, zamienić każdy prosty odcinek w idealny strumień z pstrągami. Zawsze nawadniałem boso i zdrętwiały mi stopy. Rozkoszowałem się tym doznaniem siadając na kopczyku Jaspera, tym z którego zawsze nadzorował moją pracę, pozwalając żeby słońce przywróciło im czucie z delikatnym mrowieniem. Susząc je z piętami opartymi na kawałku szmaty. Przed włożeniem butów i skarpetek wysypywałem z nich ziemię.

Wpatrywałem się w niego.

A więc to tak, powiedziałem. W jakimś poprzednim Życiu Bangleya. Ten szpadel. Wygląda jak brakująca część twojego ciała. Jakbyś się z nim urodził.

Odwrócił się i spojrzał na mnie, a włosy znów mi się zjeżyły. Zimno, lodowato jak woda przepływająca mi nad prawą stopą.

To szpadel, powiedział.

Skinąłem głową.

Wiem.

Patrzyliśmy na siebie. Co mi zależy, rano wylatuję.

Nie bardzo lubiłeś ojca, co?

Zawahał się, pokręcił wolno głową.

Nienawidziłeś skurwiela.

Szczęka Bangleya przesuwała się z boku na bok.

Robiłeś wszystko. Jezu. Farmer. Tam się tego nauczyłeś. Potrafiłeś spawać, kuć żelazo, podkuć konia, zbudować zagrodę, stodołę. Pewnie jesteś lepszym stolarzem niż ja. Cholera.

Założyłem ręce na stylisku szpadla i popatrzyłem na góry. Delikatny wiatr. Błotniak zbożowy, z białym kuprem, wpadł w szałwię po drugiej stronie strumienia, trzepocząc skrzydłami i szybując tuż nad krzakiem próbował wypłoszyć królika. Dwa inne ptaki, nie myszołowy, mniejsze, może krogulce czarnołbiste, zataczały kręgi w powietrzu. Wiele ptaków śpiewających zniknęło jeszcze przed, ale ptaki drapieżne świetnie sobie radzą w tym świecie. Świat drapieżników.

Jak długo? Pracowałeś z nim na farmie? Nienawidząc go?

Staliśmy tam. Woda w kanałach rozmawiała ze sobą krzyżującymi się strumykami. Ani słowa a ja nabrałem pewności że Bangley zabił swojego starego.

Jak wrócisz, powiedział wreszcie. Poprawimy to. Jeśli chcesz. Można je nawadniać dużo łatwiej. Ale zawsze miałem wrażenie że Hig lubi babrać się w ziemi na słońcu.

Miło z twojej strony.

Podrapał się po kości policzkowej pod prawym okiem. To było dziwne. Patrzyłem na niego jak żona która właśnie się dowiedziała, że jej mąż jest objęty programem ochrony świadków. Że był płatnym zabójcą albo coś w tym stylu. Albo senatorem.

Zajebiście.

Zajebiście.

Nie wiem czy mam się wściec czy parsknąć śmiechem.

Uśmiechnął się do mnie. Nie swoim ponurym szerokim grymasem tylko prawdziwym półuśmiechem w którym równocześnie zobaczyłem wstyd.

Wolny wybór, powiedział.

Co?

Wolny wybór. Takie są najtrudniejsze. Kiedy musisz się zastanawiać nad takim gównem.

Jesteś kurwa pojebany. Pojebany farmer.

Też opierał się na założonych rękach a jego uśmiech znów zrobił się szeroki i ponury i wiedziałem że to koniec rozmowy i że raczej nie powinienem więcej go tak nazywać.

Teraz napełniałem zbiorniki w skrzydłach. Przestawiłem aluminiową drabinę na drugą stronę zgrzytając nią po asfalcie w drodze do lewego skrzydła i wszedłem na górę z ciężkim wężem i dyszą na ramieniu. Klik klik klik, terkot cyferek, bulgotanie i syk paliwa gdy sięgnęło uszczelki przy zakrętce. Siedemnaście i trzy dziesiąte galonu. Nawet teraz mimo wszystko i tak miałem lekką frajdę z darmowej benzyny. Darmowej dopóki. Słońce wisiało dwa palce nad wzniesieniami na wschodzie, dwa palce przy wyprostowanej ręce czyli jakieś pół godziny czyli dochodziła szósta. Trzynasta czasu uniwersalnego. Średniego czasu słonecznego Greenwich. Greenwich. Gdzieś w Anglii. Ojczyźnie Zegara. Centrum Wszechświata Czasu. Kiedyś. Teraz nikt już się w tym nie orientuje tak podejrzewam.

Kiedy Wuj Pete umierał, prawdopodobnie na marskość wątroby przyspieszoną przez raka, i wiedział że zostało mu tylko kilka miesięcy zrobił coś, co wydawało mi się zupełnie nie w jego stylu: całymi dniami porządkował swoje slajdy w domku kempingowym.

Okazałą kolekcję kolorowych diapozytywów. Fotografował od dziecka i robił wyłącznie przezrocza, jego zdaniem miały lepszą ostrość. Ustawił żółte kartoniki, biało-niebieskie plastikowe pudełka, każde z rolką filmu, w stos wysokości stopy który zajmował prawie cały stół kuchenny. Często skręcając się z bólu, w świetle z małego okienka w dzień i stojącej lampy wieczorami, wyjmował kolejno każdą rolkę, wsuwał każdy oprawiony slajd do przegródki w przezroczystej koszulce. Oznaczał je flamastrem: na przezroczu wpisywał numer segregatora / numer przezrocza, na koszulce to samo i dodatkowo datę zdjęcia i najwyżej trójwyrazowy opis: Łowienie *Albuli* Keys. Oprócz trzech segregatorów w których mieściło się od roku do pięciu lat w zależności od tego, jak sobie poczynał z aparatem, miał jeszcze jeden skoroszyt z papierem w linie i przekładkami. Tam trzymał dłuższe opisy, notatki o konkretnych zdjęciach które obudziły w nim wspomnienia. Odwiedziłem go raz w tym okresie. On katalogował zbiory a ja rąbałem drewno na długą zimę, której jak obaj wiedzieliśmy miał nie dożyć. Trzy sągi klonu buku jesionu brzozy żółtej, ścięte z jego lasku na zboczu łagodnego wzgórza, porąbane i ułożone wzdłuż połowy ganku i z boku domu, a to wszystko – że pracowałem, kiedy on siedział w środku – bardzo go krępowało. Na początku uznałem że zwariował. Przecież mógłby siedzieć na ganku i obserwować ostatni raz jak wiosna w Vermont zamienia się w jaskrawozielone i zmysłowe lato, patrzeć na strzyżyki i skowronki i sowy zaprzątnięte miłosną krzątaniną zalotów i wicia gniazd, na liście i powietrze. Paść ofiarą meszek a potem komarów w te przepiękne ostatnie wieczory. Dlaczego nie siedział na ganku w swoim bujanym fotelu? Może ściskając sfatygowaną gitarę?

Ale którejś nocy leżąc na moim starym łóżku przy oknie otwartym na oścież wsłuchany w głos syczka krzykliwego który usiłował przestraszyć mnie kobiecym piskiem ale tylko mnie nim cieszył – słodkogorzką przepowiednią niezmierzonego piękna i wielkiej nieuchronnej straty – wtedy to zrozumiałem: oczywistą prawdę, że

on przeżywa swoje życie jeszcze raz. No jasne. Slajd po slajdzie, zdjęcie po zdjęciu. Układa wspomnienia niczym mur odgradzający go od śmierci a pudełeczka z przezroczami to jego cegły.

Wysoko na drabinie łagodnym porankiem, słuchając jak ostatni łyk paliwa bulgocze w zbiorniku w skrzydle i mierząc czas położeniem słońca. Z jakiegoś powodu zacząłem myśleć o Pecie i jego albumach, nachylonym nad stołem w ciemnym ciasnym domku pachnącym żywicą i dymem i kawą. Jak człowiek wystawiony na nieustanny wiatr. Porządkującym rzeczy które służą już tylko ochronie przed nicością. Przed ciemnością absolutnej straty.

No nic. Nie zamierzałem liczyć godzin. Miałem samolot pełen paliwa i dobrą pogodę i zamierzałem wystartować i polecieć na zachód i zobaczyć dokąd uda mi się dotrzeć. Dokręcałem korek kiedy usłyszałem szuranie i zobaczyłem że przez płytę postojową zmierza Bangley. Na ramieniu miał koszyk.

Uśmiechnąłem się. Jak w tej starej piosence kolejarzy. Pete ją śpiewał. *Matka Johny'ego przyszła do niego z koszykiem na ramieniu / Synu mój powiedziała / Uważaj, gdzie kroki stawiasz / Niejeden już człowiek trafił do grobu, próbując dogonić czas…*

To nie ciasto, powiedział.

Uśmiechnąłem się. Korek zaklikał i zszedłem na dół.

Podał mi kosz, podszedł do drabiny i zamknął rozpórki tak że złożyła się na pół i odniósł ją na miejsce przy dystrybutorze. W koszyku leżało sześć granatów.

Nie wiem dlaczego wcześniej na to nie wpadłem, powiedział. Praca nad granatnikiem dała mi do myślenia.

Leżały w środku jak jajka w gnieździe. Jajo Śmierci. To z jakiejś bajki którą kiedyś czytałem ale nie mogłem sobie teraz przypomnieć.

Ile masz magazynków do AR?

Cztery. Te duże.

Skinął głową.

Zabrałeś pompę ręczną?

Miał na myśli pompę z długim wężem którą mógłbym nabrać benzyny ze zbiornika podziemnego i każdego innego. Poza dodatkowym paliwem wąż długości trzydziestu stóp był najcięższym przedmiotem na pokładzie. Skinąłem głową.

Co zrobisz jak skończy ci się paliwo?

Wyląduję.

Skinął głową. Spojrzał na Bestię, na góry. Ręce miał w kieszeniach. Patrząc na zachód wystawiony na lekką bryzę powiedział

Dobry z ciebie partner Hig. Czasem trochę durnowaty.

O kurwa. Poczułem skurcz w piersiach myślałem że się… No nic.

Jak rodzina powiedział.

Stałem tam wrośnięty w asfalt.

Niełatwo się ze mną dogadać. Jedyne osoby którym jakoś się udawało to moja żona i syn. I ty. Duży Hig.

Chyba naprawdę opadła mi szczęka. Zamrugałem patrząc na niego.

Długo by opowiadać, powiedział. Uśmiechnął się półuśmiechem.

Miej oczy dokoła głowy Hig. Świadomość sytuacyjna. Nie daj się zaskoczyć jakiemuś skurwielowi przez durne wspomnienia. Spróbuj wrócić.

Wpatrywałem się w niego.

Będę pielił ogródek.

Odszedł. Patrzyłem za nim. Zajebiście.

Zajebiście.

Zwinąłem ciężki wąż na szpulę i wszedłem do Bestii, zatrzasnąłem drzwi. Wcisnąłem główny włącznik, przekręciłem kluczyk i uruchomiłem rozrusznik.

*

Niewiele dźwięków na świecie ekscytuje bardziej niż eksplozja startu silnika Continental gdy budzi się do życia. Pierwsze oporne obroty śmigła. Warkot coraz bardziej regularny w miarę jak śmigło znika przy narastaniu obrotów.

Wystarczy odpowiednia prędkość żeby zniknąć.

Przejechałem przez płytę między rozbitymi i niszczejącymi samolotami, skręciłem w poprzek przez drogę kołowania i wystartowałem ze środka pasa. Widziałem Bangleya w drzwiach domu w którym miał warsztat, nie podniósł wzroku.

*

Bestia jest wygłodniała. Wyrywa się do przodu jak podniecony koń. Patrzę w bok: pusty fotel z prawej, tylko koszyk jajek od Bangleya i kapa z myśliwym który celuje do bażanta podrywającego się do lotu, raz po raz. Zmięta przy drzwiach. Nawet na wpół głuchy nieruchawy Jasper był lepszym drugim pilotem niż większość ludzi. Niż wszyscy razem wzięci. Że też do tego doszło: istota życia na starym kocu. Pocisk nigdy nie dotrze do celu, ptak nigdy nie spadnie, ale myśliwy nigdy nie spudłuje. Ani niczego nie straci. Jego pies nigdy nie zdechnie.

Największa pustka po psie.

…Nie daj się zaskoczyć jakiemuś skurwielowi przez durne wspomnienia…

Przelatuję. Prosto nad Divide. Poniżej płonął Boulder, trójkątne płyty Flatirons wypiętrzone na tle potężnej masy gór jak puste nagrobki. *Najpiękniejsze miasto na ziemi nie zdołało przetrwać. Upamiętnijcie je*. El Dora, ośrodek narciarski zryty bliznami dawnych szlaków i stoków, liniami wyciągów tuż pod nami, widziałem puste krzesełka rozkołysane na wietrze. Kilka wstrząsów, Bestia potulna jak baranek. Płynę nad ośnieżoną przełęczą. Dość blisko żeby dostrzec ślady jednego dużego zwierzęcia na grani. Niemożliwe, ale. Za wysoko. Wszyscy ugrzęźliśmy za wysoko.

Po drugiej stronie wyłaniają się Winter Park i Dolina Fraser. Karby szlaków narciarskich lekko zielone na tle rdzy martwych lasów. Jeździliśmy tu na nartach. Ostatnim razem rozdzieliliśmy się z Melissą i jechałem obok rosłego mężczyzny który powiedział że przyjechał na ferie zimowe z grupą kościelną z Nebraski. Bezwyznaniową.

Po prostu kierujemy się tekstem Biblii słowo w słowo powiedział. To wyklucza pomyłki. Pokręcił głową przyjemny uśmiech. Tylko szaleniec by mu nie uwierzył.

Pomyślałem o kamieniach w rzece, o skakaniu z kamienia na kamień. Z jednego na drugi, nie ma się nad czym zastanawiać. Słowo w słowo. Po prostu się nimi kieruj, stary. Okruszki które prowadzą prosto do Boga. Siedząc obok niego na wyciągu, gdy nasze narty zwisały sześćdziesiąt stóp nad ziemią, pomyślałem Może słowo „cisi" tłumaczy się inaczej. Może to nie cisi posiądą na własność, może to prości. Może nie „posiądą" ziemi, ona już do nich należy.

Przyznałem mu się że nigdy nie dałem rady przebrnąć przez Genealogie. Powiedziałem że za to właśnie skończyłem Lamentacje i skojarzyły mi się z *Mad Maxem*. W końcu kobiety jedzą własne dzieci, wszyscy umierają.

Nie roześmiał się.

Powiedział: ja staram się trzymać Prawej Strony Biblii. Lewą napisali Żydzi. Część pewnie warto przeczytać ale na twoim miejscu zacząłbym od Jana.

Wszyscy powinniśmy byli zwracać większą uwagę na Lewą Stronę tak teraz myślę. Tę Złą Stronę, Stronę Gdzie Wszystko Robi się Mega Mega Popieprzone.

Opadam w dół i lecę wzdłuż rzeki Fraser aż za Tabernash. Większość doliny spłonęła, poza remizą i tanim sklepem alkoholowym który stoi teraz samotnie na skraju pola pełnego muflonów. Budzą się, podrywają i uciekają w panice do poczerniałego lasu kiedy je mijam i widzę jak cztery wilki podnoszą się z trawy i zawracają je jak owczarki. Lecę dalej.

Znam ten teren, cały. Doktor Ammons, widzę jego stodołę, nadal stoi na stu akrach po tej stronie Granby. Domu już nie ma, ale. Jego syn Swift był moim najlepszym przyjacielem na studiach, to była moja druga rodzina. Często chodziliśmy we trójkę łowić nad Fraser. Widzę zagrodę z bali, plac gdzie Becky trenowała swoje konie i dawała lekcje jazdy. Pewnie znalazłbym stertę swoich starych książek w przybudówce w której kiedyś spałem. Dziś nie chcę tych wspomnień. Lecę dalej.

Wąskim jak celownik przesmykiem Kanionu Gore, krawędzie skrzydeł muskają skały po obu stronach. Tak się wydaje. Tu też łowiłem, rzeka opada tak szybko, progi tak głośne, odbija się echem na urwisku – idąc torami kolejowymi trzeba było uważać i często patrzeć za siebie. Niejeden wędkarz nie zdążył usłyszeć ani zobaczyć pociągu. Powietrze nad wodą zimne i ciężkie wzbija mgłę, Bestia zachwycona.

A ja? Dawniej kochałem tak latać. Przeciskać się przez kanion pięćdziesiąt stóp nad lustrem wody.

Teraz nie czuję nic. Czuję się tak jak po dziesięciu minutach w lodowatym strumieniu bez woderów. Odrętwiały i zadowolony. Zadowolony bo odrętwiały.

Może to różnica między żywymi a martwymi: żywi często pragną odrętwienia martwi nigdy, o ile nigdy niczego nie pragną.

Słońce. Na drugim końcu. Rzeka cichnie tworząc czarną toń, skały kładą się po wzgórzach, niespalone lasy. Widzę kaczki na wodzie. Czaple w trzcinach, kanciaste, na dźwięk silnika rozpościerają ogromne skrzydła. Koloru dymu.

Czego ty chcesz? Hig. Czego?

Chcę być koloru dymu.

A potem?

Potem. Potem.

Mocno ściągam wolant i stromo wylatuję z wąwozu przy State Bridge. Górskie pastwiska owiec, gdzieniegdzie stada antylop i jeleni. Na nizinach wzdłuż rzeki Eagle widzę modne niegdyś lotnisko Eagle. Wciskam mikrofon i wywołuję wieżę. Proszę o zgodę na przelot przez ich przestrzeń powietrzną. Nadzieja i przyzwyczajenie. *Trzy Trzy Trzy Alfa trzy mile na wschód na dziewięciu tysiącach proszę o pozwolenie na przejście przez waszą przestrzeń powietrzną w drodze do…*

Dokąd ja lecę? Może do Junction. Tylko odbiłem na południe na wyżynę Uncompahgre, tam gdzie kiedyś polowałem. Bez powodu.

w drodze do…

Mam ochotę powiedzieć *W drodze Dokądś Zupełnie Kurwa Indziej*. Lecę dalej.

II

Nagle Bestia szarpie i wierzga. Jeszcze raz. Rzuca nią w lewo, lewe skrzydło niżej. Mocno ściskam wolant, koryguję i obserwuję wysokościomierz. Świetnie się bawię. Wolant trzymam w położeniu neutralnym, samolot wyrównuje a igła wysokościomierza wspina się zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Prąd wstępujący. Drzewa maleją, ciśnienie od poduszki fotela jak ogromna dłoń pcha mnie w górę. Późny poranek, ciemne nadal lasy nasiąkają słońcem i wyrzucają w górę tę smugę ciepłego powietrza. Bestia podrywa się niespodziewanie, szybko, oszałamiająco, trochę niepokojąco.

Bez najmniejszego wysiłku zyskuję tysiąc pięćset stóp. Przelatuję wysoko nad Roaring Fork dokładnie nad Carbondale, niespalonym, otoczonym rzekami i zielonymi ranczami miastem. Mrugam. W dole widzę coś co wygląda jak bydło. Bydło jak dawniej. Czarne i czerwone. Na pewno – nic innego w tym kolorze. Cholera. Zdziczałe bydło, trzyma się blisko zagród, cudem nietknięte przez wilki. Zszedłbym niżej żeby się przyjrzeć ale nie chcę tracić wysokości ani benzyny na wznoszenie się do następnego przelotu.

Ranczo. Bydło. Obok wiosenna rzeka. Dom w cieniu topoli amerykańskich pokrywających się liśćmi i kulistych wierzb. Meandry spękanej i zniszczonej drogi. Wystarczy że zmrużę oczy i mogę sobie wyobrazić kogoś na podwórzu. Kogoś kto nachyla się żeby wpiąć rozrzutnik do traktora. Kogoś kto myśli *Cholerne plecy, ciągle bolą.* Czuje zapach kawy z otwartych drzwi kuchni. Kogoś innego, kto wiesza pranie w plamie słońca. Każdy z własną listą problemów nieświadome swojego szczęścia. Wystarczy zmrużyć oczy żeby odtworzyć świat. Normalność. Ale.

Bardziej normalny brak.

Huntsman’s Ridge. Widzę długie kamienne osuwisko którym zjeżdżaliśmy na nartach, nazywaliśmy je Bezkresne. Takie się wtedy wydawało. Teraz idealne warunki: wiosenny ziarnisty śnieg zbity i stabilny. Zagrożenie lawinowe zero.

Połowa lasów osikowych wciąż ma liście, wciąż żyje. Po naszej lewej urwista ściana Raggeds. Kłaniam się lekko, lecę dalej.

Łagodniejszy teren. Całe mile lasów osikowych. Stukam palcem we wskaźnik paliwa.

Dwadzieścia dziewięć i trzy dziesiąte galonu. Za mało benzyny żeby wrócić do domu. Tak po prostu.

Tak po prostu przekraczamy granicę.

*

Zastanawiałem się: Czy to właśnie znaczy umrzeć? Być tak samotnym? Nieść w sobie morze miłości i lecieć dalej?

*

Prawie się tu przeprowadziliśmy. Paonia. Ktoś przekręcił słowo „Peonia”. Melissa miała dosyć uczenia, dosyć dyrektora i całego Okręgu, korciło ją żeby spróbować czegoś nowego. Na przykład upraw organicznych. W tej części stanu budowa szła dużo wolniej ale pewnie coś bym sklecił, przerobił, jakiś dom. Kiedy zobaczyłem to miejsce pierwszy raz przypominało mi makietę kolejową. Dalej ją przypomina. Pozwalam Bestii opaść.

Redukuję moc i szybuję wzdłuż południowego zbocza Wielkiej Mesy, wierzchołki miękkich osik parę stóp pod nami. Nadal zielone, blade pnie nadal olśniewająco jasne, paprocie pod nimi nadal jak gęsty dywan na pewno żywią jelenie. Ze świstem powietrza w dół urwiska. I otwiera się przed nami dolina: koryto rzeki na tle wysokiej góry z dwoma szczytami i głęboką przełęczą między nimi. Sady, równe

rzędy drzew po obu stronach rzeki. I winnice. Wysokie topole znaczą zachodni meandryczny bieg strumienia. Na zachodzie, w miejscu gdzie rzeka wypływa z doliny w suche zarośla, widzę tory kolejowe, płaskie mesy i wypiętrzoną bryłę Wyżyny, fioletową w porannej mgle. I miasto, raczej osadę, wciśniętą między rzekę a wzgórze jak białe kamienne P.

Często kupowałem tu jedzenie, amunicję, karmę dla psa. Musiałem czekać siedem minut przed przejazdem aż przetoczy się pociąg z węglem. Raz zmierzyłem czas, zły, że tracę dzienne światło. Spoglądam na fotel Jaspera.

Podobało ci się tu, co, piesku. Schodziliśmy nad rzekę za parkiem miejskim i rzucaliśmy patyk do wody. Aportowanie nie szło ci za dobrze. Pływanie też. Ale i tak byłeś zachwycony. Wszyscy tak powinniśmy co?

Przechył w dół rzeki i celuję w wysoki suchy płaskowyż. Ścisk w żołądku.

*

Nie mogę tak żyć. Tak naprawdę w ogóle nie mogę żyć. Co ja wyprawiałem? Dziewięć lat udawania.

*

Droga którą chodziliśmy prowadziła przez zielony most. Kanion nazywał się Dominguez. Jestem osiemset stóp nad ziemią. Widzę ten most. Widzę sad wtulony w ściany kanionu, drogę gruntową. Lecę wzdłuż drogi.

Rzadki las, sosny, jałowce prawie czarne a wciąż żywe. Pustynne drzewa, nie są wysokie tylko sękate i gęste. Skarłowaciałe i nieprzejednane. Kojarzą mi się z Bangleyem. Po prostu nie zgadzają

się umrzeć za żadną cenę. Niektóre z nich rosną tu odkąd hiszpański ksiądz o tym nazwisku sprowadził w to miejsce swojego boga.

Nigdy nie leciałem tędy samolotem. Zawsze przyjeżdżaliśmy pikapem. Droga jest zarośnięta. Zarośnięty szlak odbija od mniejszej rzeki i wspina się na grań. Robię zwrot w prawo żeby poprowadził mnie do kolejnego dorzecza i miejsca gdzie polowałem. Ale. Z lewej strony w korycie strumienia przebłysk czerwonych skał, ukazuje się górna ściana kanionu. Zawsze zdumiewa że taki mały strumień może stworzyć coś tak zjawiskowego, że te szczeliny skrywają tak wiele. Zawracam żeby się przyjrzeć.

Z bliska krawędź odsłania wysoką rumianą ścianę, głęboka czerwień i ślady wody, pasma czerni i ochry. Przecięta półkami. Bledszy obrys w miejscu po dużym głazie. Urwisko na jakieś dwieście stóp.

To wąwóz zamknięty z trzech stron. A nich mnie. Eksplozja żółtozielonych wierzchołków topoli amerykańskich, kilka najeżonych igłami sosen żółtych. I. Zataczam ciasne koło. Jak to możliwe że nigdy go nie widziałem? Bo trzymałem się drogi, jeśli można ją tak nazwać.

Pęknięty i rozszczepiony wąwóz rozszerza się, odkrywa jaskrawozieloną niszę. Strumień przecina ją na wskroś. Łąka na lewym brzegu. I. Tak zdziwiony i ciekawy zataczam koło coraz niżej aż prawie rozbijam się o wysoką ścianę.

Kamienny domek na tle urwiska. Ponad unosi się dym. Nad strumieniem kamienny most na pole. Bydło w nawodnionej trawie. Pół tuzina.

Bydło.

I.

Ogródek większy niż nasz. Woda z kanału wykopanego w zakolu strumienia. I.

Postać w ogrodzie pochylona.

I.

To kobieta.

Długie ciemne włosy związane z tyłu. Prostuje się, wstaje. Dłoń na czole, ocienia oczy żeby widzieć samolot.

Kobieta w szortach, męska koszula przewiązana w talii. Bosa? Bosa. Wysoka i chuda. Stoi prosto, z zadartą głową i zasłoniętą twarzą, i patrzy na mnie. Otwarte szeroko usta. Krzyczy? Tak.

Teraz z domu jeśli to dom wybiega postać, mężczyzna z karabinem. Stary mężczyzna. Stary mężczyzna z karabinem kieruje go w niebo i celuje. Jezu.

Nie słyszę wstrząsu, ale. Świst wystrzału, zgrzyt aluminium i znów syk powietrza. Jezu. Potem trzask, pieczenie, piecze mnie twarz cała lewa strona. Obie dłonie zaciskają się na wolancie. Podrywam Bestię ostro w górę i przechylam prawe skrzydło ponad krawędź prawie muskam wierzchołki niskich jałowców na skraju kiedy wylatuję z wąwozu i tracę ich z oczu. Odłamki potłuczonego szkła wpadają mi za kołnierz. Hej. Hej. Nie mam okna. Okna z lewej, została tylko mozaika potłuczonego hartowanego szkła kołysząca się w ramie.

Krew moczy mi koszulę. Powietrze.

*

W tym momencie uświadomiłem sobie po co przyleciałem.

*

Nie tak jak myślicie: myślicie Kobieta, ale nie o to chodziło. Chodziło o to żeby znów cieszyć się że żyję.

Ten moment kiedy zdajesz sobie sprawę że nie masz żadnych poważnych obrażeń i Bestia też nie, że się wznosisz, wyrównujesz, że silnik szumi, stery działają. Że przysuwasz drżące palce do swojej zakrwawionej twarzy i dotykasz, dotykasz ostrożnie, wyczuwasz cztery odłamki szkła i to wszystko. Kilka okruchów. Kurwa. A dach kokpitu jest upstrzony dziurami, tylko wykładzina, nic na wylot przez metal. Tak blisko. Skurwiel prawie mnie załatwił. Gdybym nie odszedł nad krawędź kanionu cały ten śrut tkwiłby teraz w mojej głowie. Cholera. I w tym momencie zacząłem się śmiać.

W pierwszym odruchu chciałem polecieć tam z AR-15 i z bliska zrobić sito z tego starego drania. To było przyjemne uczucie. To było jakieś uczucie, inne niż apatia. Hig, ten sukinsyn wyświadczył ci przysługę. Wylał ci kubeł zimnej wody na twój pieprzony łeb. Robił po prostu to co sam byś zrobił żeby obronić swój teren, dom i kobietę.

Kobietę.

Czy to była jego kobieta? Stary pierdziel. Kto wie jakie układy zawiera się na tym świecie. W pierwszym odruchu chciałem polecieć tam i zamordować skurwiela i wziąć jego kobietę. I. Dlaczego nie?

Dobra, nieważne Hig, nieważne czy jesteś dobrym człowiekiem czy złym człowiekiem, czy tylko nie najgorszym człowiekiem w tym pojebanym świecie, najpierw musisz wylądować Bestią. Posadzić ją na nierównym kamienistym terenie na jedynej drodze, która przestała być drogą.

Zawróciłem, wyleciałem z kanionu i wycelowałem dziobem w łąkę porośniętą szałwią, którą przecinała wyboista ścieżka na południe.

Wielkie Ka-O-B-I-E-T-A. Jeden rzut oka na silną, wysoką, prawdopodobnie bez choroby krwi, i nie zastygłą na plakacie

w warsztacie Bangleya ani odrzuconą na ziemię za tobą, za młodą, z kuchennym nożem w dłoni – jeden rzut oka i jesteś gotów zapomnieć o wszystkim. Na przykład o tym żeby sprawdzić, gdzie lądujesz.

Kurwa Hig, weź się w garść.

Odszedłem wyżej. Zatoczyłem niskie koło. Droga miała głębokie koleiny. Tak głębokie że prawe główne podwozie wbiłoby się aż po zastrzał. Nieźle Hig. Miałbyś kawał drogi dokądkolwiek z powrotem.

Nie o to chodzi. Tylko. To znaczy rozłożony na łopatki na wysokości tysiąca stóp. Zorientowałem się, ze śmiechem, że to mogli być mężczyźni, albo jakaś starucha. To ten nowy stosunek do ludzi niezależnie od płci: że nie mam obowiązku ich zabić. Ani pozwolić Bangleyowi ich zabić. Przecież to był ich dom, nie mój. To ja byłem przybyszem.

Niesamowite ile swobody daje zwolnienie z konieczności zabijania. Mimo że Dziadek próbował zabić mnie. No nic. Było minęło. Mogłem tam zejść i go zastrzelić albo nie, jak wolny człowiek. Albo ich. Może w domu albo gdzieś indziej czekał ukryty cały pluton. Zrobiłem dwa niskie okrążenia i przyjrzałem się wyboistej drodze dokładnie, gdzie zaczyna się bruzda, gdzie kończy, zapamiętałem rozmieszczenie krzaków i luk. Czy oni mnie słyszeli milę dalej w kanionie? Pewnie tak. Pewnie w tej chwili układali już naboje kaliber dwanaście na kamiennym parapecie a ona rozpuszczała włosy, rozpinała koszulę i czekała, żeby mnie zwabić w zasięg broni jak Syrena.

Hig!

Skoncentruj się Hig, oddychaj. Powiedz dziesięć cztery.

Dziesięć cztery.

Skoncentruj się na szczegółach. Nie daj się zabić.

Dziesięć kurwa cztery.

Odpuściłbym sobie wyboistą ścieżkę i wylądował w szałwii, ale nie miałem opon na trudny teren i jakiś kamień w krzakach mógł urwać mi koło. Lepsze znane zło i tak dalej. Wybrałem takie miejsce żeby widzieć teren na kilka stóp po każdej stronie kolein, bo musiałem trafić jednym kołem w środkowy garb a drugim w skraj zarośli. Wtedy postanowiłem na niczym nie oszczędzać. To lądowanie musiało być perfekcyjne co do cala. Lepiej wiedzieć dokładnie skąd wieje wiatr.

Podniosłem Bestię trzysta stóp wyżej i wytarłem bok twarzy skrajem kapy Jaspera. Potem sięgnąłem między fotele po małe drewniane pudełeczko które tam trzymałem, wyciągnąłem zębami zawleczkę granatu dymnego i wyrzuciłem go przez okno. Zawrzał gęstą pomarańczową smugą która rozwinęła się w ślad za nim.

Wylądował dwadzieścia stóp od drogi, buchając niskim gęstym dymem na wschód – północny wschód.

Cholera, to był przebłysk geniuszu. Silny poranny wiatr boczny mógłby pokrzyżować mi plany. O czym jeszcze zapomniałem?

Bangley wciąż żył właśnie dlatego że nigdy o niczym nie zapominał. Może pamiętał trochę za dużo, niepotrzebna nadwyżka, nie przejmował się tym. Co innego miał do roboty? Właśnie przyszło mi do głowy że może ja też wciąż żyłem właśnie dlatego, że Bangley nigdy o niczym nie zapominał. Bangley. Mąż i ojciec. Farmer. Cholera.

A, już wiem. Hig, zapomniałeś że lądowanie na bardzo wyboistym w zasadzie szlaku wśród kamieni i szałwii przez którą niewiele widać – zapomniałeś, że to może nieźle dać ci w kość. Albo dać w kość Bestii, co w zasadzie może wyjść na to samo.

Okej, oddychaj. Zszedłem na końcowe i przesunąłem dźwignię w górę, wychylając klapy do połowy i pochyliłem dziób, ostro manewrowałem, żeby wejść w pełny ślizg i opadłem ukosem na pole.

*

Tak już jest, że lądowanie w krzakach budzi człowieka. Jeśli dotąd się nie obudził. Zredukowałem moc, warkot przycichł, i ustawiłem Bestię prosto na moment nim zetknęła się z ziemią, lewe skrzydło nisko pod wiatr, a lewe podwozie wpadło z hukiem w zarośla. Walczyłem z podmuchami. Żeby dziób znalazł się nad lewą krawędzią rowu a nie w środku. Potem prawe główne podwozie, prawe tylne koło trafiło w kupę piachu i szarpnęło nas w lewo. Starałem się nie wpaść nim w koleinę. Musiało się udać bo nie poczułem żeby coś pękło, słyszałem tylko głośny trzask i chrobot gdy samolot przedzierał się przez gęstsze krzaki szałwii i trzymałem dziób w powietrzu tak długo jak mogłem aż szczęśliwie opadł na nagie pole z niskimi kamieniami i wyskubaną trawą, kochane muflony czy cokolwiek się tu pasło, a Bestia podskoczyła i zatrzęsła się, w końcu zatrzymała tuż przed sosnami.

Uff. Oddychaj. Pierwsza myśl: Mój lakier. Rysy na mojej pięknej Bestii. Druga: Niewiele brakowało. To była zajebiście głupia decyzja. Totalny idiotyzm. Gdyby nie ten granat dymny, rozbiłbym samolot. Spojrzałem na cyfrowy wskaźnik poziomu paliwa. Zostało niewiele ponad dwanaście galonów. Mniej niż godzina. I mniej niż godzina w dwóch kanistrach. Zdecydowanie za mało żeby wrócić. Głupota. Ale. Może uda mi się dolecieć do Junction jeśli przy starcie będę miał tyle samo szczęścia co przy tym lądowaniu.

*

Zanim wbiłem trzy pręty i zakotwiczyłem ją dziobem w kierunku startu, zanim włożyłem do kieszeni kurtki dwa Jaja Śmierci od

Bangleya i przewiesiłem przez ramię AR i zostawiłem Bestię na łące, zrobiłem pierwszą nieidiotyczną rzecz tego ranka. Wyjąłem kanistry, wspiąłem się po zastrzałach na skrzydła i wlałem do każdego po jednym, resztkę paliwa do obu zbiorników. Zatankuj teraz. Lepiej zatankować zanim wpakujesz się w jakieś tarapaty. I zabrałem kluczyk. Wsunąłem go do prawej kieszeni dżinsów i powiedziałem

Hig. Kluczyk jest w prawej kieszeni dżinsów.

Nigdy nie wiadomo jak szybko będziesz musiał się stąd zbierać.

III

No cóż nie czekała na mnie naga nad strumieniem, ani nawet ubrana śpiewając w trawie przed domem, nigdzie jej nie było. Nie musiałem przywiązywać się do żadnego masztu. Dym, który sączył się z komina i kłębił w kanionie, zniknął.

Teren nagle wydawał się wymarły. Przewrócone wiadro na podwórzu, obok brudna łyżka. Zwierzęta, kilka owiec, stały ze spuszczonymi łbami na łące, wszystkie zwrócone w dół strumienia. Sterczące żebra, sterczące biodra, prawie zagłodzone. Jeden duży ptak wysoko na tle wysokiej ściany kreślił ósemki wzdłuż skał. Sokół wędrowny. Półka skalna z białą wstęgą odchodów to pewnie jego gniazdo. Jedno okrążenie dalej, jedno bliżej. Współczuję kaczkom które tu trafiły. Żadnych kur. To mnie zastanowiło. Przez sokoła? Nie, stary dureń ma broń. Bo potrzebowaliby też koguta, albo dwóch, żeby utrzymać stado – pewnie to za głośne co rano jeśli się ukrywasz, jakbyś ogłaszał całej okolicy gdzie jesteś. Sprytne.

Przesunąłem celownik w górę kanionu w miejsce gdzie strumień rozlewał się wodospadem po ścianie o wysokości dwudziestu stóp. Góra wąwozu całkowicie odcięta przez to urwisko. I dwie wysokie skarpy. Całkiem przyjemne miejsce. O skałę przy wodospadzie była oparta uschnięta wysoka sosna, przycięte gałęzie tworzyły prymitywną drabinę. Okej. Jeśli uciekli w tamtą stronę to nie wciągnęli i nie schowali drabiny, może po prostu była za ciężka albo nie mieli czasu.

Leżałem na samej krawędzi, wciśnięty między dwa kamienie patrząc prosto w dół. Tu urwisko miało około stu stóp, może mniej. Było bardzo ciasno i musiałem przesunąć kaburę z glockiem na plecy żeby nie szurała po ziemi.

Myśl jak Bangley. To powinieneś zrobić. Głos Bangleya, słyszę go:

Cholera, Hig. Stary facet i jakaś zabiedzona dziewczyna a ty już cały wydygany. Jak na razie masz dziesięć razy większą siłę ognia na prawym biodrze niż on.

Tak ale co jeśli jest ich więcej? Albo jeśli ta śrutówka to nie wszystko?

Widzisz jakieś ślady innych? Stołki na podwórzu, suszące się ubrania, pościel, stare buty?

Hm.

Dobrze kombinujesz, Hig, to się ceni. Bierzesz pod uwagę wszystkie ewentualności. Hig jest oporny, ale powolutku się uczy. Ale musisz się skupić na tym co masz przed nosem. Nie mówię że w drzewach nie czają się trzej faceci z bronią. Dobrze się przygotować i na to. Ale musisz działać na podstawie tego co wiesz. Poza tym masz jeszcze karabin, masz granaty. Masz granaty, prawda?

Tak, dwa.

Hig?

No?

Co ty tu robisz?

Cisza.

To znaczy czego ty chcesz? Czego ty kurwa chcesz?

Cisza.

Nie opracujesz planu jeśli nie masz misji. Nie możesz mieć misji dopóki nie wiesz czego ty kurwa chcesz. Pierwsza zasada. Musisz mieć jasną misję i strategię wyjścia.

Myślałem, że pierwsza zasada to Nigdy nie negocjuj. *Jeśli negocjujesz, Hig, to negocjujesz własne życie…*

To jest pierwsza zasada. A poza tym jaka to kurwa różnica? Masz teraz większy problem. Czyli: Co ty tu kurwa chcesz osiągnąć, Hig?

Kanion pociemniał i zadrżałem. Chmura, nabrzmiały cumulus, zakrył wąwóz swoim cieniem. Unosząc ze sobą ostatni dreszcz długiej zimy. Cień pachniał sosnami. Przesunął się dalej a słońce na rękawach mojej kurtki wygładziło gęsią skórkę. Wygodnie było leżeć między głazami. Słyszałem brzęczenie bąka ale nie przeszkadzało mi. W tym momencie poczułem że mógłbym złożyć głowę na zalanych słońcem ramionach i zasnąć bez problemu. Mój nos był kilka cali od ziemi. Patrzyłem jak mrówka wspina się po łodydze małego fioletowego astra. Czułem przyjemny zapach. Krzemienistego piasku i świeżej trawy, jadłoszyna.

Hig!

A, tak. Co?

Skup się, do cholery. Przestań się opierdalać. Każda minuta kiedy tu leżysz i nie wiesz o co ci kurwa chodzi naraża cię na niebezpieczeństwo. Samolot też. Ten kogo widziałeś na dole może być w drodze na górę żeby cię wytropić. Może właśnie w tej chwili planuje jak zneutralizować zagrożenie w postaci Higa. Sami tak byśmy zrobili i to z miejsca. Zamiast tu leżeć i wystawiać się na atak jak ty.

Hm.

Kurwa. O tym nie pomyślałem. Wypuściłem powietrze z płuc, prawie gwizdnąłem. Co się z tobą dzieje? Kompletnie ci odwaliło? Czy ty zupełnie straciłeś jaja?

Czy ty w ogóle kiedyś je miałeś?

Hig!

No co?

Wiesz dlaczego jesteś śpiący? Dlaczego nagle masz ochotę wyciągnąć się i drzemać do zachodu słońca?

Dlaczego?

Bo nie wiesz kurwa co masz robić! Nie twierdzę że nie wiedziałbyś co zrobić gdybyś miał jakiś cel. Widziałem cię w akcji, Hig. Kiedy coś sobie postanowisz, na przykład wymknąć się dziewięciu pierdolonym bandytom i zetrzeć ich na miazgę, jesteś całkiem niezły. Hig z turbodoładowaniem. Ale ty nie masz pojęcia, co tu robisz. Jesteś zagubiony jak dziecko. Jeden rzut oka na wysoką dziewczynę która może nie choruje i już odebrało ci rozum.

Nie o to chodzi.

To dlaczego naraziłeś samolot? Widziałem ten manewr. Zajebiście ryzykowny. Zaryzykowałeś wszystko żeby zobaczyć z bliska jakąś dupę. A jeśli ona nienawidzi mężczyzn? Pomyślałeś o tym?

Czyli mówisz że to idiotyzm ryzykować wszystko nawet dla Czegoś Znanego.

Potem pomyślałem: Jesteśmy raczej gotowi ryzykować wszystko dla czegoś nieznanego. Z jakiegoś dziwacznego powodu.

Powiedziałem ci, Hig: Jeśli zaczniesz filozofować w sytuacji taktycznej to cię rozwalą, to będzie bułka z masłem.

Bułka z masłem.

Brzmiało nieźle. Najlepiej z masłem i dżemem. Nie jadłem masła od dziewięciu lat nie piłem mleka. Założę się że te krowy dają słodkie ciepłe mleko każdego dnia. Jedna albo dwie. Przesunąłem celownik

w dół na łąkę żeby poszukać nabrzmiałych wymion i zobaczyłem ich. Ślepy traf. Musiał mieć przynajmniej dwie strzelby, całkiem logiczne mieć sztucer myśliwski oprócz śrutówki, bo zauważyłem refleks słońca na jego celowniku. Jedna chwila. Wystarczyła żebym zlokalizował go w gąszczu pałek wodnych, na skraju strumienia, z brzegu łąki, z dala od domu. Leżała tam ogromna bryła piaskowca wielkości samochodu i o nią się opierał. Też wybrałbym to miejsce. Ta sama strategia, którą stosowaliśmy na lotnisku: dom miał być przynętą. Siedział tam, skąd mógł, albo mogli, widzieć odkryty teren między strumieniem a kamiennym domkiem. I to w zasięgu strzału. Większości nieproszonych gości pozbyłby się dwoma strzałami z dubeltówki. A miał też, mieli, sztucer do dalszych strzałów, albo na później. Oni. Kiedy go namierzyłem zauważyłem lufę jego strzelby, ciemniejszą, prostszą niż trzciny, i zauważyłem ją jak odgarnia masę ciemnych włosów. Trzymała drugą strzelbę. Śrutówkę. A on nie patrzył na podwórze celował prosto w górę dokładnie we mnie. Kurwa.

Wybuch, odłamki mojego przytulnego głazu rozprysły się po prawej stronie mojej twarzy. Odskoczyłem w tył. Drugi pocisk świsnął w powietrzu tuż nad moją głową. Kurwa.

Zamrugałem. Kamienny pył w oczach. Teraz prawa strona twarzy też obolała. Dłoń na skroni. Tym razem bez krwi. Pierdolony Dziadek. To już drugi raz. Stary skurwiel obił mi twarz z obu stron. Jeśli nie będę ostrożniejszy następny strzał trafi w sam środek.

Słyszałem śmiech Bangleya. Jakby stał trzy stopy ode mnie. Śmiał się w eterze jak nie całkiem przyjazny duch.

Niezły ambaras, co Hig? Dylemat. Chciałeś się z nimi zaprzyjaźnić a teraz może będziesz musiał kogoś zastrzelić. Śmiech głośny i długi.

*

Miał trochę racji, poczciwy Bangley, moje taktyczne superego. Stary drań na dole strzelał wyjątkowo celnie. Jak zawodowiec, jak Bangley. Wcześniej prawie odstrzelił mi ucho śrutówką, jakbyśmy byli z Bestią jedną wielką kaczką krzyżówką. Całkiem nieźle.

Czemu byłem taki rozkojarzony? Z jakiegoś powodu moje kłopoty bardzo mnie uszczęśliwiły. To znaczy to nie były prawdziwe kłopoty. Mogłem odejść. Ale. Wyobraziłem sobie białą szmatę zawiązaną na patyku wysuniętym za krawędź urwiska. Że macham nią jak w jakimś hollywoodzkim filmie. Nikt nie próbował tego manewru z nami na lotnisku bo po pierwsze wszyscy przychodzili w nocy a po drugie dostawali kulkę, zwykle od Bangleya, zanim zdążyli zorientować się w sytuacji. A gdyby ktoś tego spróbował to co wtedy? Nigdy nie negocjuj. Bangley zdobyłby maksymalną przewagę taktyczną, zawołałby: *Okej wychodźcie bez obaw*, a potem rozwaliłby każdemu łeb. Stary dobry Bangley.

Tak, to wymagałoby sporo wiary i zaufania, a nawet wtedy szanse powodzenia wynosiły pięćdziesiąt procent, poza tym nie miałem nic białego.

Wycofałem się od krawędzi, wstałem, przeciągnąłem. Wypoczęty prawie jak po drzemce. Potem biegiem wróciłem do Bestii. W tylnej kieszeni fotela trzymałem zapas papieru do drukarki i parę kredek. Oprócz tego kilka kamieni wielkości dłoni i gumek. Na wypadek gdybym chciał przekazać jakąś wiadomość głównie rodzinom. Ale kilka razy zrzucałem wiadomości przybyszom którzy rozbili obóz za blisko lotniska, do których jakoś nie docierało przesłanie mojej chwytliwej piosenki *PółnocPołudnieWschódZachód*: „Zawróć na północ albo zginiesz i tak dalej". Ani laska dynamitu. Te wiadomości, owinięte wokół kamieni i zrzucane z Bestii, były zwięzłe i obrazowe i zawsze działały. Siła słów. Zawsze byłem z siebie bardzo dumny kiedy czterema wierszami tekstu udało mi się skłonić jakąś oporną bandę zbirów żeby spakowali manatki i wrócili tam skąd przyszli.

Zabrałem plik kartek i czarną kredkę, zwinąłem kapę Jaspera i wróciłem przez dolinkę.

Uśmiechałem się. Czułem jak uśmiech napina mi obolałe policzki. Przykucnąłem znów na skraju kanionu i napisałem na pierwszym arkuszu pionowo największymi literami jakie się zmieściły: JA

Radość tworzenia. Przypomniało mi się że Dylan Thomas czasem zapisywał pierwsze słowo nowego wiersza a potem szedł do pubu i zalewał się w sztok, żeby to uczcić. Przełamanie pustki milczenia.

No dobrze. Zobaczmy co się stanie zanim zmarnuję więcej papieru.

Podpełzłem bliżej, podczołgałem się do brzegu urwiska który na szczęście dla mnie był naprawdę ostry, kanciasty i opadał w dół pionową, jeśli nie przewieszoną, ścianą piaskowca. Chowając moją cenną poharataną głowę sięgnąłem daleko ręką popchnąłem i przewiesiłem kapę przez krawędź, rozwijając ją jak flagę. Zadbałem o to żeby myśliwego i spłoszonego bażanta i psa widać było od właściwej strony patrząc z dołu i żeby moje palce nie przekroczyły krawędzi.

Nie bawiłem się tak od lat może tylko łowiąc ryby, chyba dlatego że to bardzo przypominało łowienie ryb, tyle że tu po drugiej stronie byli ludzie. Złap i odpuść.

Gdy tylko kapa rozwinęła się w powietrzu kolejny strzał. Zmarszczył powietrze tuż nad moimi dłońmi, głową.

We wszystkich westernach i filmach wojennych pociski wydają ten sam odgłos i wiecie co? Tak jest naprawdę. Słychać psssst jakby ktoś otworzył puszkę z zatrutym napojem. Napojem Śmierci. Jakby próżnia ścigała samą siebie z prędkością pikującej kaczki. Zaraz potem słychać cichutki szmer, muzyczny wykrzyknik.

Dobra strzelaj do mojej kapy jeśli chcesz. Mam igłę i nitkę.

Potem cisza. Lekko zdumiona. Taka się wydawała.

Łowiąc często od razu wyczuwasz naturę ryby po drugiej stronie żyłki. Tę więź. To znaczy od razu wiesz czy jest harda, przerażona, doświadczona, młoda i głupia, sprytna, spanikowana, zrezygnowana, pewna siebie, złośliwa. To wszystko w szybkim szarpnięciu i napięciu żyłki. Często tak właśnie myślałem o ciszy między ludźmi.

Rozwinąłem kapę, strzał huknął niemal w tej samej chwili a potem cisza. Cisza pełna zdumienia. Uśmiechnąłem się. Wiedziałem że Dziadek patrzy na koc przez celownik, widzi powtarzający się wzór, zastanawia się: *O co, kurwa, chodzi?* Wiedziałem że z takiej odległości zobaczy rysunek przez swój celownik. Wymacałem na ziemi dwa ciężkie kamienie i obciążyłem kapę od góry i pozostawiłem rozwieszoną.

Dałem mu chwilę na zastanowienie, może omówienie sprawy. Potem wziąłem papier, zatknąłem go na czubek ułamanej gałęzi długości czterech stóp i przesunąłem za krawędź: JA. PAF. Świst. Totalne pudło. Ha! Nie celował w papier celował w moją głowę, tam gdzie by była gdybym podszedł choćby odrobinę bliżej.

Cisza. Zatknąłem kartkę pionowo żeby mógł ją przeczytać. I mógł. Byli naprawdę zajebiście blisko. Tak blisko że gdybym chciał być złośliwy może wystarczyłoby po prostu zepchnąć jakiś głaz za krawędź. Albo splunąć.

Przyciągnąłem gałąź do siebie. Jeśli zachichotałem to pierwszy raz od jakichś dziewięciu lat. Chichot – to słowo. To nie jest słowo na Koniec Czasów. Oberwałem zębami papierek z kredki i napisałem na drugiej kartce znów pionowo: NIE.

Czemu po prostu do nich nie krzyknąłem? Cóż, rozmowy tak szybko wymykają się spod kontroli. Wiem z doświadczenia. Pierwszy raz zobaczyłem Melissę w kawiarni i byłem zbyt nieśmiały żeby się

odezwać, więc oczarowałem ją liścikiem. To działa. Wystarczy niewłaściwy ton i już po wszystkim. Nie, tak jest lepiej. Poza tym szmer strumienia, do tego wiatr, a za nic w świecie nie wychyliłbym ust za tę krawędź.

Zatknąłem NIE na gałęzi przesunąłem na kapę. Tym razem bez strzału. Cisza. Sukinsyn połapał się o co chodzi. JA NIE. Całkiem egzystencjalne. Cholera, może na tym poprzestać, niech to przetrawią. Sięgnąłem po kredkę, odwróciłem kartkę bokiem, napisałem JESTEM. Przysunąłem gałąź, zatknąłem kartkę. Łopotała na wietrze.

Moja wiadomość miała potężne filozoficzne implikacje. Hamlet nie mógł się z tym równać. Stopniowo odsłaniana dialektyka. Mocne.

Potem JAKIMŚ. Napisałem JAKIMŚ na całej kartce. JAKIMŚ. JAKIMŚ. Łopot, szelest.

Potem zaostrzyłem kredkę na kamieniu i największymi literami jakie się zmieściły napisałem: BAŻANTEM.

Wywiesiłem to tam. Obciążyłem gałąź następnym kamieniem i położyłem się na plecach, z ramionami pod moją biedną pokaleczoną głową, i pozwoliłem by otuliło mnie ciepło a słońce zaczęło goić rany.

Nigdzie się nie wybieraliśmy, ani oni, ani ja.

*

Gdyby to był western teraz wystawiłbym na patyku swój kapelusz. Miałem kapelusz. Poplamioną wystrzępioną na brzegach baseballówkę z napisem „Klub Golfowy Cherry Hills”. Którejś nocy zdjąłem ją z jakiegoś przybysza i spodobała mi się, bo niosła pozytywny komunikat: Koniec Wszystkiego oznaczał może na zawsze, może w całym wszechświecie, Koniec Golfa.

Nie miałem nic przeciwko golfowi.

Poza tym w Szkocji pewnie żyli Szkoci którzy jakimś sposobem przetrwali epidemię i to co potem, a teraz przechadzali się po wrzosowisku rozgrywając partyjkę – żadnego systemu nawadniania oprócz mgły i deszczu, żadnych kosiarek oprócz stad dzikich owiec. Wymachując kijami we mgle. Przyjemna myśl.

Może Dziadek nienawidził golfa. Wątpię żeby mógł odczytać takie małe litery ale jeśli miał celownik z dziesięciokrotnym powiększeniem to istniała taka możliwość. I tak zatknąłem ją na gałąź, dla zabawy, wysunąłem za krawędź. Nic. Staruszek tego nie kupił. Wolał zaczekać aż zobaczy oko, ucho. Hm. I co teraz? Mógłbym po prostu wstać, podejść do krawędzi i krzyknąć. Hej! Mam pokojowe zamiary! Chcę się zaprzyjaźnić! I. Gdyby wyznawali Pierwsze Zasady Bruce'a Bangleya, byłbym trupem. Co ciekawe, chyba pierwszy raz od dawna nie byłem gotowy umrzeć. Jeszcze nie w tym momencie. To znaczy byłem zainteresowany przeżyciem bardziej niż zwykle. Z jakiegoś powodu.

Okej. Coś mi przyszło do głowy.

Wróciłem do Bestii po więcej papieru. Miałem mnóstwo czasu. Nikt z nas nigdzie się nie wybierał. Chyba żeby rzucili się w stronę sosnowej drabiny ale nie zrobiliby tego bo można by ich było ostrzelać równie łatwo jak niemieckich oficerów w tej okropnej scenie Hemingwaya, którą uwielbiałem. *Była świetna. Próbowali przez nią przeleźć i ostrzelaliśmy ich z odległości czterdziestu jardów. Rzucili się na nią, a potem przybiegli sami oficerowie i próbowali ją usunąć. To była absolutnie doskonała przeszkoda.* To znaczy gdybym przyleciał tu właśnie po to.

Przykucnąłem za moim kamieniem w słońcu, dobrze za nim ukryty, i napisałem kolejne słowa. Zatykałem je po kolei na gałęzi

i wysuwałem za krawędź jak poprzednio. Głęboka cisza podczas gdy ryby po drugiej stronie trawiły mój komunikat.

MÓGŁ-BYM-ROZWALIĆ-WAS-W-DROBNY-MAK-
-ALE-TEGO-NIE-ZROBIĘ-POKÓJ

Na szczęście miałem pół ryzy papieru.

Potem wyjąłem z kieszeni Jajo Śmierci wyciągnąłem zawleczkę która siedziała dość mocno i rzuciłem je za krawędź.

Cisnąłem granat daleko w górę strumienia tam gdzie jak sądziłem kończyła się łąka – daleko od krów, starego pierdziela i jego dziewczyny.

Eksplozja przyniosła mi głęboką satysfakcję. Dziękuję Bangley. Miałem przygotowane kolejne kartki które wysunąłem gdy oni jeszcze dochodzili do siebie po wybuchu i szczypali się żeby sprawdzić czy żyją:

WIDZI-CIE?-NASTĘ-PNYM-RAZEM-MOŻE-BYĆ-
-GORZEJ

Długa pauza.

NIE-CHCĘ-ZMARNO-WAĆ-CAŁEGO-PAPIERU

Pauza.

WSTAŃ-CIE

Przyznaję, świetnie się bawiłem. Chyba pierwszy raz od lat miałem jasny umysł. Tym razem moje myśli nie rozpierzchły się po łące jak te kudłate norweskie kucyki, zastanawiając się co tu robią. Żadna nie odłączyłaby od stada żeby zniknąć w lesie.

Dla pewności jeszcze raz wysunąłem czapkę za krawędź. Żadnej reakcji. Może zaczynaliśmy się dogadywać. Doczołgałem się do

krawędzi i wyjrzałem zza niej. Oboje stali w trzcinach trzymając broń w rękach wyciągniętych z boku. On był wysoki, silny, nie taki stary, może po sześćdziesiątce, na głowie miał znoszony płowy kapelusz kowbojski. Ona była wyższa od niego i trzeba to przyznać atrakcyjna. Chuda ale z mocno zarysowaną szczęką, wysokie kości policzkowe, ciemne brwi, długie ciemne włosy w warkoczu. Nie umiem tego wyjaśnić, ale wydawała się inteligentna nawet z odległości trzystu stóp. Sięgnąłem do tyłu po AR i nakierowałem na nich celownik. Jeśli człowiek może strzelać iskrami, on nimi strzelał: zaciśnięte wściekle usta a jego szare oczy ciskały gromy. Na twarzy miał głębokie bruzdy człowieka który zawdzięcza je żywiołom. Jej oczy szeroko rozstawione i jakie? Fiołkowe? Coś między błękitem a czernią. Jej policzki płonęły purpurą i zobaczyłem u niej strach i coś jeszcze: lekkie rozbawienie. Miałem rację? Wyglądała na jakieś trzydzieści pięć lat.

Czy można się zakochać przez celownik? Cholera. Odsunąłem głowę i spojrzałem gołym okiem. Proporcjonalna sylwetka, szerokie biodra, wysoka. Może za chuda. Znów przyłożyłem oko do karabinu i przesunąłem lufę i opuściłem celownik niżej. Przyznaję. Nogi miała podrapane i zaczerwienione i może za chude, ale długie i smukłe.

Oddychaj Hig. Powiedz dziesięć cztery. Dziesięć cztery.

Podniosłem się na jedno kolano, wciąż celując z oboma oczami otwartymi. Krzyknąłem.

Cześć!

Zamrugał. Przesunąłem celownik na jej twarz i oboje wyglądali jak szaleńcy albo jakby śnili koszmar.

Cześć!

Zatrzymałem celownik na niej. Uśmiechnęła się. Naprawdę uśmiechnęła. Był delikatny, leciutki, ale przy dziesięciokrotnym

powiększeniu dobrze go widziałem.

Jak to zrobimy? Krzyczę.

Cisza.

Hej, Dziadku! Spokojnie! Gdybym chciał mordować gwałcić i kraść, już byście nie żyli!

Pauza żeby to przetrawił.

Wybaczam ci! Krzyknąłem.

To, że chciałeś mnie zabić więcej niż dwa razy! I prawie rozbiłeś mój samolot. Nie biorę tego do siebie. Rozumiem. Sam zrobiłbym to samo!

Mój głos słabł na wietrze. Ale widziałem że mnie słyszą. To znaczy coś do nich docierało. Kiedy odsunąłem głowę i spojrzałem na kanion zobaczyłem też że zwierzęta, krowy i kilka owiec, stłoczyły się przerażone przy wysokim wiklinowym ogrodzeniu biegnącym przez dno wąwozu.

Przepraszam że wystraszyłem wam krowy!

Stali tam z wyciągniętymi rękami. Objąłem celownikiem ich oboje. On przygryzał policzek usiłując się zorientować o co do diabła chodzi. A ona. Nie byłem pewny. Widziałem obracające się trybiki i wydawało mi się, że zaczyna dochodzić do całkiem przyjemnych wniosków. O tym marzyłem. Wiedziałem, wiedziałem, że jestem rozkojarzony, a równocześnie w całym dorosłym życiu nigdy nie myślałem jaśniej.

Dobra możecie zatrzymać broń. Schodzę na dół.

Okej?

Okej?

Skinął głową. W końcu. Przycisnął strzelbę do siebie i znów stał jak człowiek, który panuje nad swoim światem. Muszę przyznać: była w nim jakaś duma i godność. Był zajebistym strzelcem, to już wiedziałem. Przyszło mi do głowy że ten przewrażliwiony skurczybyk wszystko robi z równym zdecydowaniem. Takie sprawiał wrażenie.

Jeśli postanowicie mnie zabić będziecie później mieli wyrzuty sumienia! Poważnie, ominie was najprzyjemniejsza część dnia!

Uśmiechnęła się. O rany. Byłem zgubiony. Pomyślałem Może, może to jej tata. Co za dureń.

W czyśćcu właściwie nie można być nikim innym. Opuściłem karabin, wycofałem się szybko i wróciłem do Bestii.

Tylko na szczęście i wszelki wypadek włożyłem kolejny granat do kieszeni kurtki żeby mieć dwa i zabrałem trochę suszonej sarniny jako gałązkę oliwną, a potem przewiesiłem AR przez ramię i pobiegłem przez pole szałwii. Przedarłem się przez sosny w górę kanionu aż do miejsca gdzie szczelina robiła się płytsza, tam znalazłem szlak zwierząt prowadzący nad strumień.

IV

Serce waliło mi jak bongosy, ale nie od wysiłku. Owszem, teren był trudny, dojście do strumienia strome i zawalone głazami. Opierałem dłoń na ich ciepłych ramionach kiedy je przeskakiwałem i obchodziłem, ślizgałem się na luźnej ziemi idąc szlakiem jeleni. Ich bobki leżały między długimi brązowymi igłami sosny żółtej a słońce mieszało zapachy które dziwnie przypominały piżmową woń żywego jelenia gdzieś niedaleko wśród sosen. Więc obudził się we mnie myśliwy. Ale to też nie był powód. Serce łomotało mi dlatego że czułem się jakbym szedł na pierwszą randkę.

A ona, prawdziwa pierwsza randka Higa – byłem taki zdenerwowany, że okazała się katastrofą. Poszliśmy do kina na *Avatara* w 3D. Ciągle musiałem wychodzić się wysikać. Za każdym razem wracałem z kolejną porcją popcornu i słodyczy. Pewnie uznała mnie za diabetyka albo bulimika czy kogoś takiego. Nie pocałowałem jej na koniec nawet nie spróbowałem a ona była wyraźnie zakłopotana i niezadowolona, i nigdy się nie dowiem czy to dlatego że uznała mnie za palanta i tylko czekała, żeby się mnie pozbyć, czy – na co wpadłem wiele miesięcy później – może była równie zdenerwowana jak ja i całkiem się jej spodobałem, ale nie wiedziała jak zacząć i poczuła się odrzucona kiedy pożegnałem się tak nagle. Pierwszy raz przyszło mi do głowy że komuś innemu może zależeć na mojej aprobacie, że ktoś może bać się mnie. Dobrze to sobie uświadomić przed końcem świata. Teraz brałem to w zasadzie za pewnik: wszyscy się mnie bali.

A to dość dziwne nastawienie w drodze na randkę. Biedny Hig, biedny Frankenstein.

Nie ona. Ona się uśmiechnęła. Uśmiechnęła się.

Oczarowałem ich prawda? Tak ich oczarowałem że aż odechciało im się mnie zabić. Że aż jedli mi z ręki. Prawda?

Zamarłem. Zmrużyłem oczy, usiłując dojrzeć strumień, zrobiłem jeszcze jeden ostrożny krok i stanąłem w cieniu sosny. A może nie.

Ta zagrywka z kapą. Facet nie miał cierpliwości. Cenił sobie swój czas swoją uwagę. Kiedy ja leżałem na słońcu i świetnie się bawiłem, dając im czas na zastanowienie, on musiał siedzieć w mokrych trzcinach, gotując się z wściekłości i ze strachu – o życie, o swoją dziewczynę – powtarzając w duchu: zabiję tego zarozumiałego sukinsyna. Przy pierwszej okazji. Myśli że jest taki zabawny, zobaczymy jak się będzie bawił, kiedy każę mu patrzeć jak jego własne jaja skwierczą w ognisku.

Coś w tym stylu.

Szedłem dalej. Mimo wszystko. Włosy trochę zjeżyły mi się na karku.

Kiedy dotarłem do strumienia ruszyłem łatwym szlakiem wzdłuż brzegu. Rosła tam wysoka trawa, małe białe astry jak stokrotki. Dzikie truskawki, penstemony. Ogromne sosny żółte, zapach zimnych mokrych kamieni i wanilii. Białe ćmy kreślące wokół siebie kółka nad żwirową łachą. Gody. Ta sprawa z pierwszą randką: to już przeszłość. Serce nadal biło jak oszalałe ale nie dlatego. Zobaczyłem ćmy przemykające, trzy potem dwie, między słońcem a cieniem, i pomyślałem: Hig, raczej nie masz co liczyć na gody nie tym razem. Ani żadnym innym najprawdopodobniej.

Kiedy dojdziesz do tego niskiego urwiska na końcu łąki, tego z wodospadem, kiedy wejdziesz na tę zaimprowizowaną drabinę i odwrócisz się plecami do Dziadka zastrzeli cię mrucząc z rozkoszy. Więc sam rozumiesz. Żarty sobie stroisz, smarkaczu? Nie-jesteś-jakimś-bażantem-tylko-jesteś-już-trupem. Napisz to na swoich

karteluszkach. Paf. Nie mogłeś się od nas odczepić. Paf. Przestań się tu kręcić co? Paf.

Bangley: *Mówiłem-Ci-Hig:-nigdy-za-nic-w-świecie-kurwa-sam-dobrze-wiesz-co. Świeć Panie nad twoją duszą.*

Hm. Miałem takie same kłopoty jak wcześniej. Zrozumiałem to idąc szybko brzegiem. Kolejna sprawa: on, oni, mogli w dwie minuty wspiąć się po sosnowej drabinie i czekać teraz na mnie między wierzbami za którymś z drzew i zaskoczyć mnie w dowolnym momencie. Zamarłem.

Nie chciałem umrzeć. Nie teraz.

Mógł do mnie mierzyć w tej chwili. Znów gęsia skórka tym razem nie z zimna.

Zlustrowałem szlak wzdłuż strumienia. Klon jesionolistny na brzegu, jaskrawo zielone liście. Niżej kilka topoli amerykańskich. Wzbudzane podmuchami wiatru ich liście obracały się, jaśniejąc jak wnętrza dłoni uniesionych w słońcu. Stój. Mogą kucać za tymi rozłożystymi pniami.

Stój, Hig, Stój. Zastanów się nad szaleństwem więzi międzyludzkich. Posłuchaj drzewa.

Kiedy łowiłeś ryby o to ci właśnie chodziło co? O więź. Pomyśl ile kosztowała rybę. Ta ryba nie chciała więzi z tobą, a gdyby pstrąg mógł cię zabić jednym kłapnięciem pyska zrobiłby to. Tą rybą jest Dziadek. Może cię połknąć.

Hm.

Wycofałem się za drzewo, przywarłem płasko do pnia. Strumień był jakieś trzydzieści stóp niżej, nurt już przejrzysty i dość płytki żeby przejść na drugą stronę. Niska woda jak na początek sezonu, w najgłębszym miejscu sięgała może ud. Zlustrowałem drugi brzeg.

Zbocze, strome, porośnięte młodą trawą i kwiatami aż po odkrytą polanę otoczoną sosnami. Bliżej szczytu grani przez trawę przeświecały skruszałe głazy jak ruiny jakiejś budowli, ściany i balustrady.

Idealna kryjówka. Ich. To znaczy idealne miejsce na przetrwanie końca. Tu, w górze strumienia, nic nie wskazywało na to, że wpływa do tak szerokiej i głębokiej doliny, na taką łąkę. Nie było powodu tu schodzić, iść brzegiem. Trasa nie należała do najłatwiejszych, a stary szlak biegnący wyżej, droga, na której wylądowałem, prowadziła szybciej na północ i wschód. Tam, gdzie ścieżka bez trudu przekraczała strumyk. Z góry w ogóle nie było widać doliny, kanionu, dopóki człowiek nie stanął tuż nad nim, na samej krawędzi. A idę o zakład, że droga w górę z doliny była najeżona wodospadami i urwiskami. Idealne rozwiązanie. Kryjówka. Banici minionej epoki skręcaliby się z zazdrości.

Którędy sprowadzili na dół krowy? W grę wchodziła tylko drabina. Tak mi się wydawało.

Dlaczego w decydujących momentach umysł zaprzątały mi takie pytania? Bangley nie byłby zadowolony. Bangley powiedziałby *Na ziemię. Pewnie masz rację z tą zasadzką. Usiądź i przemyśl to wszystko.*

Tak zrobiłem. Wycofałem się dziesięć kroków wyżej za gęsty jałowiec rozłożysty od samej ziemi jak krzak. Wślizgnąłem się tam, w miejsce gdzie mogłem usiąść widząc dół zbocza między gałęziami. Sztywne patyki muskały moją poranioną twarz piekła. Zapach uderzał do głowy. Czułem się jak wewnątrz jednej z tych saszetek. Czemu to robiła? Na ziemię posypały się przykurzone niebieskie jagody jałowca. Chyba z nich produkuje się gin. Naprawdę?

I co teraz? Byłem bezpieczny. I co ci to dało?

Przykucnięty w gąszczu kłujących gałęzi. Byłem trollem, który mieszka u nasady drzewa. Ogląda świat przez szorstką gazę splecioną z igieł i gałązek. Żywi się deszczem, fragmentami piosenek i wspomnień.

Odłożyłem karabin na ziemię, objąłem kolana rękami, oparłem się o grubsze gałęzie.

Wyczerpany. U kresu sił. To zerwanie więzów które wymagało takiego wysiłku. Już sam lot wydawał się innym życiem. A lotnisko wydawało się snem. Jeśli lotnisko było snem to Jasper był snem we śnie a przed przed było snem w tamtym śnie. Wewnątrz wewnątrz. Śniąc. Tęsknotę za tym, co utracone, koimy blednącymi cieniami.

Poczekam do zmroku tak właśnie zrobię. Po ciemku mogę zejść dalej w dół strumienia. Obserwując ich. Zejść bezpiecznie po drabinie. Na coś się przydały te wszystkie nocne wyprawy na ryby, obsesyjne łowienie w ciemnościach: umiem zaufać że stopy same mnie poprowadzą.

Pstrąg dostrzeże najmniejszą muchę na powierzchni w najciemniejszą noc. Niebo zawsze rozświetlone, rozświetlone dla pstrąga, a na jego tle sylwetka przynęty. Uwielbiałem łowić po ciemku. Często tylko ten odgłos w cichej toni, drobny sygnał, cichy pulsacyjny plusk, potem szarpnięcie. Uwielbiałem to.

Ciemność. Nic. Cierpki zapach rozgrzanych igieł. Śpij. Kilka minut nie zaszkodzi. Śpij.

*

Wstawaj.

Co?

Wstawaj. Wychodź. Dotkniesz karabinu i nie żyjesz.

Twarde i ostre coś twardego i ostrego na karku. Patyk. Tak patyk. Długi kij. Na drugim końcu facet ze strzelbą. Kurwa. Kurwa. Nieźle Hig.

Ręce na ziemi. Wychodź. Czołgaj się.

Czołgaj się. Powoli. Teraz na brzuch, płasko. Ręce za głowę. Już!

Kolano w krzyż mocno. Dłoń wepchnięta pod kurtkę glock wyciągnięty z kabury. Dłoń na moich plecach w dół, potem w górę, wzdłuż nóg, fachowo, błyskawicznie.

Na plecy.

To samo z przodu, szybkie obszukanie, granaty wyjęte. Do kieszeni własnej kurtki.

Młodszy niż. Albo i nie. Szczuplejszy. Siwy. Twardy jak podeszwa. Zmarszczki. Linie zmarszczek od policzków w dół. Zmarszczki mimiczne. Siatka zmarszczek w kącikach oczu, zewnętrznych kącikach. Szare oczy strzelają iskrami. Przyzwyczajone do patrzenia w słońce. Zero ściemy. Każdy ruch pewny i szybki.

Nie bardzo rozumiem dlaczego: z bliska mniej się bałem. W ogóle nie czułem paniki. Co w tej sytuacji pewnie było głupie. Dziadek wcale się mnie nie bał, ani trochę. Z jakiegoś powodu odwzajemniłem się tym samym.

Z powrotem. Na brzuch.

Kolano mocno w krzyż, ostre igły na prawej stronie twarzy. Obserwowałem go kątem oka. Zsunął z lewego ramienia skręconą linę, rozwinął ją jedną ręką, związał mi ciasno ręce. Jedną ręką.

Na pewno jesteś ranczerem, powiedziałem. Widać po kapeluszu.

Zamknij się.

Dziesięć cztery. Nawet dobrze darować sobie uprzejmości.

Nie powiedziałem tego, nic nie powiedziałem.

Kolano mocno na guzkach kręgosłupa, zabolało gdy szarpnął do góry, zacisnął węzeł.

Trzeba było lecieć dalej. Nikt nie zawraca nam tu głowy.

Widzę że mnie się udało.

Zamknij się.

Kolano na żebrach. Zrobił pięć kroków w bok, rozwijając linę, pochylił się, wyciągnął AR zza drzewa i przewiesił sobie przez ramię.

Teraz wstawaj.

Zresztą nie dał mi wyboru. Jedno mocne szarpnięcie liny poderwało mnie na nogi, prawie rozerwało mi barki.

Idź.

Poszedłem. I.

To ulga robić co każe ktoś inny. Ktoś, kto dobrze wie, co robi. Po prostu wykonywać rozkazy. Kiedy chwiejnie schodziłem zboczem przyszło mi do głowy że gdyby chciał mnie zabić, już by to zrobił. Tak jak ja wcześniej, kiedy byłem na urwisku, a oni kulili się w dole. Wzajemność. Odwzajemniał mi się. Idealnie wzajemna relacja. Cholera.

Byłem bliżej niż sądziłem. Może dwieście jardów od miejsca, gdzie strumień przekraczał krawędź, by runąć dwadzieścia stóp w dół. Widziałem wierzchołek ich drabiny po lewej stronie od wodospadu. Słyszałem jak kaskada uderza w taflę na dole. Wzbijała w górę mgłę kropli a krople w słońcu migotały kolorami tęczy.

Z tej perspektywy przez wilgotną mgiełkę wąwóz wyglądał jak ogród Edenu. Zielony i odgrodzony, nawodniony, daleki od śmierci. Jak miałem po tym zejść? Czy on zamierzał spuścić mnie za związane ręce – stać z tyłu i wyrwać mi oba ramiona ze stawów? Czy wolał po prostu zepchnąć mnie w dół, w nadziei że staw ma przynajmniej kilka stóp głębokości? Złamać mi kostkę albo nogi, okaleczyć mnie, tym lepiej.

Przeszywający gwizd, wzdrygnąłem się. Rozejrzałem wokół. Zupełnie jakby sokół wędrowny wrzasnął mi prosto do pieprzonego ucha. Wyszła z kamiennego domu. W rękach miała karabin z celownikiem. Samopowtarzalny. I mały koc. Usiadła przy drewnianym stole, zwinęła koc, oparła na nim lufę jak na worku z piaskiem, wycelowała w górę, zmieniła zdanie, podniosła karabin i opuściła bipod, dwie nóżki w przedniej części lufy, znów wycelowała. Lepszy kąt strzału. Do mnie. Już to robiła, nie miałem wątpliwości.

Jest bardzo dobra. Nauczyłem ją. Nawalisz chociaż odrobinę to zginiesz.

Stanął przede mną i jednym szarpnięciem uwolnił z węzła jeden nadgarstek, drugi pozostawiając skrępowany.

Schodź.

Z jedną wolną ręką? Mam lęk wysokości.

Mówiłem prawdę. Latanie to co innego.

Kopnął mnie w tyłek. Bez kitu. Błyskawiczny kop. Czubek buta na pośladkach i poleciałem do przodu, prawie spadłem z urwiska. To zabolało. Jak cholera. Trochę zranił moje uczucia. A gdybym nie wyhamował przed krawędzią? Pierwszy raz odkąd mnie obudził miałem ochotę mu przyłożyć.

Użyj obu rąk.

Przykucnąłem, objąłem drzewo obiema rękami opuściłem się w dół.

*

Nazywam się Hig.
Urodziłem się w Roku Szczura.
Nie mam numeru seryjnego ale numer mojej licencji pilota to 135-271.
Jestem Wodnikiem.
Matka mnie kochała. Naprawdę bardzo mnie kochała. Ojciec. Nieobecny, ale. No cóż. Miałem wuja, który nauczył mnie łowić ryby.
Po studiach napisałem trzydzieści wierszy, z czego dwadzieścia trzy dla mojej żony.
Jasper był moim psem.
Nie mam dzieci. Moja żona była w ciąży.
Ulubione książki: *Shane*. *Infinite Jest*.
Potrafię gotować. Całkiem nieźle jak na faceta.
Zawód: przedsiębiorca budowlany. Nie podoba mi się. Nienawidziłem go. Powinienem był uczyć angielskiego w liceum albo robić coś podobnego. Strzyc psy.
Nie mam choroby, o ile mi wiadomo jestem zdrowy. Odwiedzam rodziny z chorobą krwi jakieś dwa razy w miesiącu.
Mój ulubiony wiersz napisał Li Shangyin w dziewiątym wieku.
Może nie był to mój ulubiony wiersz przed przed ale teraz już jest.
Zawsze byłem szczególnie wrażliwy na stratę. Tak mi się wydaje.
Teraz mam rekordowe plony.
Czy mógłbym prosić o wodę?

*

Przywiązał mnie do pala na podwórzu. W pełnym słońcu. Posadził mnie na jednym ze stołków, ręce z tyłu. Ciasno. Stali i przyglądali mi się. Zmrużyłem oczy, usiłując ich zobaczyć. Coś mi się przypomniało.

Prawa kieszeń kurtki.

Podszedł bliżej wsunął dłoń, przeszukał kieszeń, wyciągnął dwie fabrycznie nowe puszki tytoniu do żucia firmy Copenhagen. Dziewięcio- albo dziesięcioletniego, przeterminowanego, ale mimo wszystko. Przyniosłem je na prezent, więc. Stanął z boku, dlatego widziałem jak pochylony, z opuszczoną głową, patrzy na mnie z ukosa, z bliska. Potem otworzył jedną z puszek fachowym pstryknięciem kciuka, marszcząc papier wokół blaszanej pokrywki, ćwierć obrotu podważył wieczko. Wsunął nos, wciągnął powietrze. Czułem ten zapach. Sól i ziemia. Tytoń był suchy jak pieprz, wiedziałem od Bangleya, ale wziął szczyptę, wsunął pod górną wargę. Zwolennik górnej wargi. Splunął.

Trzy punkty.

Tylko tyle? Dwie puszki. Chyba należy się sześć.

Podał jej puszki i z zaskoczeniem zobaczyłem że i ona się częstuje. Postawił drugi stołek obok mojego, usiadł.

Słońce przestanie świecić ci w oczy za dwadzieścia minut.

Stała przede mną nieruchomo, nadal oświetlona od tyłu. Była wysoka. Nie widziałem jej twarzy. Ale czułem jej świdrujące spojrzenie.

Umie mówić?

Błąd. Minus trzy. Znów zero. Tak jak lubisz. Tak mi się wydaje.

Wolę podróżować bez bagażu.

Skinął głową niemal niezauważalnie.

Dobry. Tytoń. Minęło sporo czasu. Gówno mnie obchodzi jak wolisz podróżować. Jak dla mnie mógłbyś przywieźć zestaw mebli do jadalni. Rozejrzał się. Byłby jak znalazł.

Jeśli się odezwę będziesz mi odejmował punkty tak? To znaczy niepytany. Tak?

Skinął głową. Minus jeden.

A wtedy jak mniemam mogę zapomnieć o lataniu.

Minus dwa. Jak dojdziesz do minus dziesięciu zastrzelę cię. Bez dyskusji. Na miejscu. Jeszcze raz coś o niej powiesz masz minus pięć. Bo już wiesz że nie wolno. Powiesz nieprawdę, minus dziesięć, nie żyjesz. Zesrasz się w gacie nie żyjesz. Zsikasz się twoja sprawa.

Nagle przestałem się dobrze bawić. Słyszałem huk wodospadu, rytmiczny jak bębny plemienne, słyszałem beczenie jednej z owiec i właśnie tak się czułem. Żałosny i jakby sponiewierany.

Spojrzałem na niego.

Wiesz co?

Powiedziałem to.

Wiesz co? Pierdol się. Pierdol się ze swoimi punktami. Przyleciałem tu bez złych intencji a ty dwa razy próbowałeś mnie zabić. Przyleciałem tu bo czegoś szukam, nie wiem czego. Nie wiem czego, dotarło? Ale nie śmierci. Jej mieliśmy dość na lotnisku. Dość śmierci.

Siedziałem na stołku mocno związany i patrzyłem na niego i czułem łzy spływające po twarzy, piekący ból ran z lewej strony.

Tydzień temu zdechł mi pies. Jasper. Mam dość ciebie i twojego pieprzenia. Nie zostało mi nic. No dalej, odejmij mi dwadzieścia jebanych punktów, zastrzel mnie. Zrobisz mi zajebistą przyjemność. No dalej.

Czułem sól moich łez.

Wypuść go Tato, powiedziała. Wystarczy. Wypuść go.

Miała schrypnięty głos. Zamrugałem i spojrzałem na nią prosto w słońce. Poczułem jak jego sprawne dłonie rozwiązują linę.

*

Zostawiłem ich, podszedłem do topoli amerykańskiej na skraju strumienia i wysikałem się. Miałem ich w nosie. Nie krępowałem się. Szmer i plusk strumienia zagłuszył mój szloch. Chłodno w głębokim cieniu. Szlochałem tak mocno że zacząłem się krztusić. Może patrzyli, nie, na pewno patrzyli, chuj z nimi. Wyrzuciłem to z siebie, potem oddychałem. Uklęknąłem i przemyłem twarz, rany które już pokrywały się pajęczyną strupów. Napiłem się. Kurwa mać, dlaczego bez przerwy płakałem? Tak naprawdę miałem to w dupie. Nie załamałem się, po prostu nagle mi się zachciało. Przez dziewięć lat kilka łez, potem Jasper, a teraz to.

Świat nagle się otwiera, ukazuje wąski wąwóz i cztery owce, i wpadamy w rozpacz. Para pasterzy, niekoniecznie przy zdrowych zmysłach, i wpadamy w rozpacz. Ulga towarzystwa kogoś innego niż Bangley, czegoś innego niż choroba krwi, i wpadamy w rozpacz. Rozpacz. Bo kiedyś to było pustkowie a teraz nie jest nawet tym. I ja nie jestem nawet tym. Przedtem potrafiłem się określić: jestem wdowcem. Walczę o przetrwanie. Stoję na straży czegoś, nie do końca wiem czego, nie ognia, może tylko Jaspera. Teraz nie umiałem. Nie wiedziałem czym jestem. Więc rozpacz.

Stałem w cieniu drzewa w chłodnym tchnieniu płynącej wody, pozwalając by przepływał przeze mnie ten dźwięk, ta lekka bryza. Byłem muszlą. Pustą. Przyłóż mnie do ucha, a usłyszysz daleki szum wymarłego oceanu. Tylko pustka. Najlżejszy napór nurtu albo fal mógłby mnie przewrócić i porwać. Wyrzuciłaby mnie woda. Tu, na ten brzeg, wysechłbym i wypłowiał, a wiatr by mną targał, odzierając mnie z kolejnych warstw, aż w końcu stałbym się kruchy i cienki jak papier. Aż w końcu obróciłbym się w pył. Tak się czułem.

Powiedziałbym, że to ulga wreszcie nie mieć nic, nic, ale byłem zbyt wypalony żeby zauważyć jakąkolwiek ulgę, zbyt pusty żeby ją unieść.

Naprawdę miałem w dupie co ze mną zrobi ten stary skurwiel. Nic do stracenia jest tak puste, tak lekkie, że pył w który się obrócisz w końcu rozwieje byle podmuch, tak nikłe, że uniesie go w górę i ciśnie w piaskową burzę gwiazd. Każdy z nas tam trafi. Reszta po prostu kruszeje, czekając na wiatr.

Kiepski punkt wyjścia w negocjacjach. Nie mam nic do zaoferowania. Nie pomyślałem nawet: *Darowałem życie jemu i jego córce jest mi winien przynajmniej jedno. Co? Jedną rzecz. Dwadzieścia cholernych punktów.*

Podszedłem do nich.

Wracam na górę. Po tym pieprzonym drzewie. Widać że wolicie własne towarzystwo.

Spojrzałem na nią.

Mogę się poczęstować tytoniem? Rzadko to robię, ale teraz mam ochotę. Dzięki.

Wziąłem dużą szczyptę. Nikotyna od razu uderzyła mi do głowy i na chwilę mnie oszołomiła.

Cholera. Zapomniałem.

Splunąłem.

Jeśli po drodze strzelisz mi w plecy to tak jak powiedziałem prawdopodobnie wyświadczysz mi przysługę.

Wpatrywali się we mnie. Na szyi miała ciemną plamę przypominającą siniak.

Będę potrzebował glocka i karabin. Granaty zatrzymajcie. Prezent na parapetówkę.

Zawahał się, podniósł ze stołu pistolet, podał mi go rękojeścią do przodu. Schowałem broń do kabury. Przesunął karabin na klatkę piersiową, wyciągnął go w moim kierunku.

Dzięki. Dzięki za kopa w tyłek.

Zamachnąłem się i uderzyłem go.

Trzymałem to w zanadrzu, potężny prawy krótki wymierzony w lewy policzek. Czyste mocne uderzenie zbiło go z nóg i upadł na tyłek. Kapelusz zleciał mu z głowy. Całkowite zaskoczenie. Oparł się na rękach i zamrugał powiekami i dopiero kiedy ogarnąłem wzrokiem całą sytuację zauważyłem w jego dłoni pistolet. Jak wyczarowany. Ciężki, kaliber .45, wersja oficerska.

Nie musiałeś kopać mnie w tyłek. Ani zgrywać kata. Poszedłbym tam gdzie mi każesz.

Sam nie byłem lepszy.

Odwróciłem się i ruszyłem przez otwarty teren w górę strumienia, plecy nieosłonięte i gotowe tak na kulę jak i na upadek i nadejście kolejnej chwili.

*

Hej, hej, ty.

Co?

Higs, tak? Tak powiedziałeś.

Hig.

Hig. Masz ochotę na lunch?

Zatrzymałem się. Była jakieś pół cala wyższa ode mnie. Spalona słońcem rana biegła przez jej ciemne włosy, prawą brew. Cienka i ostra. Siniak na szyi.

Lunch? Czy ludzie jedzą jeszcze lunch.

My jemy.

Zerknąłem w tył na dom. Stary skurczybyk wpychał pistolet za pasek na plecach, poprawiał kapelusz, obserwował nas.

To naprawdę twój tata?

Tak. Ze strony ojca.

Nie przeprosiła za niego. Nie dopuściła się tej drobnej zdrady. Doceniałem to. Ze strony ojca. Zabawne. Uśmiechała się.

On pewnie nie ma ochoty na lunch w moim towarzystwie.

Nie zaprosiłam go.

Zahaczyła kciuki o krawędź kieszeni szortów i rozprostowała ręce. Zauważyłem. Uniesione tym ruchem piersi, odsłoniętą talię nad paskiem.

Ale zaproszę, jeśli jeden z drugim obiecacie, że nie zaczniecie się bić ani strzelać.

Jeden z drugim. Dziewczyna z prowincji. Zanim. Wpatrywałem się w nią. Naprawdę nie wiedziałem, czy mam ochotę zjeść z nimi lunch, czy nie. Zdążyłem już przyzwyczaić się do myśli, że żyję powietrzem, że rozwieje mnie wiatr. Lepiej się z tym czułem.

Hig? Słucham? Znów głos Bangleya, bezcielesny. Mogłem sobie wyobrazić jak by się uśmiał gdyby wiedział, że jest czymś na kształt mojego superego. Od którego nie mogę się uwolnić, jak od kiepskiej

piosenki pop. *Ta dziewczyna zaprasza cię na lunch. Głupio jej że prawie zlałeś się w gacie. Ha! Zachowuj się.* Okej.

Okej powiedziałem.

Cimarron. Wyciągnęła rękę.

Wszyscy nazywają mnie…

Urwała, rozejrzała się po kanionie, uśmiechnęła.

Cima.

*

Placek pasterski z masłem. Mocno osolony. Mielona wołowina. Myślałem że umrę. Tatko miał rację, słońce zaszło za krawędź kanionu i jedliśmy w cieniu przy drewnianym stole. Dość blisko strumienia: przyjemny szmer. Łączył się z bryzą, która też szumiała jak przepływająca woda, kołysząc wierzchołkami topoli. Masło. Topniejące grudki na tłuczonym ziemniaku, tłuste kałuże. Kto by pomyślał, że coś tak miękkiego i bladego może zahipnotyzować człowieka? Ciągle donosiła więcej, ja ciągle jadłem. Stalowy dzban mleka schłodzonego w strumieniu, który dwukrotnie opróżniłem. Jasny gwint. Hig gdybyś wspiął się po tym pieprzonym drzewie i odleciał albo dostał kulkę w plecy, przegapiłbyś ucztę swojego życia. Oszołomiony jedzeniem nawet nie zauważyłem, że Tatko patrzy na mnie Bykiem czy Wilkiem, w każdym razie tak, jak patrzy się na człowieka, który właśnie przywalił ci w twarz, a teraz objada cię z zapasów.

Słyszeć, jak ktoś proponuje ci zimne mleko. Patrzeć, jak napełnia ponownie twój niebieski emaliowany talerz. Kobieta. Która nadchodzi od paleniska niosąc twoje jedzenie. Siedzieć w cieniu dużego starego drzewa, nie w metalowym hangarze, i jeść. Słyszeć beczenie owiec ponad głośnym szelestem liści. Siedzieć w ciszy naprzeciw starszego

mężczyzny, który też je, wroga czy przyjaciela nie wiadomo, nieważne. Być gościem. Przełamać się chlebem.

Pęczniałem od przyjemności jak faszerowany pomidor w piecu. Jakby serce mi puchło, a skóra stawała się coraz cieńsza od żaru. Towarzystwa.

Często jedliśmy razem z Bangleyem, ale wtedy było inaczej nie wiem dlaczego: coś jak pora karmienia w zoo, w którym sami się zamknęliśmy. Teraz ja mogłem odejść. Oni mogli cofnąć zaproszenie. Poczucie, że to zaszczyt.

Niewiele mówiliśmy. Ja wydawałem z siebie jęki, pomruki. Zgarbiony nad talerzem. Zdałem sobie z tego sprawę dopiero kiedy podniosłem wzrok i zobaczyłem jej uśmiech. Miała wychudzoną twarz. Jej ogromne oczy przywiodły mi na myśl antenę radaru który rejestruje wszystko, nie umie inaczej. Jakby był źle ustawiony i odbierał przede wszystkim ból. Kolejny siniak na przedramieniu ręki, którą podała mi talerz. Raz zobaczyłem jak krzywiąc się masuje kark. Mój nienasycony apetyt wyraźnie sprawiał jej przyjemność.

Rzadko wychodzisz odezwał się Tatko. Ty.

Przestałem przeżuwać.

Faktycznie. Tam gdzie mieszkam nie stać mnie na restauracje.

Gdzie mieszkasz?

W Denver. Na północ stąd.

Teraz patrzyli na mnie oboje. Wygłodniali jak ja. Inaczej.

Odłożyłem widelec na stół, upiłem długi łyk zimnego mleka, wytarłem usta rękawem kurtki.

Było źle, powiedziałem. Dziewięćdziesiąt dziewięć przecinek coś tam. Śmiertelność. Zabiło praktycznie wszystkich.

Twoją rodzinę? zapytała.

Skinąłem głową.

Wszystkich. Infrastruktura zaczęła szwankować potem padła. Jeszcze przed końcem. Było źle.

Sięgnąłem po kubek z mlekiem i piłem, jakby mogło ostygnąć.

Panował chaos. Wszyscy trzymali się złudzeń: że właśnie oni okażą się odporni. Bo o tym też słyszeliśmy, o tajemniczej odporności niektórych rodzin. Genetycznej.

Wpatrywali się we mnie. Rozłożył scyzoryk, zaczął dłubać nim w zębach.

Po śmierci żony uciekłem na wiejskie lotnisko na którym trzymałem samolot. Ukryłem się.

Broniłeś go, powiedział, patrząc na mnie badawczo.

Skinąłem głową.

Miałem pomoc.

Sprawdzał ile potrafię znieść piekła, śmierci, spustoszenia.

Broniliśmy go. Ja i Bangley. Który pojawił się pewnego dnia z przyczepą pełną broni.

Bangley? Burknął. Poczciwy Bangley, ten to znał się na rzeczy. Prawda?

Oparł jeden łokieć na stole, rozprostował długie nogi, przesunął ostrzem między zębami.

Pomógł ci. Trochę cię podszkolił. Wyznaczył pogranicze prawda? Bez mrugnięcia okiem zabijał wszystko co się na nim znalazło. Młodych, starych, mężczyzn, kobiety. A ty nie.

Ale już ci przeszło.

Tato.

Dziewięćdziesiąt dziewięć przecinek coś tam. Co zostało? Przecinek coś tam. Jeden na dwustu? Trzystu? Widzieliśmy, co to oznacza. Zwykle nic przyjemnego co? Co Higs?

Hig.

Duży Hig.

Patrzyłem na niego.

Ci co zostali nie są zbyt przyjemni, co?

Patrzyłem na niego. W jego oczach lśniła równocześnie lodowata pewność i figlarne ogniki.

Wypluł jakiś okruch jedzenia. Jesteś myśliwym. Jelenie, łosie. Przed.

Skinąłem głową. Skąd…?

Zbył mnie machnięciem ręki.

Po tym jak trzymasz karabin. Jak idziesz wzdłuż strumienia. Patrzysz na ślady. Nie możesz się powstrzymać.

Szczęka mi opadła. Zobaczyłem siebie jak schodzę po igłach spalonych słońcem, przyglądając się bobkom jelenia. Obserwował mnie. Mógł mnie zabić w dowolnym momencie.

Ale nigdy nie służyłeś.

Patrzyłem na niego.

Nie lubisz nikogo zabijać. Nawet łosia tak bym obstawiał. Gdyby został jakiś do zabicia. Nawet pstrąga. Gdyby jakiś został. Szkoda. Lubisz też łowić.

Kurwa, co to za koleś? Skąd…?

Widziałem, jak patrzysz na strumień. Stanąłeś dokładnie w tym miejscu, w którym sam bym stanął, żeby nie spłoszyć ryb.

Patrzyłem.

Ale do zabijania jakoś nie umiesz się przyzwyczaić. Co, Hig?

Nie.

Skoro tak twierdzisz. Pochylił się do przodu i wpił we mnie wzrok. Świdrował mnie oczami które zalśniły jakby podpalił lont.

Proponuję, żebyś się pozbył tego idiotycznego poczucia moralnej wyższości. Tak jak grzechotnik zrzuca starą skórę. Działałbyś szybciej, z większą swobodą. Odwrócił się i splunął. Nikt przy tym stole nie jest niewinny. Ten tekst o bażancie? Gdybyś był bliżej, poderżnąłbym ci gardło. Bez zastanowienia. Dobrze, że nie byłeś. To byłoby naprawdę debilne posunięcie.

Wszystko razem, te słowa, ta wizja, były jak zimny i niespodziewany wiatr nocą. Wzdrygnąłem się. Kurwa, co to za koleś? Mógł mi poderżnąć gardło w jałowcach. We śnie.

Wstał, przeciągnął się. Na oko miał sześćdziesiąt parę lat, ale był wysoki i smukły i wyglądał jak zszyty katgutem. Dobrze się czuł w swojej skórze. Życie poświęcone pracy którą kochał, tak bym obstawiał gdybym obstawiał. Na pewno ranczer, po drodze jakiś żołnierz. Też miałem ochotę zagrać z nim w *Dwadzieścia pytań do*…, ale czułbym się niezręczne. Przecież nie musiałem wdawać się z nim w żadne przepychanki. Zawdzięczałem mu prawdopodobnie najlepszy posiłek w życiu. A może jej.

Powiedział: Dzięki za lunch. Dotknął jej ramienia. Jak szyja?

Uśmiechnęła się. Bywało lepiej.

Skinął raz głową, z kołka na zewnętrznej ścianie domu zdjął piłę kabłąkową i ruszył w dół strumienia. Otworzył furtkę w ogrodzeniu i zniknął po drugiej stronie. Nalałem sobie kolejny kubek mleka z dzbanka. Chyba czwarty albo piąty.

Nie jesteś przyzwyczajony. Pochorujesz się. Albo przynajmniej zafundujesz sobie ostre rozwolnienie.

Szefowa kuchni i lekarz w jednej osobie?

Owszem.

Zamarłem z kubkiem przy ustach. Odstawiłem go.

Jaki lekarz?

Internista. Publiczna służba zdrowia.

Jej usta rozciągnęły w coś na kształt uśmiechu, ale oczy się nie uśmiechały. Nawet ironicznie.

Prawdę mówiąc epidemiolog.

Wszyscy mieli tu jakąś obsesję na punkcie prawdy, całej prawdy.

Gdzie?

W Nowym Jorku.

Aha.

Kurwa.

Co się stało z twoją szyją?

Był draniem ale nie wydawał się tego rodzaju draniem. Ale. Poza nim nie było tu nikogo. Chyba że hodowali owce bojowe.

Nic się z nią nie stało. To znaczy… to przez moje naczynia krwionośne. Łatwo dostaję krwotoków. Mam też bóle mięśniowe. To odmiana fibromialgii. Widzisz, zachorowałam na grypę. Ledwo przeżyłam. Jednym ze skutków długiej gorączki była ogólnoustrojowa reakcja zapalna, która wywołała te dolegliwości. Ale miałam pewną odporność, najwyraźniej odziedziczyłam to po ojcu.

Biologiczną odporność czy przykry charakter.

To też. Przepraszam, że cię przestraszyliśmy. Ty przestraszyłeś nas.

Znów go nie broniła, nie widziała potrzeby. Była w stu procentach po jego stronie, tak jak należy. Prawda?

Nalała sobie mleka, przechyliła się przez stół. Wiatr bawił się kosmykami kręconych włosów, które wymknęły się z warkocza na jej skroń, czoło.

Tak jakby uruchomiłeś nasz Plan. Uznał, że musimy ustalić co zrobimy, kiedy któregoś dnia zostaniemy osaczeni. Kiedy, nie jeśli. Albo kiedy przeciwnicy nas przechytrzą albo przewyższą siłą ognia. Kiedy się pojawiłeś ze swoimi granatami, uznaliśmy, że może już czas.

Cholera.

Pomyślałem: Może to nie uśmiech widziałem na jej ustach. Przez celownik. Może tak wygląda twarz człowieka kiedy przychodzi koniec. Prawdziwy koniec.

Jedna z krów zaryczała długo i nisko z intonacją wznoszącą tak jak to mają w zwyczaju krowy. Jakby zadawała pytanie. Nad naszymi głowami drżały liście topoli.

Umówiliście się, tak?

Skinęła głową.

Miał cię zastrzelić.

Krowa znów zaryczała, tym razem krótko, jakby odpowiadając na własne pytanie. Proste wiejskie życie. Pytanie i odpowiedź.

Byliście blisko?

Tak. Wyciągnął czterdziestkę piątkę. Kiedy rzuciłeś granat. Ale potem powiedział: Zobaczmy, jak to się rozegra. Powiedział, że podejmujemy ryzyko: mogłeś go zastrzelić, jak tylko wyjdziemy. Ale powiedział, że ma przeczucie.

Przeczucie?

Powiedział, że jesteś słaby. Powiedział: Zobaczmy, co będzie dalej.

To zabolało. Poczułem jak się rumienię. A może to laktoza krążyła w moim organizmie.

Dyplomacja nie jest waszą mocną stroną.

W tym świecie dyplomacja straciła chyba rację bytu.

Może. Bangley też tak uważa. Mój partner.

Tak czy inaczej dał mi czterdziestkę piątkę na wszelki wypadek. Na wypadek, gdybyś go zastrzelił z góry i spróbował mnie zaatakować.

Jezu.

Taki jest świat. Taki był świat, który zostawiliśmy.

Skinąłem głową.

Powiedział: Poradzisz sobie z nim. Jeśli mnie zabije, zabij go kiedy podejdzie bliżej. Ale jeśli będzie ich więcej. To.

Nieświadomie dotknęła gardła. Skinąłem głową. Pewnie poradziłaby sobie ze mną gdyby doszło co do czego. Nie bierz tego do siebie, Hig. Właściwie to komplement. Przejrzeli cię na wylot ze stu jardów.

To dlaczego mnie nie zabił? Nad strumieniem? Zamiast tego poczęstowaliście mnie lunchem.

Otwarłem szeroko oczy.

Chyba nie chcecie mnie utuczyć? A może zasmakowałaś w ludzkim mięsie jak rekin samotnik?

Teraz naprawdę się uśmiechnęła. Roześmiała. Odchyliła głowę w tył, ukazując ogromny siniec, i zaśmiała się wysokim, chrapliwym głosem.

Au. Nakryła dłonią żebrowate sklepienie tchawicy. Trochę boli nie bardzo. Rekin samotnik. Nie. Uff.

Nalała sobie drugi kubek mleka, piła powoli. Nie. Dopijając ostatni łyk. Nie, jesteś nam potrzebny.

Aha.

Nagle naprawdę mnie zemdliło. Zabawne, od razu wyobraziłem sobie że mam być ich ogierem rozpłodowym. Nie wiem dlaczego zrobiło mi się od tego niedobrze bo była bardzo atrakcyjna. Powiedziałbym niemal piękna. Chociaż poraniona i bardzo krucha. Ale wyobraziłem sobie jak pieprzę ją na kamiennym łożu przypominającym ołtarz, a jej ojciec stoi nad nami z pistoletem przystawionym do mojej skroni.

*

Nie zapytałem. Ci ludzie byli tacy prostolinijni, wiedziałem że wkrótce się dowiem, czy tego chcę czy nie. Znów wycieńczenie. Obezwładniło mnie. Jak gaz musztardowy. Co się ze mną działo? Jakbym nagle

odczuł dziewięć lat czuwania. Miałem ochotę skrzyżować ramiona na szorstkim drewnie stołu i złożyć na nich głowę i zasnąć. Od razu.

Nie będzie ci przeszkadzać, jeśli się zdrzemnę? Oczy mi się zamykają.

To pewnie od mleka. Wstała i wskazała mi miejsce nad wodą głębiej między drzewami. Wisi tam coś w rodzaju hamaka. Rozgość się.

Rozgość się. Byłem gościem. Cokolwiek to znaczyło. Podziękowałem jej za posiłek i położyłem się nad strumieniem w kocu rozwieszonym między drzewami i przykryłem się kurtką i zasnąłem.

*

Śnił mi się dom na polu który powinien być mój, to znaczy wracałem do miejsca które sam wybudowałem, spodziewając się znaleźć bezpieczną przystań, dom który miał chronić wszystko co kocham, a kiedy szedłem przez pole bez drogi zobaczyłem z boku przybudówkę po mojej prawej stronie, aneks większy niż sam dom, a jego kształt wydał mi się bardzo dziwny, nie odpowiadał moim wyobrażeniom – niepokojące lukarny zbyt wysoko na dachu, gzymsy tam, gdzie nie powinno ich być, i z bólem serca i poczuciem klęski zrozumiałem, że w moim domu zamieszkał ktoś kogo znienawidzę, jakiś dziki lokator który miał prawo tam przebywać, z niejasnych już dla mnie powodów zyskał to prawo w drodze odrażających negocjacji które wyparłem z pamięci, i że mogłem się tam zatrzymać i zamieszkać ale w ten sposób tylko bym to potwierdził: potwierdziłbym to, co wydawało mi się koszmarem, albo mogłem pójść dalej i wyrzec się wszystkiego co kochałem, kochałem aż do tej potwornej chwili, i stałem na polu niezdolny podjąć żadnej decyzji, wejść czy iść dalej, i obudziłem się z płaczem.

Nawet nie przyszło mi do głowy włamać się tam i odbić swój dom.

Te wszystkie wybory których nie dostrzegamy. W każdym momencie.

Leżałem w hamaku a co dziwne w tym nierzeczywistym świecie nie było szlochania ani kołnierzyka mokrego od łez, tylko liście topoli rozkołysane i wirujące nade mną, tylko sunący obok strumień. Mogłeś przejść od jednego koszmaru do następnego do następnego i nigdy nie jeść nie sikać i nie umrzeć z pragnienia.

*

Kiedy otworzyłem oczy, pracowała w ogrodzie. Widziałem ją między drzewami rosnącymi wzdłuż strumienia, przykucniętą, pewnie pieliła chwasty. On przeszedł przez furtkę niosąc dwa jodłowe bale, musiały być stare bo niósł je bez wysiłku. Z drzew opadały lekkie pierzaste kępki, szybujące nasiona topoli. Nie radziły sobie dobrze w powietrzu. Zamknąłem oczy usłyszałem rytmiczny chrzęst piły dyszącej jak ochrypłe zwierzę. Później usłyszałem głuchy huk, trzask rąbanego drewna. Nasiono topoli wylądowało mi na powiece.

*

Jakiś czas później obudziłem się, przemyłem twarz w strumieniu, podszedłem do miejsca w którym pieliła, teraz w cieniu urwiska. Przykucnąłem obok niej przy następnej grządce i zacząłem wbijać palce w ziemię i szarpać chwasty. Zerknęła na mnie, uśmiechnęła się.

Też mamy, powiedziałem. Ogródek.

Skinęła głową.

Milczenie. Pracowaliśmy. W milczeniu. Płynąca z tego przyjemność.

*

Następnego dnia po śniadaniu znów pieliliśmy. Słońce wspięło się wyżej, spychając cień na skarpę.

Masz dzieci? zapytałem.

Przysiadła na łydkach, odgarnęła włosy nadgarstkiem.

Czekaliśmy z dziećmi. Dopóki nie przyjmą go na wydział na pełen etat. Jest muzykiem.

Skinąłem głową. Mów dalej.

Właśnie skończył doktorat i zdał ustne, kiedy w Newark pojawiły się pierwsze przypadki. Mieszkaliśmy w budynku bez windy przy Cranberry Street, to w dzielnicy Brooklyn Heights po drugiej stronie rzeki od Seaport, dzielnicy finansowej. Mieliśmy z okien widok na świat. Ten widok, który pokazują we wszystkich filmach – sylwetka miasta, most. Byliśmy bez przerwy zestresowani. Staram się o tym pamiętać, chociaż teraz mam wrażenie, że nikt na świecie nie mógł być szczęśliwszy. Ten bajgiel z jajkiem i bekonem, który z poczuciem winy kupowałam codziennie rano – trzeba było zejść po trzech stopniach do takiego baru, a właściwie wąskiego wagonu przy Montague Street, zawsze kolejka, zawsze inni ludzie w drodze do pracy, niecierpliwi, kupowanie kawy w tych niebiesko-białych greckich kubkach, najpierw cukier i mleko. To wszystko. Dzwonił do mnie na komórkę, kiedy czekałam na peronie. Miałam tylko jedną kreskę zasięgu: Co mam przynieść na obiad? Coś indyjskiego? Makaron? Ha. Życie złożone z drobnych posiłków. Żeby o tym pamiętać. Dwoje ludzi czekających na swoją prawdziwą przyszłość, która chyba miała oznaczać dzieci, jak dwoje ludzi czekających na pociąg. Najszczęśliwsze oczekiwanie. Może nie tak szczęśliwe wtedy, ale teraz się takie wydaje. Uczył w Hunterze, był wykładowcą kontraktowym, zarabiał tyle co nic, uwielbiał studentów nienawidził wydziału. Czekał na doktorat. Czekał. Czas w swoim stąku. Który nagle pękł i rozsypał zawartość.

*

Tak ze mną rozmawiała. Ja głównie słuchałem. On pracował. Mijał mnie bez słowa. Nigdy nie zaproponowałem mu pomocy. Nie

wyglądał jakby mogła być mile widziana. Wróciłem do Bestii po śpiwór. Noce były bezchmurne i chłodne, pełne gwiazd, strumień gwiazd obrysowany krawędzią kanionu jak brzegiem ciemnej rzeki, ciemnej lecz skrzącej się światłem. Pomiędzy liśćmi wysokich topoli. Spałem w hamaku pod szeleszczącym dachem liści. Przesuwały gwiazdy i dawały im głos. Po pierwszej nocy na hamaku bolały mnie plecy, ale później już nie. Trzeciego dnia wspiąłem się po drabinie z karabinem i wróciłem z dorodnym kozłem. Wlokłem go wzdłuż strumienia i spuściłem na linie z krawędzi wodospadu i tej nocy zjedliśmy jego serce i wątrobę.

To samo zrobiłem następnego dnia, a żaden z nas nie bawił się w wieszanie ćwiartek tylko razem rozebraliśmy mięso na stole i większość pokroiliśmy w pasy. Pracując szybko i sprawnie bez słów. Mieli sól. Beczkę, dwadzieścia galonów, którą przywieźli ze sobą. Namoczyliśmy mięso w solance w wiadrach. Niczego nie przeoczył i pilnowałem się, żeby mu o tym nie powiedzieć.

*

Zabawne, że można czekać przez całe życie, nawet o tym nie wiedząc.

Powiedziała biorąc z miski garść strąków. Siedzieliśmy przy stole w cieniu wysokich drzew.

Czekać, aż zacznie się twoje prawdziwe życie. Być może koniec był najprawdziwszy. Zrozumieć to, kiedy jest już za późno. Teraz wiem, że kochałam go bardziej niż cokolwiek na ziemi i wszędzie indziej. Bardziej niż Boga, episkopalnego, z mojego wyznania.

Łuskała młody groszek, włosy opadały jej na twarz, krew barwiła wnętrza dłoni na czerwono. Jej palce poruszały się ostrożnie, jakby obolałe. Przesunęły wyjątkowo oporny strąk z powrotem między kciuk a palec wskazujący.

Umarł wołając mnie, rozglądając się bezradnie po oddziale wołając moje imię. Zdezorientowany. Bardzo wcześnie, zanim wszystkie sieci padły, i zadzwonił do mnie mój przyjaciel Joel lekarz który zarządzał tym skrzydłem. Zanim wiedzieliśmy co to. Moja matka umierała i było za późno żeby polecieć do domu do Nowego Jorku, za późno i postanowiłam zostać z nią i z Tatą. Joel powiedział, że skremuje Tomasa i przechowa prochy. Byłam mu ogromnie wdzięczna. Moja matka nie mogła przeżyć. Planowałam wrócić do domu za tydzień albo dwa i pojechać na północ i rozrzucić jego prochy w John's Broo w górach za Doliną Keene, gdzie jeździliśmy na weekend kiedy tylko mogliśmy. Pracowałam dla miasta w publicznej służbie zdrowia więc miałam wolne weekendy a to rzadkość u internisty, rozumiesz. Dyżur miałam tylko w sytuacji zagrożenia zdrowia publicznego, co nie zdarza się często. Zatrzymywaliśmy się w białym domku w wiosce z widokiem na Noonmark z zadaszonej werandy. To taka mała góra w łańcuchu Adirondack, która wygląda jak parodia góry, szpiczasta jak Matterhorn ale maleńka. Mała wielka góra. Często na nią wchodziliśmy w soboty, kiedy odespaliśmy już tydzień pracy. Truchtaliśmy beztrosko stromą ścieżką na skalisty wierzchołek wystający odrobinę ponad skarłowaciałe jodły. A w długie wieczory braliśmy dwie jednobiegówki i jechaliśmy utwardzoną drogą do kamiennej jaskini z małym wodospadem, woda zawsze była lodowata, rozbieraliśmy się i wskakiwaliśmy do środka. Odprawialiśmy taki rytuał czekając aż nasze życie zacznie się naprawdę i teraz myślę że może prawdziwa słodycz jest możliwa tylko w stanie zawieszenia. Nie wiem dlaczego. Może dlatego że jesteśmy tacy niepewni, tacy zagubieni, pełni wyczekiwania? Jakby potrzebowała tyle miejsca, tyle przestrzeni, żeby się rozwinąć. To że niczego do końca nie wiesz, ta nadzieja, ta bolesna ulotność: To nie jest prawdziwe, tak naprawdę, więc zostawiamy to w spokoju, pozwalamy temu rosnąć. Ten czas który mija niepostrzeżenie. Tak widzę to teraz, kiedy wspominam. Na przykład te cudownie wyczerpujące rowerowe wycieczki poboczem wiejskiej drogi w ciepły

wieczór. Na most. Na małą, przecinaną korzeniami ścieżkę między potężnymi klonami. Którą szliśmy boso nad sadzawkę. Kiedyś dostałam takiej wysypki że dwa dni nie chodziłam do pracy. Teraz wydaje mi się że to był najsłodszy czas, jaki mogło przeżyć dwoje ludzi. Kiedykolwiek. W historii świata. Kiedy czekaliśmy aż skończy doktorat, aż urodzę dziecko, żeby zacząć naprawdę żyć.

Podniosła wzrok. Jesteśmy głupcami, wiesz.

O tak. To jedno akurat wiem.

*

Boli cię to? Łuskanie grochu?

Pokręciła głową rozkołysane włosy nad miską nie podnosząc wzroku.

Boli, prawda?

A co to jest ból? Trochę mnie piecze. Jak kiedy na dłoniach pęka ci skóra albo łamiesz paznokieć.

Później bacznie obserwowałem jej dłonie. Zręcznie przesuwała strąki w górę i w dół czasem używając trzeciego albo czwartego palca, żeby rozłożyć ból. Pracowała szybko bez słowa skargi.

Przestań, poprosiła. Nie patrz.

*

Raz mimochodem rzuciła, że spodziewa się dożyć najwyżej pięćdziesięciu, pięćdziesięciu pięciu lat. Z tego co wie o spustoszeniu, jakie gorączka wyrządziła w jej organizmie. Przyznała też, że z jakiegoś dziwnego powodu czuje się tu szczęśliwsza niż kiedykolwiek wcześniej. Mimo tego, że wszystko straciła. Wolała być cokolwiek to znaczy. Niż czekać.

*

Straciłem rachubę. Czasu. Może upłynęło pięć, może dziewięć dni. Czas rozciągał się jak miech akordeonu wydając świszczący głęboki dźwięk.

Sucho i coraz cieplej. Z dnia na dzień. Strumień trochę płytszy, trochę mniej wartki, mniej bystry nurt, gasnący wodospad, biała kaskada coraz węższa na kamiennej krawędzi. Strumień jak nastrój. Mniej żywiołowy. Obudziłem się w środku nocy i leżałem w hamaku, wysunąłem stopę ze śpiwora na chłód i wyczułem nagą stopą szorstką ziemię i zacząłem bujać się w przód i w tył. I patrzyłem na gwiazdy pływające w pajęczynie liści. Jak ryby które próbują się przecisnąć przez oka sieci.

Tym właśnie jesteśmy, to robimy: próbujemy się przecisnąć, napinamy sieć, sieć która nie istnieje. Jej węzły trzymają tylko tak mocno jak nasze własne przekonania. Nasz własny strach.

Ha. Przyznaj się: nie masz zielonego pojęcia co robisz, nigdy nie miałeś. Mimo wszystkich sieci na świecie, realnych i nierealnych. Kręciłeś się w kółko w bezładnej migotliwej ławicy płynąc za ogonem ryby przed tobą. W zasadzie. Żywiąc się czymkolwiek co znajdywałeś tam, gdzie akurat byłeś.

Nawet z miłością swojego życia czułeś się tak, jakby dopisało ci szczęście, jakby w każdej chwili mogła zniknąć w tłumie. I zniknęła.

Co ty robisz?

Nie wiem.

Kołysanie. Tam i z powrotem. Wyhamuj. Popchnij. Puść. Odepchnij. Gwiazdy, liście, nawet szmer strumienia pulsuje tam i z powrotem. Łodzi. Hamaka. Dziecięcej huśtawki. Łona. Tam i z powrotem. Kołysanie. Zapach zimnej wody, kamienia, obornika, kwiatów. Śpij.

*

Wyłożył sprawę jasno. O brzasku podszedł do hamaka z parującym emaliowanym kubkiem. Już dawno zużyli cały zapas kawy i herbaty, teraz przyrządzali napar z prażonych orzeszków piniowych i przęśli który był gorzki i dymny, całkiem niezły. Usiadł na pniaku służącym mi za stolik nocny. Skinął lekko głową w jego kierunku pytając o pozwolenie, podniósł glocka, przełożył go na mój plecak i usiadł. Podał mi kubek. Usiadłem okrakiem na wiszącym kocu. Przestawiłem pokrętło w mózgu na obrazy tańczące mi przed oczami. Znów śnił mi się dom, tym razem nie na polu tylko mój, nasz, prawdziwy dom na naszej ulicy w zachodniej części miasta, dwie przecznice od jeziora. Ale nie wyglądał jak nasz dom, teraz to był niski ceglany bunkier z kominami, wiedziałem że to krematorium, i znów stałem przed nim zdezorientowany, zastanawiając się gdzie mam spać, nakarmić Jaspera.

Pewnie usłyszałem jego kroki przez szmer wody. Ocknąłem się z sennego zamroczenia ze spotęgowanym poczuciem straty, otoczony łagodnym światłem, ale w świecie który cały jest stratą to jak wyjść na powietrze z powietrza.

Co ryba wie o wodzie w której pływa? Myślę, że sporo.

Odsunąłem od siebie sen, wziąłem kubek. Nie wyglądał na człowieka który kiedykolwiek sypia. To znaczy jego rysy nigdy nie były rozmyte. Wyostrzała je złość, ale zawsze były ostre.

Za kilka tygodni jeśli nie spadnie deszcz, a nie spadnie, trzeba się będzie zbierać.

Wyprostowałem się.

Już powiedziałem, mogę odejść w każdej chwili. Wystarczy jedno słowo.

Pokręcił głową.

Doceniam waszą gościnność, powiedziałem poważnie. Chyba przytyłem.

Nie uśmiechnął się.

Nie chodzi mi o ciebie, chodzi mi o nas. Nas troje. Zabierzesz nas stąd.

Zamrugałem. Opuściłem kubek na kolana.

Czy ty zdajesz sobie sprawę co się tam dzieje? Co? Dlaczego chcecie się stąd wynieść? Z tego małego raju? W którym ty i to, co zostało z twojej rodziny, możecie żyć w spokoju?

Tak pomyślałem. Zapytałem: Dlaczego?

Susza.

Spojrzałem na szemrzący potok, zieloną łąkę.

Zeszłego lata strumień prawie wysechł. Musieliśmy kopać w korycie, żeby mieć wodę do picia. Padła połowa bydła. W zasadzie z roku na rok jest coraz gorzej. Coraz cieplej. Tak jak zapowiadali.

Upił łyk naparu.

Wiedzieliśmy że trzeba się będzie zbierać. Pewnie tej wiosny. Nie byliśmy pewni dokąd pójść. Poza tym strach podróżować bez wody. Jeżeli tu robi się sucho, to co się dzieje niżej?

Odpiął kieszeń na piersi i wyciągnął puszkę Copenhagen. Wziął małą porcję podał mi tytoń.

A potem zjawiłeś się ty ze swoim samolotem. Pomyśleć że prawie cię zabiłem.

Tak tytoń był jak najbardziej wskazany. Wziąłem szczyptę, oddałem puszkę. To przyjemne uczucie gdy wsuwam go pod górną wargę, ten

lekki zawrót głowy.

Chcecie polecieć ze mną?

To nie kwestia chęci, Higs.

Rymuje się z Big, powiedziałem. Stary drań.

Wykrzywił twarz.

Chcecie polecieć ze mną do Erie, na lotnisko? I zamieszkać z nami? Ze mną i z Bangleyem? Na Równinach?

Pochylił się do przodu na pniaku, splunął. Chcę zostać tu. Dożyć swoich dni w spokoju z moją córką. Niech będzie remis. W tej całej pieprzonej rozgrywce.

Pokręcił głową, jakby chciał to lepiej wyjaśnić. Przeżyć życie, którego zaznałem, kiedy wróciłem. Skończyłem służbę, wróciłem na ranczo. Byłem przekonany, że będzie zupełnie inne niż to. Niech będzie remis.

Wydął policzki. Ręka, którą podniósł kubek do ust, drżała. Otarł kącik oka wierzchem dłoni.

Ranczo należało do mojego dziadka. Latem pędził tu bydło jeszcze zanim powstał ten cholerny Urząd Zagospodarowania Terenu, od którego dzierżawiło się ziemię.

Przyszło mi do głowy że śmierć jego pastwisk bolała go bardziej, nieporównanie bardziej niż śmierć rasy ludzkiej. W tym momencie poczułem do niego przypływ sympatii.

Dlaczego nie wykopaliście studni?

Skrzywił się. Nie myśl że nie próbowałem. Pod całym kanionem są skały. Cztery stopy w głąb. Nie da się nawet wykopać porządnego grobu.

*

Kiedy tak siedzieliśmy, szorstką ziarnistą szarość świtu nasyciło bardziej aksamitne, jaśniejsze światło, jak przejrzysta woda która spływa na mokry żwir. Być może umierała cała okolica. Wiedziałem że każdego roku pokrywa śnieżna na szczytach Divide stawała się coraz mniejsza, roztopy wcześniejsze, strumienie płytsze, bardziej kościste jesienią. Ale w tej chwili słyszałem skalika ostrodziobego, sześć siedem osiem rytmicznych nut wyśpiewanych w skali niedostępnej człowiekowi. I odpowiedź drugiego. Słyszałem wojaka na polu i widziałem pikujący lot zimorodka, którego widywałem prawie każdego ranka. Mknął w górę strumienia. Większe rzeki takie jak Gunnison nie wysychały. Na razie.

Miał ściągniętą twarz, wzrok wbity gdzieś daleko. Kimkolwiek był, cokolwiek zrobił, jego miłość do ziemi, do córki, była żywiołem równie naturalnym i niepohamowanym jak pogoda.

Teraz podstawowe pytanie brzmiało: czy uda mi się wystartować z krótkiej łąki porośniętej szałwią z dodatkowym obciążeniem. To wcale nie było oczywiste. Być może nie z obojgiem, być może tylko z jednym pasażerem.

Mam za mało paliwa żeby wrócić, powiedziałem.

Wzdrygnął się. Jego oczy spoczęły znów na mojej twarzy skute lodem.

Nie pierdol, Higs.

Hig. Rymuje się z Big gdybyś zapomniał.

W tym właśnie momencie przyszło mi do głowy że chyba powinienem być trochę bardziej taktowny. Skoro ich stąd nie zabiorę, może mnie po prostu zastrzelić. Cholera. Zaczynałem mieć wrażenie że ludzie mnie wykorzystują. Kochają tylko za moją siłę w powietrzu.

Jak kiedyś Stany Zjednoczone. Najpierw Bangley potem to. A gdybym nie miał samolotu? Gdybym był tylko Dużym Higiem i szedł przez ten rozbity świat oferując innym wszystko co mam, trochę dobroci, trochę współczucia, trochę wiedzy technicznej ale nie samolot. Co za pytanie. Paf.

Zapytaj facetów przy ciężarówce z colą.

Co takiego?

Przepraszam. Tak często jestem sam że czasem nawet nie wiem kiedy mówię do siebie.

Odwróciłem się w stronę strumienia i splunąłem.

Nie pierdolę. Minąłem ostatni punkt odwrotu. Gdzieś w okolicach Colbran.

Znów przyjrzał mi się badawczo. Nie potrafiłem odczytać jego emocji, ale przesuwał po moich rysach wzrokiem jak kamieniarz który ocenia stan bardzo starego muru. Nie krył się z tym że zmienił zdanie na mój temat, a to wytrąciło mnie z równowagi.

Higs, zabierzesz nas stąd. Zabierzesz nas do jakiegoś miasta, ufortyfikowanej dzielnicy, wszystko jedno gdzie, a zdobycie paliwa zostaw mnie.

Przeszył mnie dreszcz. Na pewno by sobie poradził.

Benzyna samochodowa już się nie nadaje.

Co?

Po trzech latach przestała działać. Nawet z dodatkiem ołowiu. Zwietrzała. Dużo stabilniejsza jest niskoołowiowa setka. Daje radę chociaż minęło już dziewięć lat. Ktokolwiek by tu miał benzynę, będzie bezużyteczna.

Przygryzł zębami wnętrze policzka. Nie splunął ani razu, chyba połknął tytoń.

Na Eerie nie miałem z tym problemu. W hurtowni w Commerce City jest cała półka stabilizatora dzięki któremu „benzyna jest świeża jak z rafinerii" jak głosi instrukcja. Istne czary. Wystarczy przynajmniej na dziesięć lat. Ale. Tutaj kto wie. Nawet benzyna lotnicza może nie działać. Zależy głównie od stanu zbiorników.

Ciężko było na niego patrzeć. Nie czułem się już jak kamienny mur. Raczej jak królik. Który nie ma się gdzie ukryć.

Dlaczego tu przyleciałeś? zapytał po prostu.

Nie odpowiedziałem. Nie ostrożny, nie skryty, po prostu nie wiedziałem. Tak naprawdę.

Usiadłeś za sterami i minąłeś ostatni punkt odwrotu. Wleciałeś w świat, w którym może nie być więcej dobrego paliwa. Opuściłeś bezpieczną przystań, partnera, z którym się dogadywałeś. Dla miejsca które w ogóle nie jest bezpieczne, gdzie każdy kogo spotkasz prawdopodobnie będzie próbował cię zabić. Jeśli nie w bezpośrednim ataku, to zarażając chorobą. Co ci kurwa strzeliło do głowy? Hig.

Zdechł mi pies, powiedziałem.

*

Opowiedziałem mu o komunikacie radiowym który usłyszałem trzy lata wcześniej. Opowiedziałem mu o polowaniu i łowieniu ryb i śmierci Jaspera i zabitym chłopcu i innych, i o tym że doszedłem do kresu straty.

Nie miałem innego pomysłu, powiedziałem.

*

Wiedział wszystko. Wiedział, że cessna 182 z rocznika Bestii zwykle mieści pięćdziesiąt pięć galonów paliwa zużywalnego. Wiedział, że pali mniej więcej trzynaście na godzinę. Znał przybliżone odległości. Wszystko uwzględnił w swoich założeniach. Zakładał, że jestem dokładnie w OPO, ostatnim punkcie odwrotu. Zakładał, że zabrałem kilka dodatkowych kanistrów. Ale zakładał, i tu się pomylił, że wiem, co robię.

*

Polecimy na Junction. Sprawdzimy, co chciałeś sprawdzić. Wieżę, lotnisko. Zatankujemy trochę paliwa. A potem wrócimy do Bangleya. A jeśli mu się to nie spodoba, przekonamy go.

Nie wiem czy uda mi się wystartować z wami obojgiem. Z tej łąki.

Uda się. Najwyżej odetniemy ci nogi i oprzemy cię na fotelu. Ja będę obsługiwać pedały.

Uśmiechnął się ponuro, ale widziałem jak chłód jego spojrzenia zasnuł cień niepokoju.

*

Nie było sensu zabijać zwierząt i suszyć więcej mięsa. Mieliśmy już jakieś dwadzieścia funtów sarniny z moich polowań i nie mogliśmy zabrać więcej. Tego też pewnie nie mogliśmy. Cima powiedziała że zwierzęta same sobie poradzą, a jeśli Bóg pozwoli, latem spadnie dość deszczu, żeby przeżyły.

Chciała zabrać owieczkę i baranka.

Żadne nie mogło ważyć więcej niż dwadzieścia funtów.

Próbowałem jej wytłumaczyć że małemu samolotowi bliżej do latawca niż do ciężarówki. Opowiedziałem jej o tym, czego nauczył mnie Dave Harner w Montanie, co krzyczał przez pierwszych kilka

dni kiedy próbowałem wylądować cessną 172 na lotniskach wokół jeziora Flathead. Kiedy robiłem końcowe podejście a samolot gwałtownie skręcał i chybotał się jak kaczka wrzeszczał *Jezuuu Hig! Jeździsz na motorze?* Tak! *Jeździsz pikapem?* Tak! *Tak myślałem! Ale to coś zupełnie innego! To jest ptak! Lekka korekta lekka korekta! Chryste! Co za koszmar!*

Roześmiała się.

Harner, mój instruktor, wcześniej był drwalem. Ścinał stare drzewa kiedy na północnym zachodzie rosły jeszcze stare drzewa. Biegał tam i z powrotem po stromych górach z czterdziestofuntową piłą łańcuchową z pięćdziesięciocalową prowadnicą i ścinał więcej drzew niż ktokolwiek inny w tym kraju. Był kimś w rodzaju żywego Paula Bunyana.

Pamiętasz go? Paula Bunyana?

Oczywiście.

Tylko się upewniam. Na urodziny, trzydzieste, przyjaciele wykupili Dave'owi lekcję pokazową na lokalnym lotnisku. To było w Kalispell. Chcieli, żeby na własne oczy zobaczył cały teren, który wykarczował. Całkiem wzruszające, kiedy się nad tym zastanowić. Więc wszedł na pokład z dzieciakiem o imieniu Billy, świeżo upieczonym pilotem buszowym, i ujął ster przed kołowaniem i od razu go wyczuł, delikatnymi ruchami – inaczej niż ja, ja prawie wjechałem w magazyn przy pierwszym kołowaniu – i jeszcze przed startem poczuł się jak ryba w wodzie, i zostawił Kalispell w dole. Robił wszystko, co kazał Billy, każdą najdrobniejszą rzecz, i czuł się niesamowicie, dziwnie odprężony. W końcu, powiedział mi później, czego miałby się bać po tym, jak uganiał się po zboczach o nachyleniu czterdziestu stopni ze śmiercionośnym ostrzem, a wokół niego na ziemię padały tony drzew? Panował spokój, tak powiedział. Po prostu zdumiewający, niemal boski spokój. Wyraził to

inaczej. Powiedział: Hig czułem się jakbym latał wewnątrz fotografii, jednej z tych przepięknych fotografii ziemi, którą kochasz, wszędzie był ład i porządek, a świat wyglądał tak, jak powinien. Mówił o oderwaniu od rzeczywistości, które daje latanie. Ma się wrażenie, jakby świat był idealny jak makieta kolejowa i nie mogło cię spotkać nic złego.

Rozumiem.

No. Z miejsca się zakochał. Połknął bakcyla. Ze mną było prawie tak samo, tylko że jemu latanie przychodziło naturalnie, a mnie nie.

A jest coś, co przychodzi ci naturalnie? Cokolwiek?

Pomyślałem: Strata. Tracenie rzeczy. To chyba moja życiowa misja. Tak oczywiście nie odpowiedziałem, nie mam na to wyłączności.

Pewnie łowienie ryb. Pstrągi praktycznie rzucały mi się na wędkę. A tobie?

Pokręciła głową.

*

Spędziłem trochę czasu w Bestii. Wspiąłem się po drzewie drabinie, ruszyłem w górę strumienia i wyszedłem z kanionu. Nie byłem przygotowany na lato. Szedłem w słońcu od cienia do cienia co przestało być przyjemne. Gorąco już późnym rankiem. Strumień wyraźne płytszy w ciągu dnia. Jego dno przebijało przez nurt. Kłody i śmieci na kamieniach, kamienie bardziej odsłonięte. Przestraszyłem się. Poziom wody opadał wcześnie i szybko. Strumień wyschnie. Nawet ryby które lubią cieplejszą wodę, nawet one wyginą. Karpie i sumy. Raki. Żaby.

Pod butami chrzęściły mi suche igły. Odbijały słońce w niezacienionych miejscach więc patrzenie w dół nie przynosiło ulgi.

Dwa tygodnie, mniej więcej, a większość kwiatów zniknęła. Najkrótsza wiosna w historii.

Dawniej przychodziła susza, pojawiał się monsun, sypał śnieg i życie się odradzało. W jaki sposób, to tajemnica. Dla mnie. Łosoś Clarka, który żył tu dłużej od nas, żaby i salamandry jakimś cudem wracały po roku. Skąd? Może w gardłach ptaków sam nie wiem. Teraz już nie. Prawdopodobnie.

Wspiąłem się krętym szlakiem przez archipelag, wyspy cieni rzucanych przez sosny żółte. Czułem zapach spieczonej kory, wysychającej ale wciąż wilgotnej ziemi. Nękany letnim brzęczeniem bąków. Cedry na wierzchołku były gęste. Bujne i sękate, wykręcone w stronę słońca, rozkołysane gałęzie jak brzydkie ręce pocieszycielek, rosły tak wolno że nikt nigdy ich nie ściął. Niektóre z nich to pewnie sadzonki z czasów kiedy Cortés spoglądał na swoich ludzi, gubiąc się w szalonych domysłach. Przeszedłem przez odkrytą łąkę, poklepałem Bestię po dziobie.

Tęskniłem za tobą.

Omiotłem wzrokiem małą dolinkę. Krótka. Sosny i jałowce na skraju nie były wysokie, największe miały dwadzieścia stóp, ale drzewa rosnące głębiej sięgały dwukrotnie wyżej. Te mogliśmy wyciąć.

Gdyby był środek zimy. Upał robił dużą różnicę. Zimne powietrze jest gęstsze, gorące powietrze niesamowicie obniża osiągi. Musieliśmy wyruszyć o zmroku, tuż przed świtem, kiedy już coś widać ale jest jeszcze chłodno.

Chodzi mi o to. Wetknąłem głowę do środka, pachniała tak samo jak zawsze. Pachniała Jasperem, pachniała pewnie jeszcze latami pięćdziesiątymi, i wyciągnąłem Instrukcję Użytkowania w Locie z winylowej kieszeni za moim fotelem. Oryginalna instrukcja z 1956 roku. Cienka broszurka cieńsza niż jedna ósma cala, osiemdziesiąt

osiem stron z rysunkiem samolotu na okładce. Na końcu zamieszczono tablice osiągów. Są cudowne – precyzyjne i bezcenne. Wzięły się stąd, że jakiś oblatywacz wsiadł do tego konkretnego modelu i startował raz za razem. Z tej wysokości nad poziomem morza i z innej. Przy tej temperaturze powietrza i przy innej. Technicy w białych fartuchach i okularach o grubych czarnych oprawkach zapisywali te dane i tworzyli piękne, gładkie, nieśpieszne krzywe. Wracali potem do domu do żon z natapirowanymi kokami i popijali whisky Seagram's Seven ze szklaneczek z ciętego szkła. A co robili oblatywacze? Byli weteranami drugiej wojny światowej, którzy kiedyś bombardowali Japonię i austriackie lotniska, a potem osiedlili się na nowych przedmieściach jak postaci z powieści Jamesa Dickey'ego i wracali do maleńkich kokpitów w ośrodku testowym Cessny w Wichicie, gdzie maszyny trzęsły się w znajomy im sposób jak wszystkie samoloty śmigłowe, a wtedy dawny podpułkownik nie różnił się niczym od amatora jeździectwa, który niezależnie od konia niezależnie od miejsca siada w siodle ze złożonym i jednocześnie prostym uczuciem, że oto znalazł się w domu i uwolnił od prozaicznych zmartwień.

Te tablice i wykresy zamieszczono na końcu mojej cienkiej instrukcji. Długość rozbiegu i dobiegu. Otworzyłem broszurę – ostrożnie – zawsze traktowałem ją jak bezcenny starożytny manuskrypt – na stronie zatytułowanej *Dane dotyczące startu*. Przesunąłem palec w bok, na wysokość lotniska siedem i pół tysiąca stóp, i zjechałem nim w dół w kolumnie temperatury w stopniach Fahrenheita. Jeśli samolot bez obciążenia ma pokonać przeszkodę o wysokości pięćdziesięciu stóp w temperaturze trzydziestu dwóch stopni przy braku wiatru przeciwnego, długość rozbiegu powinna wynosić dziewięćset pięćdziesiąt stóp. Widzicie? Mnie nie pytajcie. Wyższa temperatura rozrzedza powietrze. Potem zrobiłem coś, czego nigdy nie robię, czego nie robiłem od egzaminu na licencję pilota prywatnego: wyciągnąłem arkusz załadowania i wyważenia, który

trzymałem złożony w kieszeni w przegródce przy kolanie. Każdy samolot ma własny, dostosowany do swoich specyficznych własności. Ciężary i momenty. Wyjąłem czystą kartkę papieru i rozpisałem problem. Tatka dałem z przodu, założyłem jakieś sto osiemdziesiąt funtów, a Cimę z tyłu, sto dwadzieścia z dwudziestofuntową torbą zapasów. Pięć galonów wody to razem czterdzieści. Żadnych owiec. Pełnych kanistrów już nie było bo przelałem wszystko do zbiorników. Doliczyłem paliwo, broń, dwa karabiny, śrutówkę, pistolety, cztery granaty. Kropka. Dwie kwarty oleju.

Zrobiłem wyliczenia, skrobiąc ołówkiem po kartce. Potem odłożyłem papiery na fotel, zostawiłem otwarte drzwi, nie było wiatru, i przeszedłem drogą biegnącą przez łąkę.

*

Sto osiemdziesiąt sto osiemdziesiąt jeden sto osiemdziesiąt dwa. Liczyłem kroki. Przypomniało mi się jak liczyłem sekundy czekając na Bangleya przed starciem. Omijałem koleiny. Torowałem sobie drogę w trawie. Obserwowałem sępnika różowogłowego który krążył na północ ode mnie. A kiedy doszedłem do dwustu i zobaczyłem ile mam przed sobą polany już wiedziałem. Za mało. Najwyżej sześćset czterdzieści stóp. Bez szans.

Na koniec. Już wiedziałem ale sprawdziłem ponownie. Z tej samej kieszeni fotela wyjąłem gruby drewniany patyk. Był oznaczony markerem wzdłuż całej długości numerkami 5 10 15 aż do 30. Galonów. Wspiąłem się na zastrzał, zdjąłem nakrętkę ze zbiornika na szczycie skrzydła i wsunąłem miarkę. Wyciągnąłem ją odwróciłem tyłem do słońca i sprawdziłem szybko schnący mokry ślad o gryzącym zapachu. To samo po drugiej stronie.

*

Faceci w białych fartuchach. Pilot myśliwca w mundurze lotniczym. Z żoną z tapirem. Nuci pod nosem, wybija na wolancie cessny rytm *Rock Around the Clock*. Rok 1955. Za chwilę rozpęta się chaos: obłędna muzyka, hula-hoop, surferki, Elvis, dziś z perspektywy czasu wszystko to sprawia wrażenie szaleńczej kompensacji – czego? Wielkiego Strachu. Czającego się za rogiem. Pierwszy raz w historii człowieka być może od czasu Arki ludzie myśleli o możliwości Końca. Że czerwone telefony zaniosą w świat jakieś straszne nieporozumienie, że czyjś drżący palec wciśnie czerwony guzik i będzie po wszystkim. Po wszystkim. Tak szybko. W pęczniejącym grzybie pyłu i ognia, najpotworniejsza śmierć. To musiało się odbić na psychice. Nagłe wibracje głębsze niż kiedykolwiek wcześniej. Jak wiatr pierwszy raz dość mocny żeby ruszyć z miejsca najcięższe dzwony, zardzewiałe płyty z brązu zawieszone na przełęczach. Posłuchajcie: głębokie przerażające powolne dźwięki. Wnikają w trzewia, w odstępy między neuronami, jękami wieszcząc totalną śmierć. Co byście zrobili na ich miejscu? Rozkołysali biodra, wynaleźli rock and rolla.

Mężczyźni w ośrodku testowym Cessny spisali te liczby, te odległości. Chcieli zapobiec najdrobniejszym wypadkom choć żyli w ciągłym strachu przed tym Największym, który opanował ich sny. Czy tak właśnie było? Nie wiem. Koloryzuję. Ale czy to możliwe, biorąc pod uwagę co się stało? Właściwie nie da się przesadzić. Nie istnieją już hiperbole tylko czyste postępujące wymieranie. Nikt by w to nie uwierzył.

Oblatywacze pracowali w idealnych warunkach na gładkim asfalcie. Nawet miękkie pole obniża osiągi, a twardy szlak między krzewami szałwii to coś zupełnie innego. Moglibyśmy wypełnić koleiny, wyrównać pas najlepiej jak potrafimy, ale.

Rozwinąłem wąż i spuściłem dwanaście galonów z powrotem do kanistrów. Nie były nam potrzebne żeby dolecieć do Junction,

a w ten sposób oszczędzaliśmy siedemdziesiąt dwa funty. Potem pomyślałem: zostaw sobie jakiś margines, i znów stanąłem na zastrzale i dolałem na oko ze dwa galony. Jeden pełny kanister zostawiłem w szałwii, a z drugiego wylałem na ziemię i schowałem go w Bestii. Później poszedłem na ryby. Wyjąłem futerał na wędkę ze stojaka za fotelem, wziąłem lekki nylonowy plecak z pudełkiem na muchy i żyłką i zszedłem do kanionu.

*

Z moich obliczeń wynikało że najlepsze co możemy zrobić żeby mieć jakąkolwiek szansę na start, na ominięcie drzew, to zostawić staruszka.

Mogłem sobie wyobrazić jak to przyjmie. Mogłem sobie wyobrazić całą rozmowę. Prawie słyszałem jak jego nóż wysuwa się z plastikowej pochewki, własny jęk kiedy ostrze wbija mi się w gardło. *Nie pierdol Higs! Już ci mówiłem żebyś mi tu nie pierdolił!*

Złowiłem pięć karpi. Spuściłem na dno bażantkę i wyciągałem jednego za drugim. Wzdłuż skarpy szybował sokół wędrowny, opadł niżej, przemykając tuż nad drzewami okalającymi strumień. Wydaje mi się że mnie obserwował, zaciekawiony. Czy sokoły jedzą ryby? Karpie były chude, długie i smukłe i z ukłuciem smutku zrozumiałem, że głodują. Zmiana temperatury wody wpływała i na nie, albo na ich pożywienie. Zdejmowałem je z haczyka wyjątkowo delikatnie, z delikatnością którą zawsze rezerwowałem dla pstrągów, i trzymałem je ostrożnie kiedy wiły się w mojej dłoni, dopóki ich skrzeli nie wypełniło powietrze a falujące ogony nie wyprężyły się jak struna, dopóki się rzucały. Poddałem się, nie miałem już ochoty łowić.

Pstrągów nie ma łosi tygrysów słoni frajerów. Jeśli budzę się z płaczem w środku nocy, a nie mówię że tak jest, to dlatego że zniknęły nawet karpie.

Wyobraziłem sobie naszą rozmowę. Mogę zabrać twoją córkę, dwadzieścia funtów suszonego mięsa, ale ciebie już nie.

Ale. Żaróweczka się zapaliła. Hig, doznałeś czegoś, na co dawniej mówiło się olśnienie. Kiedy odkryto coś, jakiś intelektualny związek na wagę złota. Eureka.

Postanowiłem zabrać arkusz załadowania i wyważenia, ołówek i papier, delikatną instrukcję z oderwaną okładką i niepodważalnymi danymi w tablicach i przeliczyć wszystko tak, jakbym to robił po raz pierwszy i pozwolić im wyciągnąć własne wnioski.

Jadła lunch przy stole w cieniu. Dzban zimnego mleka, solone mięso, w misce jagnięcina i młoda sałata, dymka. Usiadłem. Tatko mnie obserwował. Śledził mnie wzrokiem, przyglądał mi się przeżuwając każdy kęs. Ona jadła. Dziś ruszała się bardziej zwinnie, lekko. Siniaki znikały, humor jej się poprawił. Jadła powoli, oddychała głęboko jakby napawała się zapachem strumienia, każdego nowego kwiatu.

Da się? zapytał wreszcie. Odstawił kubek, wytarł usta rękawem czekał.

Nie.

Odłożyła widelec. Plecak miałem u stóp. Rozpiąłem suwak, poluzowałem sznurek, wyciągnąłem podręcznik, arkusze, wyciągnąłem ogryzek ołówka zza krawędzi czapki.

Załadowanie i wyważenie, powiedział. Skinąłem głową. Długość rozbiegu, powiedział.

No.

Nie był głupi. Zapisałem mu tylko wzór, zostawiłem ciężary do uzupełnienia. W prawym górnym rogu wynotowałem kilka danych: gal paliwa = 6 funtów. Gal wody = 8 funtów. W zbiornikach: 14 gal.

Przesunąłem kartkę w jego stronę. Zacząłem jeść.

*

Był bystry. Nie wiem czym się zajmował wcześniej na ranczu, w wojsku, ale nie tracił czasu. Wziął ołówek i zabrał się do pracy. Nie pytał: Dobrze? Tak się to robi? Minęło trochę lat… nic w tym rodzaju. Ten człowiek nie miał zwyczaju się tłumaczyć, usprawiedliwiać. Ani razu nie zapytał: Higs sprawdzisz moje obliczenia? Nie, sukinsyn tylko rzucił okiem na problem, zaczął mnożyć, uzupełniać luki rozwiązywać równanie. Widziałem jak spisuje listę zapasów z prawej strony kartki, umieszczając przy każdej pozycji szacunkowy ciężar. Próbował na trzy różne sposoby i za każdym razem widziałem jak skreśla dwa albo trzy punkty. Zmniejszył ilość wody do trzech galonów. Wykreślił stalowy kanister.

Niestety.

Podniósł wzrok.

Kanister. Wąż. Dziesięć funtów. Są niezbędne. A co, jeśli będziemy musieli iść po paliwo?

Skinął głową, wpisał go ponownie na listę.

Potem kombinował z benzyną, zamiast czternastu zostawił w zbiornikach dziesięć.

Nie.

Znów mu przerwałem. Nieruchomy ołówek, uniesiona brew.

Paliwo zostaje.

Trzydzieści pięć mil do Grand Junction, najwyżej. Sto dwadzieścia mil na godzinę pod wiatr. Jedna trzecia godziny trzynaście galonów na godzinę. Dziesięć w zupełności wystarczy.

Nie ma mowy. A jeśli będziemy musieli krążyć, sprawdzić wszystkie pasy startowe, pasy kołowania, jeśli będą do nas strzelać, jeśli będziemy musieli znaleźć jakąś drogę.

Skinął głową. Spróbował jeszcze raz. W końcu odłożył ołówek, rozprostował ręce, odsunął się od blatu. Wbił we mnie wzrok. Chyba dostrzegłem nienawiść. Z Tatkiem nigdy nie wiadomo.

Już to policzyłeś prawda?

Skinąłem głową.

Ja zostaję, ona leci.

Skinąłem głową.

Już o tym wiedziałeś.

Skinąłem głową. Patrzył na mnie. Przez jego twarz przemknął promień światła. Nadał jej wyraz ożywienia chociaż wydaje mi się, że nie drgnął mu żaden mięsień. Powiedziałbym: Cisza jak makiem zasiał, ale. Strumień za blisko. Wpatrywał się we mnie, skinął wolno głową.

Okej, powiedział.

Tak po prostu. Załatwione. Teraz naprawdę polubiłem tego starego bałwana, muszę przyznać. Przełknął gorzką pigułkę, bez szemrania.

Uśmiechnąłem się do niego, chyba pierwszy raz.

Dlatego potrzebujemy czternastu galonów, powiedziałem. Między innymi.

Wyglądał na zaskoczonego, skrzywił się, wsunął język pod górną wargę w miejsce, w którym jak już wiedziałem trzymał tytoń.

Potrzebujemy czternastu bo musimy wylądować i jeszcze raz wystartować. Zabierzemy cię z autostrady. Żaden problem. Zaraz za zjazdem z mostu jest porządny prosty odcinek. Więcej nam nie trzeba. Bułka z masłem.

Nie pozwolił, żeby złagodniała mu twarz, nic z tych rzeczy. Zdawało mi się tylko, że w jego oczach, w chłodzie jego spojrzenia dostrzegam lekką odwilż, nową ocenę.

Możesz wyruszyć dzień wcześniej i zabierzemy cię o świcie.

Okej, powiedział jeszcze raz i było po wszystkim.

KSIĘGA TRZECIA

I

Tak naprawdę nie było pośpiechu. Mnóstwo wody w dużych rzekach gdybyśmy utknęli w Junction. Chcieliśmy dać sobie parę tygodni, podtuczyć się, zaczekać na pełnię lata, rozkoszować się nim dopóki mieliśmy możliwość. Zaczekać aż strumień się obniży. Postanowiłem się tym cieszyć. Traktowałem to jak wakacje, moje pierwsze odkąd.

Odkąd przedstawiłem mój nieoczekiwany plan awaryjny, atmosfera w obozowisku trochę się rozluźniła. Szczerze mówiąc zaskoczyło mnie, że dał się zaskoczyć pomysłem żeby zabrać go później. Przy jego inteligencji, zmyśle taktycznym. Pod tym względem przypominał Bangleya, w sytuacji kryzysowej zawsze planował trzy kroki naprzód, na chłodno.

Potem zrozumiałem, że od razu przyszło mu do głowy takie rozwiązanie. I poczułem do niego jeszcze większy szacunek. On wiedział.

Było dla niego oczywiste, że możemy wystartować we dwójkę i zabrać go później, ale trzymał język za zębami. Widziałem dwa powody. Raz, należał do ludzi, którzy kierują się zasadą *Nie pchaj się, gdzie cię nie chcą*. A Dwa, wyjazd budził w nim mieszane uczucia. Chwilami, może przez większość czasu, wolał zostać, patrzeć jak strumień wysycha, pomóc zwierzętom przejść na tamten świat, umrzeć ze swoim ranczem i zgnić na tej krzemienistej ziemi.

Człowiekowi w jego wieku i z jego przekonaniami ta wersja wydawała się pod wieloma względami lepsza od alternatywy. Podróży do obcej ziemi – bo teraz to była Ziemia Obca pod każdym względem. Poza tym czekały go równiny, nie góry – czyli urządzanie nowego życia, konieczność przystosowania się do nowych zagrożeń, nowych reguł nie swoich własnych. Fatalna perspektywa. A gdyby jej

powiedział że tak woli, bardzo by ją zranił, nigdy by się na to nie zgodziła, wpadłaby w histerię, taką histerię do jakiej zdolna jest kobieta która przeszła tyle, co przeszła ona. Nie wybaczyłaby mu.

Więc ta delikatna broszurka Instrukcji Użytkowania w Locie z tablicami długości rozbiegów, niepodważalną krzywą poza którą nigdzie nie było nowego życia, jedynie chwiejny samolot, który usiłuje wzbić się ponad niskie drzewa i zahacza o nie podwoziem, potem skrzydłami, wielka przewrotka… to było jego wyjście ewakuacyjne. Z tego planu. Może dlatego nie wydawał się zbytnio zszokowany. Dlaczego liczył załadowanie i wyważenie na jej oczach.

Myśląc o tym w ten sposób prawie żałowałem że podsunąłem to rozwiązanie. Był dużym chłopcem i chciał umrzeć na miejscu. Ale.

Huśtałem się w hamaku. Recytowałem wszystkie wiersze, które choć trochę pamiętałem. Chodziłem na ryby w górę strumienia i w dół. Jadłem. Zabierałem łopatę na łąkę i wypełniałem koleiny na naszym pasie startowym, karczowałem krzaki. Pomagałem Cimie w ogródku, zbierałem z nią wczesne warzywa.

To był porządny ogród. Ziemia była żyzna, dużo żyźniejsza niż na lotnisku. Mrowiła się od robaków i lśniła czernią, rok w rok nawożona obornikiem. Dostawałem nawóz kurzy od rodzin, ale to nie wystarczało, nie dawało takich efektów. Wcześnie rano, w cieniu wyższych drzew ziemia była zimna i mokra, młode rośliny pokrywała rosa. Ten zapach. Cień biegł na ukos i lubiłem rozebrać się do bokserek i klęczeć na wilgotnej ziemi, wystawiając plecy na słońce. Koszyk oblepiony ziemią obok nas, między grządkami.

Dlaczego wróciłaś na wschód? zapytałem.

Dostałam stypendium z Uniwersytetu Dartmouth.

Mój wujek tam chodził. Byłaś jedynaczką?

Pokręciła głową.

Brat bliźniak. Zginął, kiedy mieliśmy piętnaście lat. Motocykl.

Rany.

Dobrze się uczyłam. Dobrze mi szło na testach. Miałam zostać weterynarzem, pójść na Uniwersytet Stanowy Kolorado, wrócić do domu i założyć wielką lecznicę dla zwierząt. Taki miałam plan przez całe życie. W naszym liceum pracował doradca, pan Sykes, który pomagał uczniom wybrać college i dostać się na studia. Miał bardzo wysoką skuteczność, ale tak ściśle kontrolował, kto dokąd idzie, że wszyscy mówili na niego Srykes. Kiedy byłam w trzeciej klasie, pewnego dnia wszedł do sali, w której miałam angielski, i podał mi złożoną kartkę. Było na niej napisane: Mój gabinet 12.45. W czasie przerwy na lunch. Pamiętam, że omawialiśmy *Pieśń miłosną* J. Alfreda Prufrocka. Znasz to?

Uwielbiałem ten wiersz, dopóki nie wyjaśnili mi go w szkole średniej. Wiedziałaś, że ma Ukryty Sens?

Naprawdę?

Tak. Seks, sztuka i nauka to narzędzia broni w walce klasowej.

Nono. Ciekawy przekaz dla ambitnej młodzieży.

Nie byliśmy ambitną młodzieżą. Mieliśmy pracować w StorageTek albo w UPS. Albo w Coors.

Kartka. Sykes, powiedziałem.

A tak. Serce waliło mi jak oszalałe. Co roku Uniwersytet Dartmouth przyznawał stypendium jednemu uczniowi Delta High. Ufundował je człowiek, który wybudował fabrykę płyt pilśniowych, wychowanek naszej szkoły. Chyba miał wyrzuty sumienia z powodu cuchnących oparów formaldehydu, które musieliśmy wdychać w czasie zimowej

inwersji. Każdej jesieni Sykes wzywał do siebie jednego ucznia na przerwie na lunch. Wszystko kontrolował, sam wybierał stypendystę. Chyba nawet nie miał do tego prawa, ale tak było i już. Jego małe królestwo. Wszystkie rodziny z całego miasta przez cały rok wchodziły mu do tyłka. Do końca lekcji nikt nie mógł się skupić, wszyscy patrzyli na mnie. A mnie aż kręciło się w głowie od nowych perspektyw, wizji przyszłości, której nie umiałam sobie nawet wyobrazić. Zlewały mi się w jeden obraz: cegły pokryte bluszczem, przystojni studenci starszych lat w swetrach w romby, które zdejmują na wyścig łodzi wiosłowych. Sam widzisz, że nie miałam o niczym pojęcia. Moje dni wyglądały tak: rozrzucanie siana przed świtem i biegi przełajowe po lekcjach, a potem do domu i dalsze obowiązki, dać koniom owies i lekarstwa, posprzątać stajnie, odrobić lekcje.

Byłam czerwona jak burak, wiedziałam o tym. Im bardziej próbowałam skupić się na wierszu, tym bardziej czułam na sobie ich spojrzenia, a kiedy podniosłam wzrok i zerknęłam wokół, zobaczyłam je. I czułam ich zazdrość. Jak podmuch wiatru. Pod koniec dnia nie byłam już pewna, czy to było najlepsze, czy najgorsze, co mogło mnie spotkać. W każdym razie poszłam do Sykesa. Nie przełknęłabym ani kęsa na stołówce, więc po prostu weszłam do łazienki i usiadłam na sedesie i próbowałam oddychać. Powiedział: Cima, myślę że masz dużą szansę na stypendium Rittera. Był łysy jak kolano. Pomyślałam, że ma głowę w kształcie jajka. Pamiętam, że na tej różowej kopule pokrytej plamami zauważyłam kropelki potu, jakby to on miał się czym denerwować. Pochodził z Illinois, z okolic Chicago, pamiętam. Powiedział: W swoim zgłoszeniu napiszesz wypracowanie o życiu na ranczo i o śmierci Bo.

Byłam zszokowana. Jakby ta ostatnia prośba mi się przyśniła. Chociaż to nie była prośba. Słucham, powiedziałam. Dłonie miał oparte na biurku i wyobraź sobie, że złożył kciuki i palce wskazujące w trójkąt i ściągnął usta i zajrzał do środka jakby to było jakieś

masońskie oko opatrzności, które odkrywa przed nim moje przeznaczenie. Powiedział: Napiszesz, jak to jest dorastać na ranczu i stracić bliźniaka, który był twoją bratnią duszą.

Gapiłam się na niego. Słyszałam, że kontroluje cały proces aplikacji. Ale jeszcze nikt nie odezwał się do mnie w taki sposób. To znaczy nie wlazł z buciorami, łup, łup, w moje najintymniejsze sprawy. Dla mnie Bo był jak tajemniczy ogród. Miejsce, do którego miałam wstęp tylko ja. Źródło równocześnie żalu i ogromnej siły. Uśmiechał się do mnie. Miał bardzo małe usta i unosił tylko jeden kącik. Pamiętam. Ten popłoch. Przed chwilą życie otworzyło przede mną szeroko drzwi i nagle to przerażenie: że aby przez nie przejść, muszę sprzedać duszę. Coś w tym rodzaju. Przerażające. Wiem, że zarumieniłam się po czubki uszu i nie byłam w stanie nic z siebie wykrztusić. Cały czas się do mnie uśmiechał. Powiedział: Jeszcze nie pora na podziękowania, to rzeczywiście doniosła chwila. *Deux ex machina*. Tak powiedział! Jakby był Bogiem! Daję słowo. Myślał, że zaniemówiłam z wdzięczności, kiedy w rzeczywistości wpadłam w furię. Czułam się zgwałcona. Byłam taka wściekła, że miałam ochotę złapać go za tę jajowatą głowę i ją roztrzaskać. Wymamrotałam coś i uciekłam.

Napisałaś o Bo?

Tak. Napisałam o tym, że mój szkolny doradca zażądał, żebym napisała o swoim zmarłym bracie bliźniaku. Napisałam długie wypracowanie, dwa razy dłuższe niż wymagali, o pewnego rodzaju takcie, który był elementem kultury ranczerskiej, z czego moim zdaniem wynika i dlaczego jest ważny i dlaczego fakt, że opowieść dziewczyny z rancza o nieżyjącym bracie bliźniaku może wzruszyć ludzi decydujących o przyjęciu na najlepszy wschodni uniwersytet, to kolejny przykład na to, ile nas dzieli. Elity ze Wschodu i ludzi żyjących ze swojej ziemi na Zachodzie. Nie potrzebowaliśmy niczyjego współczucia. Byłam taka zła. Chyba nigdy nic mnie tak nie

wkurzyło. Wysłałam zgłoszenie bez konsultacji z Sykesem, wbrew wszelkim zasadom. Nikt wcześniej tego nie zrobił. Próbował storpedować mój wniosek, mściwy skurwiel, ale było już za późno. Pewnie zrobił na nich wrażenie mój ranczerski temperament czy coś w tym stylu. Oczywiście się dostałam. W pierwszym rzucie, stypendium na całe studia. Uniwersytet wywarł presję na szkołę i Sykes musiał przejść na emeryturę. Wiesz, w tym wszystkim ciągle nie daje mi spokoju jedno – ja wiedziałam, jak to się skończy. Że mnie przyjmą. Bo przecież pokazałam im ten emocjonalny bagaż, o który im chodziło, prawda? To znaczy byłam naprawdę wściekła, ale w głębi duszy wiedziałam, że to jeszcze bardziej zwiększy moje szanse. Często wspominam o tym w modlitwie. To znaczy przepraszam Bo za to, że wykorzystałam go, żeby się dostać na studia.

Otrzepałem botwinę z ziemi i włożyłem ją do koszyka.

Nie wykorzystałaś Bo. Napisałaś dokładnie to, co czułaś.

Tak, ale często myślę, że najbardziej uczciwym wyjściem byłoby całkowicie olać Dartmouth za to, że mają takie oczekiwania, takie wartości, i pójść na Northern State. To jest szkoła rolnicza. Była.

Miałaś ile? Siedemnaście lat? Chciałaś pokazać, na co cię stać. Byłaś twardą zawodniczką jak twój ojciec. Nikt na świecie nie jest bardziej przekonany o swojej słuszności niż siedemnastolatek. A problemem nie był uniwerek, tylko pan Srykes.

Wiesz, o co mi chodzi. W końcu miał rację. Wiedział, czym ich przyciągnąć. Sama nie wiem. Myślę o nim czasem, facet w średnim wieku, kawaler, wykurzony z jedynej pracy, w której był świetny. Co zrobił z resztą swojego życia, jak się czuł, kiedy wybuchła epidemia grypy. Samotny, przerażony. Zabawne, jakie rzeczy nie dają człowiekowi spać po tym wszystkim, co się stało.

Amen, powiedziałem.

Cisza. Wyrwałem trochę młodej trawy. Ręce czarne od ziemi jak łapy niedźwiedzia. Była zbyt taktowna żeby mnie zapytać. Ranczerskie zasady nadal obowiązywały.

Chcesz wiedzieć, co mnie nie daje spać?

Przykucnęła na słońcu, wyprostowała plecy, zdmuchnęła włosy z twarzy. Miała mocny prosty nos, szeroko osadzone oczy. Długą smukłą szyję, teraz posiniaczoną.

Nie mogłem powiedzieć: na koniec zakryłem mojej żonie twarz poduszką. Czułem, jak walczy w ostatnich sekundach, próbując odepchnąć śmierć, o którą prosiła. Taki odruch, prawda? Że nie odpuściłem i nacisnąłem mocniej i dotrzymałem obietnicy złożonej chwilę wcześniej. Że to była właściwa decyzja. Bo była, prawda?

Czy mogłem powiedzieć, że zamordowaliśmy małego chłopca w środku nocy? Że nie przerobiliśmy go na psią karmę. Że zamordowaliśmy młodą dziewczynę w biały dzień, która goniła mnie z nożem kuchennym i pewnie chciała poprosić o pomoc. Albo że wspomnienia samotnych wypraw na ryby, łowienia pstrągów w górskim potoku z Jasperem na brzegu to chyba moje najsłodsze wspomnienia. Że tak wiele z tego wszystkiego jest snem albo równie dobrze mogłoby nim być. Że nie umiem już odróżnić snu od wspomnień. Że budzę się ze snu w kolejnym śnie i nie do końca wiem, dlaczego wciąż trwam. Że chyba tylko ciekawość utrzymuje mnie przy życiu. Że nie jestem już pewny, czy to wystarczy.

Udusiłem żonę poduszką. Na koniec kiedy poprosiła. Jakbym uśpił psa. Inne rzeczy. Gorsze.

W dłoni wciąż ściskała pęczek botwiny. Jej palce zacisnęły się na liściach. Skinęła głową. Oczy miała ciepłe i pewne.

A ja żałuję, że nie było mnie na miejscu, żeby to zrobić dla Tomasa. Żałuję, że nie mogłam tego zrobić. Dlaczego nie zostałam ze swoim mężem? Moja matka miała swojego, nie potrzebowała mnie tak jak on. To znaczy on jeszcze nie zachorował. Trochę kasłał, ale nie byliśmy pewni. Żadnej gorączki. Sporo osób kasłało, tylko kilka przypadków potwierdzono. Ale powinnam była wiedzieć. Na moim stanowisku kiedy pojawiły się pierwsze pogłoski powinnam wiedzieć.

Przysiadła wyprostowana na piętach i cicho płakała. Włożyłem botwinę do koszyka i zacząłem pielić. Wytrząsnąłem z korzeni ziemię i odłożyłem robaki z powrotem na grządki.

*

Najgłębsze miejsce znajdowało się tuż pod wodospadem. Nawet przy niskim poziomie woda miała głębokość czterech czy pięciu stóp i była zimna. Trudno sobie wyobrazić, że mogłoby wyschnąć, ale wyschłoby bez odpowiednio dużych opadów śniegu zimą i deszczu latem. Kiedy zrobiło się naprawdę gorąco, kąpałem się tam każdego dnia. Szedłem nad wodę późnym popołudniem, kiedy dno kanionu wciąż zalewało słońce. Lubiłem ten kontrast, żar i chłód. Było osłonięte wierzbami. Wieszałem koszulę na jednej z gałęzi jak wystrzępioną flagę, żeby wiedzieli, że tam jestem, i szedłem udeptaną ścieżką nad zatoczkę. Krople wodospadu zraszały gładkie kamienie na brzegu, było tu pewnie z dziesięć stopni chłodniej. Wdzięczny, tak wdzięczny jak czułem się przez cały dzień, rozpinałem spodnie i rozwiązywałem buty, rozbierałem się. Czasami siedziałem tylko w wilgotnej mgiełce, głazy na skraju były najcieplejsze, i machałem stopami i łydkami w wodzie: chłodny podmuch na klatce piersiowej, słońce na plecach, kontrast. I patrzyłem jak wzór tęczy przesuwa się w chmurze kropel.

Chciałem ją zapytać: Co naprawdę wiedzieliście o grypie, o nadciągającej pandemii. Wiedzieliście coś? Czy naprawdę nikt się

jej nie spodziewał? Dlaczego wszystko wydarzyło się tak szybko? Czym była ta choroba krwi która nadeszła chwilę później i dlaczego zaraziło się nią tylu ocalałych? Chciałem zadać jej te wszystkie pytania od chwili kiedy powiedziała, że jest lekarzem, takim lekarzem. Ale uprzedziła je opowieścią że jej mąż umarł bez niej na oddziale i nie chciałem rozdrapywać starych ran itepe, ale teraz byłem zdecydowany. Sama zaczęła temat. Z drugiej strony, płakała. Pewnie też bym się rozpłakał, ale prawdę mówiąc nie miałem już łez. Jakby ktoś przecisnął mnie przez wyżymaczkę.

Siedzieć gołym tyłkiem na kamieniach machać stopami w wodzie, czuć wilgotny podmuch od wodospadu, nie słyszeć niczego oprócz huku spadającej wody, kiedy słońce pali mi tył uszu. Nie myśleć o niczym. Być za to wdzięcznym. Moja ulubiona pora dnia. Teraz mógłbym powiedzieć: czuję spokój. Tu na brzegu umierającego strumienia.

Po południu tego dnia, kiedy rano zbieraliśmy botwinę, poszedłem nad wodospad i ściągnąłem przez głowę przepoconą i brudną od ziemi koszulę i uznałem, że dobrze byłoby ją uprać. Czyli wypłukać i strzepnąć na kamieniu i wyżąć. Pomyślałem: Kolejny powód do wdzięczności, Hig: nie masz stosu ubrań roboczych do uprania i wywieszenia i złożenia i upchnięcia na za małych półkach w szafie. Zawsze brakowało nam z Melissą miejsca na nasze rzeczy. Można pomyśleć, że stolarz będzie pamiętał o ubraniu na zmianę, ale nie. Jedna koszula, spodnie, skarpetki. Jeden ciepły podkoszulek. Ulubiony wełniany pocerowany sweter. Myślałeś, że wrócisz do Erie za kilka dni.

Więc zabrałem ze sobą koszulę i przecisnąłem się przez wierzby, a ona stała naga w zamglonej wodzie, twarzą do mnie, wpatrzona w coś wysoko na skarpie. Wiotka sylwetka. Widziałem zarys jej żeber. Długie nogi, słodka krągłość bioder, wydatny wzgórek, ślad ciemnych włosów które nie zasłaniały go w pełni. Piersi niewielkie,

ale nie małe. Twarde jak jabłka. Co mam na myśli? Jędrne, pełne. Obojczyki, ładne ramiona. Mocne ręce, smukłe ale silne. Siniak wysoko na prawym udzie. Chyba przestałem oddychać. Była, nie wiem. Idealna. W głowie miałem tylko jedną durną myśl: Jak do cholery udało ci się to wszystko ukryć? W za dużej męskiej koszuli? Musiałem wyjść z wprawy! Tak pomyślałem. Wszystko w ułamku sekundy. Bo odruchowo odwróciłem się żeby spojrzeć na skarpę i zobaczyłem jak sokół wędrowny ląduje w gnieździe, niosąc w dziobie ptaka, całkiem sporego ptaka.

Jak myślisz, jak go podzieli? Zapytała, przekrzykując wodę.

Co? To wszystko wydawało się nierealne. Spojrzałem za siebie, a ona stała odwrócona bokiem, wgłębienia w dole jej pleców, idealna krągłość jej słodkiego tyłka. Ja. Ta krągłość mnie dobija. Zakręt śmierci. Zamrugałem. Pomyślałem: Nie ma nic, absolutnie kurwa nic wspólnego z plakatami Bangleya. Jest jakieś milion razy piękniejsza. Nie powiedziałem: Przepraszam za najście, ani nic podobnego. Powiedziałem: Rozerwie go na strzępy. To znaczy krzyknąłem to przez huk wodospadu, a potem odwróciłem się i uciekłem.

Duży Hig. Nieźle sobie radzi w samolocie, nieźle sobie radzi z nieproszonymi gośćmi, teraz zapomniał języka w gębie.

Jakiś czas później znalazła mnie w cieniu. Twoja kolej, powiedziała z uśmiechem.

Mijała hamak z przechyloną głową, wyżymając wodę z włosów. Na którym dochodziłem do siebie po czymś w rodzaju ataku serca – usiłując równocześnie przywołać i wyprzeć z pamięci wszystko, co przed chwilą zobaczyłem. Znów zaskoczony jej widokiem i przekonany, że czyta mi w myślach. Odwzajemniłem uśmiech, nieśmiały jak szesnastolatek.

A kiedy ty mi się pokażesz? zapytała.

Chyba się poderwałem, zarumieniony. Jej uśmiech był teraz szeroki i szczery i przez chwilę widziałem w niej licealistkę na zawodach, dziewczynę z rancza, która lubiła wygrać wyścig dookoła beczek.

*

Zajrzałem do Bestii, uzupełniłem olej, napompowałem opony pompką rowerową, którą trzymałem z tyłu. Drzemałem. Przestałem widzieć w snach stary dom. Teraz śniły mi się duże koty, tygrysy i pumy, które o zmierzchu schodziły po skałach nad rzekę, ogarniając wszystko nieruchomym spojrzeniem. W tym śnie było poczucie wyjątkowej gracji i siły, a także inteligencji. W tych snach stawałem ze zwierzętami twarzą w twarz bardzo blisko i patrzyłem im w oczy, a one coś mi przekazywały, ale nie potrafiłem tego nazwać. Ale po przebudzeniu czułem się natchniony czymś potężnym i przerażającym i może pięknym. Czułem się szczęśliwy.

Raz śniło mi się, pewnego niemal bezwietrznego popołudnia na hamaku, że razem z Melissą polujemy łukiem. Nigdy tego nie robiła, ale ja tak. Kiedy między zleceniami miałem czas, żeby wyjechać szybciej i wcześniej zacząć sezon, kupowałem pozwolenie. W tym śnie nie polowaliśmy na koty polowaliśmy na te rzadkie kozły skalne, które zniknęły na długo przed przed, gdzieś u podnóży Himalajów, a kiedy naciągnęła łuk, mierząc do okazałego samca, z bardzo bliska, krzyknąłem NIE! a on uskoczył i uciekł a ona odwróciła się do mnie z twarzą rozognioną furią i poczuciem zdrady. Obudziłem się z rękami zaciśniętymi na linach hamaku i upłynęła minuta zanim zdałem sobie sprawę gdzie jestem, że to był sen, a potem to lekkie oszołomienie, z myślą: To jest sen, i lekka ulga, że jestem w tym, a nie w tamtym.

Siniaki Cimy zbladły i zniknęły, pojawiły się nowe. Rozmawialiśmy praktycznie bez przerwy. Ale równie swobodnie czułem się w ciszy, która nigdy nie była cicha, lecz wypełniona głosami ptaków,

strzyżyków i skowronków. Błyskiem lotek lelków o zmroku. Później dochodziły jeszcze piski nietoperzy, szelest liści, szmer obniżającego się strumienia. Dość sielska atmosfera, trochę dziwna biorąc wszystko pod uwagę. Miło było pracować obok niej w ogrodzie, czyścić warzywa w cieniu drewnianego stołu. Powiem ci coś: Kiedy wszystko się kończy, przestajesz być wolny. Im przyjemniejsza stawała się ta chwila wytchnienia, tym bardziej jakieś nieufne zwierzę wewnątrz mnie nie chciało się poddać. Tym częściej śnił mi się Jasper, Melissa. Tym większy czułem smutek. Dziwne, co? Raz przy łuskaniu grochu nasze dłonie zetknęły się nad miską, a ona pozwoliła swoim palcom dotykać moich. Przez chwilę. Podniosłem wzrok a jej oczy były spokojne, szczere, raczej jak przejrzysty staw lśniący czernią, bezwietrzny, pogodny, opanowany, czekający. Piękny. Czekający, żeby odbić chmurę, żeby wzdrygnąć się deszczem. Nie mogłem złapać oddechu.

Otwartość, prostota istnienia tych oczu wydała mi się odważna i przerażająca. Chyba cofnąłem dłoń. Uśmiechnęła się do siebie i wróciła do łuskania grochu. Podejrzewam, że internista spotyka się z różnymi odruchowymi reakcjami, nic go nie zaskakuje.

Mieliśmy dość sarniny, nie było powodu jeść baraniny ani wołowiny, więc nie jedliśmy. Tatko uważał, że niektórym zwierzętom uda się przetrwać bez niczyjej pomocy, jeśli później spadnie deszcz, jeśli zima będzie równie łagodna jak poprzednia. Kiedy sytuacja się poprawi, możemy wrócić, powiedział. Nikt inny nie odezwał się ani słowem. Tatko nie miał w zwyczaju mydlić sobie oczu, a jednak, każdy człowiek potrzebuje jakichś złudzeń.

Kolejny tydzień, dwa. Niektóre wewnętrzne supły zaczęły puszczać. Wcześniej nie masz pojęcia, jak mocno trzymają. Tatko poszedł rąbać drzewo. Przed kolacją rozpaliłem dla niej ogień w zewnętrznym palenisku i siedzieliśmy na pniakach i patrzyliśmy, jak się roznieca. Kołysał się i szeptał w rytmie wiatru. O tej porze

dnia wiało z góry strumienia jak wszędzie w tej okolicy, ale przez kształt kanionu wiatr zaczynał krążyć i kluczyć, więc dym z ogniska stale zmieniał kierunek. Już dwa razy się przesiadaliśmy. Płakałem od dymu.

Od dymu łzawią oczy, a potem człowiek wpada w rozpacz, powiedziałem. Jak z krojeniem cebuli. Zawsze byłem potem smutny.

Uśmiechnęła się.

Nigdy nie byłem w Nowym Jorku. Podobało ci się tam?

Bardzo. Bardzo. Kojarzysz, jak niektórzy ludzie mówią, że chcieliby mieć dwa życia, żeby w jednym być kowbojem, a w drugim aktorem? Czy coś takiego? Ja chciałam mieć dwa życia, żeby w jednym mieszkać w Heights – Brooklyn Heights – a w drugim powiedzmy w East Village. Miałam nienasycony apetyt na to miasto. Chciałam chodzić na mecze Jankesów – Jankesów nie Metsów – i do teatrów off-off-Broadway i na slamy poetyckie i zgubić się w Metropolitan Museum of Art. Jeszcze raz. Chodziłam na retrospektywy wszystkich artystów. Zajadałam się sabrettami, dopóki nie zrobiło mi się niedobrze.

Sabrettami?

Hot-dogami. Z kiszoną kapustą, grillowaną cebulką, musztardą, bez ogórków. Czasem wieczorem szłam Court Street do Carroll Gardens i z powrotem. Poznałam wszystkich straganiarzy przy składanych stolikach, którzy handlowali apaszkami, książkami dla dzieci i podróbkami markowych zegarków. Myślałam: Kiedy będziemy mieć dzieci pierwsze książki kupimy im właśnie tu. Za dwa dolary! Mafia pewnie kradła je z ciężarówek, co?

Pewnie tak.

Świat, w którym działa mafia. Wydało mi się to urocze. Stare dobre czasy. Powiedziałem: A koniec? Miałaś szansę cokolwiek zobaczyć?

Pokręciła głową. Pochyliła się i wetknęła czubek patyka w ognisko, a wtedy luźna koszula zsunęła się z jej obojczyków i znów zobaczyłem te piersi pełniejsze niż powinny być, mocno opalone i piegowate na górze, a mleczne niżej. Nie mogłem przestać dziś o nich myśleć. Jakby ta część mnie właśnie się obudziła. Pewnie miałeś ją w sobie przez cały czas, Hig, tylko poruszałeś się we Mgle.

Mgle Istnienia, powiedziałem.

Co?

Przepraszam. Czasem mówię do siebie.

Zauważyłam.

Naprawdę?

Skinęła głową. A ja?

Nie słyszałem.

Cisza.

Nie widziałam krachu, masowej zagłady. Ale czułam, że się zbliża. Jak spadek ciśnienia. Gorszy niż ten na złą pogodę. Przeżyliśmy to kilka razy, dorastając na ranczu. Zmiana ciśnienia, którą wyczuwasz w rytmie serca, w płucach. Ciemniejące niebo, dziwna zielonkawa czerń. Bydło niespokojne i zdenerwowane bardziej niż zwykle przed burzą z piorunami. Takie to było uczucie. Dlatego myślę, że powinnam była wiedzieć.

Powinienem był. Sam do siebie. Tyle takich wyrzutów. Mógłbym budować z nich domy, palić nimi w piecu, nawozić nimi ogród.

Wiesz, jak to się zaczęło? W Nowym Delhi?

Pokręciła głową.

Tak donosiła prasa. Mutacja jakiegoś superwirusa, jednego z tych, które obserwowali przez dwadzieścia lat. W sieci wodociągowej i tak dalej. W połączeniu z ptasią grypą. Nazwaliśmy ją zafrykanizowaną ptasią grypą, nawiązując do zabójczych pszczół. Pierwsze przypadki w Londynie, ale obwiniono Nowe Delhi. A prawdopodobnie powstała gdzie indziej. Słyszeliśmy plotki, że powstała w Livermore.

W krajowym laboratorium wojskowym?

Skinęła głową. Krążyły pogłoski, że to był zwykły przeładunek. Kurier wiózł próbkę lotem wojskowym do naszych przyjaciół w Anglii. Podobno samolot rozbił się w Brampton. Nigdy się tego nie dowiemy – rozejrzała się po kanionie, pozwalając, by wiatr uniósł absurdalność tych słów z dymem.

Rozbudziłem się na dobre. Wzięła głęboki oddech i zobaczyłem – Hig! Jej sutki przez cienki materiał koszuli. Boże. Hig. Nie słyszałeś żadnych wiadomości, prawdziwych wiadomości od prawie dziesięciu lat. To cię podnieca!

Genetyczne modyfikacje grypy to nic nowego.

Jasne, powiedziałem.

Patrz mi w oczy, jak ze mną rozmawiasz.

Otrząsnąłem się. Uśmiechała się do mnie szeroko przez dym.

Calmate, żołnierzu, powiedziała.

Nie uczyłem się hiszpańskiego, mruknąłem.

*

Jedliśmy kolację nie wiem, o której godzinie, ale jakoś późnym wieczorem, kiedy niebo nabierało tej niebieskiej poświaty, na której

może zalśnić pojedyncza gwiazda, a lelki przemykały nad łąką i nad strumieniem, żerując na najnowszej rójce. Zimowały w Meksyku czy coś w tym rodzaju i najwyraźniej dobrze sobie radziły. Szpiczaste skrzydła i zwinność jaskółek. Białe lotki połyskujące przy nagłej zmianie kierunku. Cichy świergot. Radość obserwowania ptaków w ich jedynej godzinie polowania.

Pewnie jadły właśnie wtedy, bo o tej porze latało najwięcej owadów. Nie było jeszcze tak zimno jak później w całkowitych ciemnościach a gwiazdy tworzyły na niebie splątane pasma a kamienna skarpa emanowała ciepłem dnia.

Zabierałem nasze naczynia nad strumień i myłem je piaskiem. Najczęściej gotowali na zewnątrz w palenisku obłożonym kamieniami z rzeki. W takie noce ojciec i córka siedzieli na pniakach i patrzyli w targany wiatrem żar jak w telewizor. Odstawiałem mokre naczynia na stół i kładłem się w hamaku i sprawdzałem, ile wytrzymam, nie myśląc o niczym. Mój rekord to chyba sześć sekund.

Którejś nocy zasnąłem nago, zanim zdążyłem wsunąć się do śpiwora, i obudziłem się w ciemności, czując na ciele ciężar koca. Nie przestraszony, to wydawało się naturalne. Zacząłem się podnosić, ale czyjaś dłoń odepchnęła mnie w tył. Ciii, powiedziała. Wyszłam na siusiu i pomyślałam, że tak zmarzniesz.

Położyłem się.

Dzięki.

Pochyliła się nade mną poczułem na twarzy muśnięcie jej włosów, dotyk jej oddechu, a potem unosiła już koc, wyciągała się obok i przywarła do mnie ciasno biodrami, żebrami na skraju hamaka i wyszeptała mi w kark

Proszę bardzo.

To wszystko. Potem zasnęła.

Miała na sobie tę męską koszulę. Nic więcej. Czułem jej wzgórek wciśnięty w moją nogę. *Mons pubis*, tak? Kolebkę jej miednicy. Leżałem tam z walącym sercem. W wyobraźni wodziłem wzrokiem po jej ciele od palców stóp w miejscu gdzie dotykały moich, trochę kościstych i zimnych, w górę łydek, ud, do wewnętrznej części kolan, rzepki tam gdzie wpasowała się w zgięcie mojej nogi – sami rozumiecie. Mój mózg podjął tę podróż na własną rękę, podążał za mapą, zatrzymywał się w każdym interesującym miejscu, nad każdym malowniczym widokiem. Urok nowości. Serce wyrywało mi się z piersi, a mój kutas rozkurczył się i rozprostował i wydłużył, a później to był prawie ból. Pulsował, a mój umysł kontynuował podróż. Wzdłuż i wszerz jej sylwetki, nie omijając żadnego punktu styczności. W którymś momencie musiałem opaść z sił, zabrakło mi paliwa, spałem.

*

Następnego dnia rano zrozumiałem, że to była kwestia ciężaru innej osoby zajmującej twoją przestrzeń przez sen, kwestia słyszenia, jak oddycha. Tylko tyle. To dawał Jasper. Dalej nawet o tym nie myśl. To wszystko, czego chciała, inaczej by poprosiła.

*

Następnego dnia przy śniadaniu, na które składa się wędlina i ziemniaki, w ogrodzie, przy kolacji, pilnując ognia, jest taka sama. Te same spokojne oczy chłoną wszystko, jak ciemny staw chłonie światło słoneczne. To fenomen. Takie są kobiety. Tatko nie, ja nie. Nie jest głupi, pewnie spodziewał się takiego rozwoju wydarzeń od pierwszej chwili. Cokolwiek to znaczy, może nic. W końcu jesteśmy jednymi z ostatnich ludzi na ziemi w zasadzie. Jak w jednym z tych żartów o bezludnej wyspie. Tym o kapeluszu. Byłoby dziwniej gdyby do tego nie doszło, co, Hig?

Nie bardzo. Nie wydaje mi się. Wydaje mi się to cholernie dziwne. Nie dziwne, przełomowe. Monumentalne. Ale pewnie to nic takiego. Pewnie nic nie znaczy to znaczy zwykły eksperyment żeby sprawdzić jakie to uczucie po tych wszystkich latach. Eksperyment we śnie.

Jego oczy spoczywają na mnie ułamek sekundy dłużej. To wszystko. Subtelne, ale wyraźne. Nie mogę w nie spojrzeć. Odwracam wzrok. Widzę, że Tatko potrafi być twardzielem kiedy trzeba, ale poza tym właściwie nie wtyka nosa w nieswoje sprawy i tego samego oczekuje od innych.

Czy ona chce być moją dziewczyną? Co za kretyński idiotyczny pomysł. Skąd ty się urwałeś, z liceum? Jesteś na Plaży stary. Ostatni mężczyzna i kobieta w promieniu ilu? Jakichś trzech hrabstw. Masz patriotyczny obowiązek doprowadzić sprawę do końca.

Naprawdę?

Nie.

Czyli co?

Wzruszenie ramion.

Rób co chcesz.

A czego ja chcę?

Chcę być dwiema osobami naraz. Jedna ucieka.

*

Następnej nocy przyszła bardzo późno. Zdałem sobie sprawę, że przez większość nocy czuwałem, czekając. Po prostu czekając. Zastanawiając się, co bym zrobił, co ona by zrobiła. Uniosła śpiwór, który zostawiłem rozpięty, i przytknęła mi usta do ucha i mruknęła: Tęsknisz za mną. I zasnęła. To było stwierdzenie i pytanie.

Trochę ciasno. Leżała mi w zgięciu ramienia, które ścierpło, zdrętwiało. Czułem ją całą, jej udo na moim, jej pierś na moim boku, strumień jej oddechu. Pachniała dymem i czymś słodkim, cierpkim cierpkością szałwii. Dostałem kolejnego bolesnego wzwodu. Leżałem tak. To znowu ty? Robi się z ciebie stały bywalec co? Jesteś tu mile widziany, chyba, jeżeli umiesz się zachować. Leżałem tak, usiłując rozpoznać gwiazdozbiory przez liście, wdychając zapach jej włosów, słuchając spokojnego nurtu jej oddechu. W środku nocy znalazła mnie, go. Zsunęła dłoń po moim brzuchu i zaczęła gładzić. Delikatnie. Żadnego szeptu, żadnego pocałunku, jakbyśmy oboje spali. Nie spaliśmy. Czułem się tak, jakby moje ciało zamieniło się w bazę lotniczą w jakimś filmie w chwili, gdy włącza się alarm. Gdy ludzie zbiegają się ze wszystkich stron do myśliwców. Każda rozbudzona komórka skupiła całą swoją uwagę na moim zaskoczonym kutasie. To było bardzo bardzo przyjemne. Cudowne. Jej dłoń zwolniła, zatrzymała się, drgnęła dwa razy. Cima zasnęła. Wciąż balansowałem na straszliwej krawędzi. Leżałem tak, trwając w jakimś zawieszonym, rozpaczliwym zachwycie.

*

Poszliśmy z Tatkiem na łąkę z łopatą i maczetą, popracować nad pasem startowym. Pracowaliśmy w milczeniu, przenosiliśmy kamienie, wyrównywaliśmy teren, ubijaliśmy ziemię, ścinaliśmy krzaki. Jeśli ktoś był zakłopotany, to ja. Karczowaliśmy jadłoszyn na środku ścieżki. On podważał go łopatą, ja ciągnąłem linę, którą przywiązaliśmy do wąskiego pniaka. Okręciłem się bokiem, żeby mieć lepszy kąt, i szarpnąłem, a grube korzenie puściły i sypnęły mu ziemią w twarz. Zamarł, wyprostował się, oślepiony. Wolno otrzepał piach z twarzy, splunął. Złapał łopatę obiema rękami jak pikę.

Hig, zachowujesz się dziwacznie. Dziwaczniej niż zwykle.

Nie powiedział Higs. Mrugając, pozbył się reszty ziemi z oczu, przetarł je knykciami.

Co, potrzebne ci moje błogosławieństwo? Jak w jakimś romansidle?

Większy szok, niż gdyby mnie uderzył. Trzymałem koniec liny tak, jakbym nie miał pewności po co mi ona, jak ogon jakiegoś stworzenia, z którym niekoniecznie chciałem wchodzić w taką zażyłość.

Na tym etapie mam ważniejsze sprawy na głowie. Poza tym nigdy nie byłem takim ojcem. Ani razu nie powiedziałem: O dziesiątej ma być w domu.

Spojrzałem w dół na moją dłoń ściskającą sznur, na jego twarz brudną od ziemi i zacząłem się śmiać. Chryste. Roześmiałem się. Im bardziej się śmiałem, tym bardziej mnie wszystko śmieszyło. Cholera, nie wiem, może przez to stłumione napięcie z poprzedniej nocy. Kiedyś mówiliśmy na to śmiertelny zator spermy. Może przez dowcipy o bezludnej wyspie, wizję nadopiekuńczego ojca, przez to, że wszyscy zachowywali się inaczej, niż powinni. Czy o to chodziło? Raczej nie. Raczej ze zwykłej ulgi, że Tatko jeszcze mnie nie wykończył. Albo że stał tu z twarzą w ziemi i nie był zły. Albo po prostu minęło zbyt dużo czasu, odkąd się śmiałem, naprawdę śmiałem.

*

Musiała być gdzieś druga połowa czerwca. Straciłem rachubę. Pewnie to nienajlepszy pomysł. To znaczy bez gazety, bez żadnej maszyny, która podałaby ci datę. Jak stracisz rachubę, to już koniec, na zawsze.

Sarnina się skończyła, zostało tylko suszone mięso na podróż, więc zarżnęliśmy owcę i przez dwa dni jedliśmy baraninę. Baraninę i zeszłoroczne ziemniaki i młode warzywa, sałatę, botwinę, groszek.

Upalne dni, wąska strużka strumienia, ciepłe noce. Przyszła chwilę po zmierzchu, kiedy już położyłem się w samej koszuli na hamaku wyłożonym flanelowym śpiworem. Miała na sobie długą męską koszulę, zbliżyła dłoń do mojej twarzy i musnęła mój policzek i wczepiła mi palce w brodę i szarpnęła, a ja się roześmiałem. Sierp księżyca wisiał nad kanionem jak rdzawy latarniowiec i widziałem ją dokładnie. Trzymała w dłoniach koc. Rozpostarła go na ziemi przy hamaku i położyła się na plecach z jedną ręką za głową. Patrzyła na księżyc, ja patrzyłem na nią. Wystawiłem nagą stopę za krawędź hamaka i dotknąłem nią wełny koca i odepchnąłem się i zacząłem się huśtać.

Udajesz trudnego do zdobycia? mruknęła.

Nie.

Bujałem się. Rozpięła koszulę. Poły się rozchyliły. Wolną ręką zsunęła materiał z jednej piersi i wciąż wpatrzona w niebo wetknęła palce pod guzik i ściągnęła resztę w bok. Koszula opadła na ziemię. Falowanie jej oddechu. Jej sylwetka. W ciemności emanowała własnym delikatnym światłem jak nocny przypływ. Gładka blada płaszczyzna jej brzucha. Jej – ona cała.

Jezu Chryste, Hig, nie odwracaj się, nie zamykaj oczu. Oddychaj, stary! Masz na to patrzeć, kretynie! To nie jest nietakt. Obrazisz ją, jeśli nie będziesz patrzył. Co ty sobie kurwa myślisz, że dla kogo to ma być, to dla ciebie! Przecież nie przechodziła tędy przypadkiem.

To wszystko huczało mi w głowie. Mówiłem sobie: okaż jej szacunek, zachowuj się jak dorosły człowiek. Chłoń każdy szczegół. Dostajesz od niej dawkę czystego szczęścia. Bądź wdzięczny.

Rdzawy księżyc odmalował ją bez śladu cienia. Wbiłem palce stopy w wełnę i przestałem się bujać. Leżałem nieruchomo i patrzyłem na nią. Coś jakby zawieszony podziw. Tak jak wcześniej patrzyłem na

łosia wychodzącego spomiędzy osik: Hig, to, co widzisz, nie może być prawdziwe, to zbyt wspaniałe. Wystarczy, że drgniesz, a zniknie.

Nie zniknęła. Odwróciła do mnie głowę. Chrząknąłem.

Przechodziłaś tędy przypadkiem, powiedziałem słabo. Wysokim głosem nastolatka w trakcie mutacji.

Uniosła jedną brew: może. Podniosła się na łokciach i zsunęła koszulę z ramion. Potem przewróciła się na brzuch i złożyła głowę na dłoniach. Otwierając nową perspektywę. Może świat się kończy, ale nie jesteś odporny o nie.

Jeśli chcesz, możesz tylko na mnie patrzeć, powiedziała. Pewnie minęło dużo czasu. Nie spieszy mi się.

Uniosła swój słodki tyłeczek w powietrze.

Ee, czy możemy podkręcić trochę tempo.

Mmm-hmm.

Ruszyłem tyłek z hamaka, zrzuciłem koszulę i położyłem się obok niej. Nie wiem dlaczego, ale pomyślałem o lataniu. Że masz listę kontrolną procedur przed uruchomieniem silnika, przed kołowaniem, przed startem. Że jeśli latasz codziennie, wszystko przebiega płynnie, sprawnie, prawie bez patrzenia na listę, ale jeśli minęło trochę czasu, robisz sobie przerwy, myślisz nad każdym ruchem, zajmujesz się jedną rzeczą naraz, upewniasz się. Żeby się rozbić samolotu.

Nie pamiętam, od czego się zaczyna, powiedziałem. Czuję się jak…

Piętnastolatek by tego nie powiedział.

Fakt. Myślałem raczej o pilocie. Jak pilot, który wyszedł z wprawy, z plikiem list kontrolnych. Żebyśmy się nie rozbili.

Dotknij moich pleców, powiedziała.

Dotknąłem. Przesunąłem po nich lekko palcami. Jej skóra napinała się i rozluźniała pod nimi. W myślach zobaczyłem wiatr kołyszący polem pszenicy. Jęknęła.

Boli?

Nie. Boże, nie. Powiedziała to w złożone ręce. Musisz być delikatny, ale to cudowne uczucie.

Moja dłoń przesunęła się na wypukłość jej tyłka na jej uda na wnętrza jej ud.

Mmmm, mruknęła. Może lepiej że nie pamiętasz.

Obróciła się na bok, a jej palce odnalazły moje włosy, moją brodę, wczepiły się w nie, przyciągnęły moją twarz do niej. Kiedy jej usta dotknęły moich, rozpadłem się. Nie eksplodowałem jak bomba czy coś takiego, tylko rozsypałem się na kawałki. Po kilka naraz. Odpływały ode mnie, jakby ściągane w jakąś orbitę. Galaktyka odprysków. Ekstrawagancka anihilacja w zwolnionym tempie. Jedynym centrum były jej usta, jej włosy. Ona. Rekonstrukcja wokół jej jądra. Bez zastanowienia. Przetoczyłem się na nią, a ona sapnęła z bólu.

Poczekaj…

O. Cholera. Zsunąłem się pospiesznie.

Już dobrze, dobrze. Spokojnie. Nie jestem taka krucha. Popchnęła mnie na plecy. Pocałowała mnie. Całowała i całowała z włosami na mojej twarzy. Całowała moje oczy nos wargi. Ustami, potem pochyliła się i opuściła mi na twarz piersi i całowała mnie, muskała sutkami, oczy, nos, język. A potem. Zaskoczenie. Ten wstrząs. Opuściła się na mnie. Pierwszy dotyk. Mokra. Jak jej usta. Opór. Ten żar. Niemożliwie wolno, a potem rozsuwa się, ustępuje.

O boże, nie ruszaj się. Te wszystkie kawałki. Poruszyła się. Jej ruchy nade mną wzywały je wzywały je do siebie. Jak tysiąc ryb rozkołysanych jednym rytmem w wodzie. Tam i z powrotem. Jak gwiazdy między liśćmi. Sięgnąłem. W nią, w samo centrum, gdzieś w jeden jedyny punkt bezruchu w którym wszystko się łączyło. Koniecznie sięgnąć.

A później odpuściłem. Najpierw sięganie za wszelką cenę a potem co? Nic. Rezygnacja. Upadek. Jeśli płakałem, a nie mówię, że tak było. Ta rozkosz, czyste zatracenie w upadku.

Jęknęła i eksplodowałem. W całą konstelację, całą tę konstrukcję wdarło się światło i rozprysła się w ciemność bo kurwa, właśnie tam było jej miejsce. Cima leżała na mnie drżącym ciężarem, a wszystkie kawałki nas opadały w dół lekkie i niewzruszone jak popiół.

*

Uff, wyszeptała, jej wargi przy moim uchu.

Tak, uff.

Rozbiliśmy się, co?

Tak jest. W najlepszym znaczeniu tego słowa.

Wypełnia cię na nowo. Kiedy tak leżysz. Coś jak szczęście, zupełnie jak woda, czysta i przejrzysta, zalewa cię od środka. Tak cudowna, że nawet jej nie doceniasz, płynie przez ciebie jasnym strumieniem, jakbyś miał ją w sobie przez cały czas.

*

Staraliśmy się nie ruszać, serce przy bijącym sercu, wspólny rytm, który odbijał się rykoszetem i podrywał i rozchodził i znów zbiegał, oboje chyba zafascynowani tą muzyką i wrażeniem. Po jakimś czasie wstała i nakryła nas flanelową kapą i wsunęła się obok mnie

i spaliśmy. Inaczej niż w tamte noce pełne konsternacji. Głęboki sen niosący ulgę. Prawdziwy spokój, proste wycieńczenie.

Przed świtem, żeby nie wprawić go w zakłopotanie, tak myślę, wstała, zapięła koszulę i wróciła na łąkę spać pod kocem na grubym posłaniu z sosnowych igieł, którego używała w ciepłe noce. Pod gwiazdami, powiedziała, skąd wszystko widzi. Ale myślę, że chodziło o spokój oddechów bydła, rytmiczny odgłos rwania trawy, zawsze dwie albo trzy pasły się nocą, wokół niej. Poza tym on chrapał, powiedziała. O brzasku jak zawsze przyszedł nad strumień, słyszałem przez szmer pluskanie, mycie zębów starym spłaszczonym włosiem, kilka chrząknięć i splunięć, kaszel.

A ona… Słyszałem, jak mówi mu dzień dobry, otworzyłem oczy, zobaczyłem ją w tej koszuli, ale teraz miała też spodnie które pewnie trzymała przy posłaniu. Cudowna satysfakcja, widzieć ją teraz taką, w świecie, nawet tak ograniczonym. Znać ją teraz tak, jak ją poznałem. Zamknąłem oczy i znów zasnąłem. Nigdy nie pozwalała mi rozpalić rano ognia. To moje, upierała się. Mój rytuał. Mam swoje przyzwyczajenia i nie będziesz ich zmieniał. Tak sobie tutaj radzimy. Odpocznij. Wyśpij się. Posłuchałem. Kiedy wstawałem, zawsze czekał już na mnie kubek gorzkiej herbaty. Mile widziany jako element rytuału i z powodu cierpkiego smaku.

Tego dnia podniosłem się wolno, przeciągnąłem, zrobiłem remanent: Hig, ręce na swoim miejscu? Tak. Nogi? Tak. Tak naprawdę nie rozpadłeś się na kawałki? Nie. Serce na swoim miejscu? Wcześniej nie zadawałeś tego pytania. Nie od czasu kiedy. Tak, na miejscu. Trochę wstrząśnięte, trochę pełniejsze. Lżejsze i cięższe, ciekawa sprawa.

Byli przy ognisku. Czułem pieczone mięso. Ochlapałem sobie twarz, klatkę piersiową, zanurzyłem głowę, wytarłem się koszulą, podszedłem do nich.

Dzień dobry.

Tatko skinął głową. Cima kucała, dokładała do ognia, a poranna bryza porwała dym, spowiła ją obłokiem. Wzdrygnęła się, skrzywiła, odwróciła głowę w bok, dorzuciła drewna.

Dzień dobry, powiedziałem.

Nie usłyszała mnie przez dym albo nie mogła odpowiedzieć. Ten grymas. Wstała, wyszła ze smugi dymu, przytknęła dłonie do załzawionych oczu.

Dzień dobry, powiedziałem.

Otarła łzy, zamrugała, patrząc na mnie podrażnionymi oczami. Zobaczyłem, jak wzdycha. Nie odezwała się ani słowem. Podniosła parujący czajnik z pniaka, napełniła kubek, podała mi go, unikając mnie wzrokiem.

Kotlety się przypalą, powiedziała. Do swojego taty albo do mnie albo do nikogo. Na granicy frustracji.

Zdejmę je, powiedziałem. Sięgnąłem po długi widelec, ale odepchnęła moją dłoń przedramieniem, złapała widelec, obróciła mięso na ruszcie.

Spokojnie, powiedziała.

Zmroziło mnie. Zerknąłem na Tatka, który taktownie odwrócił się bokiem na swoim pniaku, z twarzą pozbawioną wyrazu. Wpatrywał się w wierzchołek dalekiej skarpy kanionu, sącząc herbatę.

Jeszcze raz:

Spokojnie. Kotlety zaraz będą gotowe.

Wziąłem głęboki oddech, też odwróciłem się bokiem, patrzyłem na skarpę razem z Tatkiem. Ręce na swoim miejscu? Hig? Hig? Tak, na

miejscu. Nogi? Tak. I tu się zatrzymaj. Bądź wdzięczny za to.

Myślałem, że się rozpłaczę. Stanę w kłębach dymu, żeby mieć pretekst. A więc to tak.

Po milczącym śniadaniu, milczącym przeżuwaniu, zaniosłem naczynia nad strumień jak zwykle: trzy talerze, trzy kubki, trzy scyzoryki, długi widelec. Ogień pod rusztem mógł sam wygasnąć. Rozprowadziłem palcami miałki piasek po emaliowanych talerzach, zdrapałem tłuszcz. Skup się na tym, co robisz, skoncentruj się, Hig. Woda. Wydawała się ciepła. Cieplejsza. To było cholernie smutne. Smutne. Wbiłem zęby widelca w żwirowe dno, przetarłem je palcami. Kurwa. Oddychałem. Kiedy skończyłem, rozłożyłem je na stole do wyschnięcia. Minął mnie Tatko. Miał ze sobą sztucer, przewieszony przez ramię, i łopatę.

Idę sprawdzić autostradę, powiedział. Żeby w nasz wielki dzień nie zastać tam bezużytecznego zniszczonego kawału asfaltu.

Brzmiało sensownie. Nie mieliśmy tyle paliwa żeby krążyć, kiedy on będzie zasypywać dziury i wyrównywać wyboje.

Zrobił krok, potem spojrzał na mnie przez ramię.

Wszyscy dużo przeszli, powiedział.

W tym momencie go kochałem.

Pierwszy raz poczułem, że jest dla mnie kimś w rodzaju rodziny. Na tyle, na ile można ją zbudować z resztek i gruzów.

Ta.

Skinął głową, ruszył w dół kanionu w kierunku wiklinowego ogrodzenia.

Zamiatała ziemię wokół paleniska miotłą z gałązek. Robiła to codziennie rano, żeby sprzątnąć okruchy i trzymać mrówki i myszy z dala od kuchni.

Podszedłem bliżej. Zamiatała. Ani chwili przerwy. Wzrok wbity w ziemię przez miotłą.

Chcesz żebym zebrał jakieś warzywa na lunch, zapytałem.

Miałem ściśnięty żołądek. Dalej zamiatała.

Jeśli masz ochotę, rzuciła. Zamiatała.

Cima?

Ruch miotły. Chrzęst gałązek.

Chwyciłem ją za ramię. Zesztywniała.

Au!

Puściłem ją jak gorący ruszt. Patrzyła na mnie.

Będę miała siniaka, powiedziała. Głos wyprany z emocji.

Cima. Jezu. Przepraszam.

Stałem wrośnięty w ziemię. Czysta panika. Obraz rozmył mi się przed oczami. Nie mogłem się powstrzymać, ścisnęło mnie w piersiach a potem poczułem łzy cieknące po brodzie. Całkowicie sparaliżowany. Patrzyła na mnie. Maska. Jak maska pośmiertna, ale oczy żyły albo skupiały życie. Jej ciemne oczy nieruchome jak monety, później jakimś sposobem wypełniły się swoim zwykłym światłem i zauważyły, złagodniały. Stała tam drżąca i wpatrzona w moją twarz, a potem zobaczyłem błysk łez i to znów były jej oczy, ciemne tonie. Staliśmy jak dwa drzewa. Rozkołysane. W smugach dymu dogasającego ogniska.

Wczoraj w nocy powiedziała. Kiedy zasnęliśmy. Śnił mi się Tomas. Śnił mi się bez końca.

Usta jej zadrżały a maska pękła.

Wołał mnie. Umierał na swoim łóżku polowym i wołał mnie, ryczał zupełnie jak zwierzę, które wie, że idzie na rzeź. Jak jakieś zwierzę, Hig! A ja stałam oparta o ścianę i nie chciałam mu pomóc. Mojemu mężowi. Mojemu najlepszemu przyjacielowi.

Wstrząsnął nią histeryczny szloch.

Serce miałam skute lodem. Jak jezioro zimą. Chyba śniłam o tym godzinami. Na koniec nie mogłam już tego znieść i wzięłam swój nóż do skórowania i podeszłam tam i poderżnęłam mu gardło. Boże!

Nogi się pod nią ugięły. Podszedłem bliżej i złapałem ją. W myślach zobaczyłem dwa drzewa niemal bez korzeni oparte o siebie nawzajem.

Nie wiem, czy ja to wytrzymam, powiedziała. Myślałam, że wytrzymam.

*

Tatko zameldował, że autostrada jest prosta i równa na odcinku przynajmniej tysiąca stóp. Nada się, żadnych większych dziur. Przywiązał do słupka milowego bandanę w charakterze wskaźnika wiatru. Cima była miła, ale bardziej zamknięta w sobie. Przychodziła na hamak, ale nie co noc ani co drugą noc. Nie kochaliśmy się kilka dni. Pięć. Nie mogę udawać, że nie liczyłem. A kiedy się kochaliśmy, kiedy mieliśmy zamiar – to znaczy leżeliśmy nadzy na kocu, objęci, nie całując się, nie rozmawiając, kiedy tylko nasze nosy dotykały uszu i szyi, a ręce eksplorowały terytorium, które stało się zupełnie nowe przez to nowe rozumienie straty – kiedy wydawało się, że przyszedł czas skonsumować albo przynajmniej w jakiś sposób uczcić

tę nową wrażliwość, pociągnąłem ją na siebie a ona nie była mokra i z trudem wszedłem i czułem, że ją bolało, i z jakiegoś powodu pomyślałem o Tomasie – Tomasie ze snu, zakrwawionym – i zalała mnie fala paniki i straciłem erekcję.

Pieprzony świat snów. Jego duch wynurzał się z niego, dławiąc coś, co jeszcze kilka dni temu było największą euforią miłosną mojego życia.

Na pocieszenie ścisnęła mój zwiotczały członek, a ja poczułem się jeszcze gorzej. Westchnęła ciężko – co zinterpretowałem jako Rozczarowanie – i zsunęła się na bok. Objęła mnie delikatnie. Leżąc na kocu, ramię w ramię, sparaliżowani niespełnieniem. Czułem się bardziej samotny niż przed kanionem. Serca łomotały i odbijały się od siebie ale nie dusze. Nie potrafiłem gładzić jej inaczej niż z roztargnieniem, ani całować, ani nawet prowadzić niewymuszonej rozmowy. Jak gdyby ta nieudana próba skonsumowania miłości pozbawiła mnie wszelkich praw kochanka. Jakbym stracił licencję na miłość czy nawet wyrażanie czułości. To było straszne.

Przyszło mi do głowy, kiedy leżałem przy niej na boku i usiłowałem skatalogować ten nowy lęk – lęk przed samotnością kiedy miłość jest tak blisko – przyszło mi do głowy, że może w tym krytycznym momencie momencie prawdy, penetracji, przekazała mi swoje wspomnienie tego snu. Przecież porozumiewamy się bez słów to jasne. Pomyślałem, że najprawdopodobniej ten mrożący krew w żyłach obraz przemknął jej przed oczami w tym samym momencie albo tuż przed. A to znaczyło, że żadne z nas nie było gotowe. W porządku, Hig, pomyślałem. Mów sobie, co chcesz. Pocieszaj się, jak potrafisz, ale nie możesz tego zmienić. Jest do dupy. Nie mogę tego naprawić. Nie mogę, nie mogę się ruszyć. Z trudem łapię oddech.

Hig.

Wyszeptane słowo, podmuch wiatru w uchu.

No?

Zrobisz mi dobrze ustami?

Powiedziała to z francuskim akcentem i wiedziałem, że cytuje klasykę kina, *Pulp Fiction*.

Prychnąłem, bezgłośny śmiech bez śladu radości.

Naprawdę? Chyba tego nie chcesz.

Skinęła głową złożoną na mojej piersi.

Okej. Długi wydech. Obowiązki wzywają.

Zrobiłem to. Pocałowałem rowek między jej piersiami, jej mały wklęsły pępek, niskie kolce biodrowe, dół jej wklęsłego brzucha, pasma skręconych włosów, małe wargi, gładkie ziarenko, odetchnąłem nią, a potem wziąłem się do roboty. Jak w pracy. Co działa? Co działa najlepiej?

Przez moment tak właśnie było. A potem unosiła biodra i wiła się pod moimi ustami i językiem i pomrukiwała. A potem jęknęła, a wtedy zacząłem ją zachęcać, dopingować zębami, wargami, językiem. Potem przyciągać i uwalniać. Wypuszczałem ją jak latawiec, takie to było uczucie, i nagle zapomniałem o swoich idiotycznych rozterkach a latawiec poszybował bardzo bardzo wysoko i szarpał mocniej a krew znów napłynęła a ona dochodziła. Leżała wyprężona i dochodziła a ja byłem w niej a ona wbijała mi w plecy paznokcie. Zdałem sobie sprawę, że sprawiam jej ból swoim ciężarem. Szybko zsunąłem się i trysnąłem w powietrze i leżeliśmy i oddychaliśmy bez żadnej myśli i znów byliśmy prawie szczęśliwi. Prawie ufni.

Kto by pomyślał.

A potem musiały minąć trzy noce taka była posiniaczona. Ale atmosfera w obozie poprawiła się. I czułem, że zbliża się dzień odlotu.

II

Tatko wyruszył przed świtem. Bez ceremonii czy sentymentów. Obrzucił jednym spojrzeniem kanion, ostatnie pary krów i cieląt, owiec i jagniąt, podniósł lekki plecak, sztucer i bez słowa zniknął za wiklinowym ogrodzeniem w dole strumienia.

Zostawił jedyne życie, jakiemu kiedykolwiek się oddał. Życie swoich przodków, swojego ojca i matki, ojca swojego ojca. Naprawdę płynęło w jego żyłach, ale zamknął furtkę i opuścił kanion.

Zważyłem wszystko jeszcze raz. Zrobiłem wagę z litrowej butelki, pięciogalonowego kubła, kija i sznurka. Zawiesiłem ją na niskim konarze przy strumieniu. Pięć galonów to czterdzieści funtów, połowa waży dwadzieścia, litrowa butelka około dwóch. Zważyłem karabin AR-15, plecak Cimy, swój, wąż i pompę ręczną.

Ile waży jagnię?

Małe mieszane stadko brodziło w wysokiej trawie z łbami przy ziemi. Trzy owieczki potrząsnęły głowami, zastrzygły uszami, wróciły do jedzenia. Jedna tryknęła matkę w żebra, domagając się mleka. Ich życie miało się zmienić. To byłby cud, gdyby któraś przetrwała zimę.

Nie wiem, jakieś dwadzieścia?

Sprawdzimy. Masz dziewczynkę i chłopca?

Uśmiechnęła się. Baranka i jarkę? Tak.

Jak w Arce. Proszę bardzo.

Zawinęliśmy jedno z jagniąt w nosidełko zrobione z koszuli i zawiesiliśmy je na wadze z kubłem po drugiej stronie. Huśtało się na gałęzi z oklapniętymi uszami, rozstawionymi szeroko nóżkami wyciągniętymi aż po idealne lśniące czarne kopytka, z wyrazem

bezgranicznego zdumienia na mordce. Opróżniałem kubeł, dopóki ciężary się nie wyrównały. Około siedemnastu funtów.

W porządku, możemy je zabrać. Bez twojego taty przy starcie powinno się udać.

Powinno?

I tak idziemy na żywioł. Wyrównaliśmy pas, ścięliśmy wysokie drzewa na końcu. Według instrukcji brakuje nam stu stóp. Ale oni nie znali Bestii.

Lekkie skinienie. Cima popatrzyła na łąkę, na kanion. Gdybym był malarzem – była taka piękna. Może nie ona sama, ale ta chwila. Ciemne odbicie zieleni w jej fiołkowych oczach, i pomyślałem: Jeśli jutro rano się rozbijemy, cóż.

*

Po ciemku rozpaliliśmy ostatnie ognisko, ostatni raz patrzyliśmy jak płomienie muskają i oświetlają ścianę skał. Zjedliśmy mięso i ziemniaki, warzywa, wypiliśmy herbatę. Gaszony ogień syknął, wypuszczając kłąb dymu. Słyszeliśmy ryk krowy, szelest liści.

Poprzedniego dnia po południu zapakowaliśmy wszystko oprócz jagniąt. Cima spała na łące ze swoimi zwierzętami, słuchając jak pasą się wokół niej. Teraz poprowadziliśmy dwa jagnięta na linkach w górę strumienia i wnieśliśmy je po drzewie drabinie obok strużki wodospadu. Szarpały się, meczały. Dwie matki odpowiedziały na ich wołanie, zdezorientowane poszły za głosem dzieci na skraj pola. Smutek naszego świata, smutek u podstaw wszystkiego jak woda. Postawiliśmy jagnięta mocno na ziemi i stały tak, wyprostowane i sztywne, oceniając życie na nowo z tej wysokości. A potem ruszyły za nami.

Prowadzić owcę na sznurku to coś zupełnie innego niż prowadzić psa na smyczy. To nieustanna dyskusja, kłótnia. Seria argumentów, ustępstw, nagłych kapitulacji, nieuzasadnionych buntów. One się zapierały my ciągnęliśmy. One rzucały się do przodu, bez kitu, my puszczaliśmy się w pogoń. Człowiek nie może się nie śmiać. Idealny sposób na odwrócenie uwagi od emocji wywołanych wyjazdem z takiego miejsca i wszystkiego, co to oznaczało. W końcu złapałem swojego baranka i dalej niosłem go pod pachą.

Przy Bestii Cima fachowo spętała maluchy i ułożyliśmy je na naszych plecakach za fotelami. Weszliśmy na pokład, nałożyliśmy na ramiona pasy i zapięliśmy stalowe klamry w talii. Podałem jej tablicę z listami kontrolnymi.

Będziesz drugim pilotem. Dawno żadnego nie miałem.

Wstrzyknąłem paliwo do silnika, wyciągnąłem dźwignię z tablicy przyrządów, nasłuchiwałem, czy benzyna rozpyla się w gaźniku, a potem wepchnąłem dźwignię na miejsce. Jeszcze raz. Wcisnąłem główny włącznik. Narastający warkot żyroskopu. Przekręciłem kluczyk iskrownika, przesunąłem dźwignię przepustnicy o pół cala, oparłem stopy na hamulcach i włączyłem rozrusznik.

Dwa kaszlnięcia, dwa półobroty śmigła i popchnąłem przepustnicę do przodu a Bestia zaskoczyła i ryknęła i zadrżała. Wszyscy zadrżeliśmy, ja, Cima, jagnięta. Kiedy mały samolot budzi się do życia to chwila pełna emocji. Jak gdyby cała widownia wstała oklaskiwać występ. Uroczysta i trochę przerażająca. Odciągnąłem dźwignię na równy jałowy bieg, który był cichszy, mniej doniosły, więcej dreszczy niż wstrząsów. Czekałem, aż silnik się trochę rozgrzeje, patrzyłem jak wskaźnik ciśnienia oleju opada na zielone pole.

Okej, krzyknąłem. Sprawdź checklistę.

Musiałem krzyczeć. Nie woziłem już ze sobą dodatkowych słuchawek. Po co miałbym to robić? Jasper ich nie potrzebował.

Trymer w pozycji neutralnej!

Sprawdzone!

Ustawić wskaźnik kursu.

Sprawdzone!

Obroty tysiąc siedemset.

Sprawdzone!

Iskrownik.

Podgrzew gaźnika.

Pompka zastrzykowa wciśnięta i zablokowana.

Sprawdzone!

Ferwor w kabinie rósł wraz z temperaturą silnika, cyfrowe kolumny odczytu dla każdego cylindra na analizatorze silnika coraz wyższe, ciśnienie oleju coraz niższe – a w tle ryk motoru, dreszcze samolotu, wszystko w przygotowaniu na decydującą chwilę startu. Uwielbiałem to. Właśnie to – wyczekiwanie, aż wreszcie znajdę się w powietrzu, nie mniej niż samo latanie sprawiało, że wracałem wciąż i wciąż kiedy tylko mogłem.

Termometr zewnętrzny wskazywał pięćdziesiąt dwa stopnie. W porządku. Chłodno i przyjemnie. Cięższe powietrze. Zwolniłem hamulce i zaczęła się toczyć. Przedarłem się przez szałwię na świeżo uprzątnięty pas, sterując przy pomocy hamulców, skręciłem na wschód i obróciłem ją na wykarczowanej przez nas polance. Stała dziobem na zachód. Słońce za nami dawało krzakom długie cienie. Wysoki pustynny świt, w powietrzu gryzący zapach i chłód.

Naprzeciwko po drugiej stronie łąki las cedrów, który stanowił naszą granicę, podniesioną poprzeczkę.

Podniosła kciuk. Ostatni raz sprawdziłem trymer, popchnąłem dźwignię przepustnicy do przodu na tablicę, rzuciłem okiem na wskaźnik ciśnienia oleju, Bestia ryknęła, zatrzęsła się wykrzyknąłem: *Bóg jest wielki*! Zwolniłem hamulce.

Nie wiem, skąd mi się to wzięło. To mogła być ostatnia rzecz, jaką powiem w życiu. Nie myślałem o dżihadzie myślałem Hig, ci kolesie z Cessny w białych fartuchach nigdy tego nie sprawdzali. Może nie wyobrażali sobie świata za osiemdziesiąt lat, w którym ich samolot będzie Arką Noego dla owiec. Potoczyła się, pokonała bezwładność, na początku prawie się zapierając, zdecydowanie za wolno, i przemknęło mi przez myśl Nie ma mowy!

A potem ruszyła, rozpędziła się na pasie, połykała go, drzewa na skraju łąki pojawiły się, pociemniały, urosły, może w połowie drogi do nich poczułem jak odrywa się od ziemi, na chwilę zawisa w powietrzu i zepchnąłem dziób mocno w dół, ciśnienie, chciała się poderwać, wznieść, ale przytrzymałem ją, przytrzymałem ją trzy stopy nad pasem, żeby mogła nabrać największej prędkości dzięki efektowi przypowierzchniowemu. Pędziliśmy tak tuż nad ziemią, a potem usłyszałem krzyk Cimy, pierwsze drzewa wyrosły ogromne tuż przed nami i szarpnąłem dźwignię klap i pociągnąłem wolant, nie pociągnąłem tylko wyrwałem do siebie a Bestia wpadła w furię, dziób podskoczył, samolot stanął dęba, wydawało się że leci prosto w niebo, jedyna modlitwa Kurwa tylko nie przeciągnięcie, wycie alarmu przeciągnięcia, prędkościomierz, wskazówka balansowała przy sześćdziesięciu, alarm i beczenie owiec, te dziwne myśli które przychodzą do głowy kiedy wszystko się wali: cholerne owce beczą w tej samej tonacji. W tej samej tonacji co alarm przeciągnięcia. Myślą, że to ich mama.

Cima nie. Ona tylko krzyknęła. Raz. Popchnąłem wolant do przodu, przechyliłem dziób prawie na równo, modliłem się o prędkość o prędkość, Bestia szybko jej nabrała, przyspieszyła jak jaskółka która pikuje po gonitwie za owadem i wyrównaliśmy na sześćdziesięciu pięciu, spojrzałem w dół na drzewa, pomyślałem: Jeśli mieliśmy dwie stopy zapasu.

Nieregulaminowy start. Instrukcja nie przewidziała nic podobnego nawet dla krótkiego miękkiego pasa. Z łąki nasz tor lotu wyglądał pewnie mniej więcej tak:

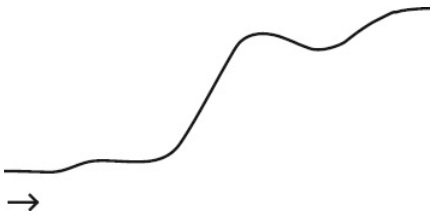

*

Chyba naprawdę ucieszyłem się, że żyję. Z gardła wyrwał mi się okrzyk. Pod nami mknęły jałowce. Bestia przepłynęła ponad następnym grzbietem pięćdziesiąt stóp nad drzewami, jakby z własnej woli, jak latający dywan. Przemknęła na drugą stronę. Jakiś sposób na przejście w kolejny sen. Cima promieniała radością jak małe dziecko po przejażdżce kolejką górską w parku rozrywki. Wyciągnęła rękę i uszczypnęła mnie w ramię.

Jesteśmy bezpieczni widzisz? Dobra robota.

Jesteśmy na jawie.

Jak ty czasem coś powiesz.

Nawet jagniętom udzielił się dobry nastrój. Przestały beczeć, podniosły łebki z plecaków i przysłuchiwały się rozmowie, nasi prostolinijni towarzysze podróży z oklapniętymi uszami. Dla nich to był po prostu kolejny etap normalnego cyklu rozwoju owcy.

Przekroczyliśmy wielką rzekę, a Tatko siedział jak autostopowicz na swoim plecaku na nieocienionym odcinku pustynnej autostrady. Biły od niego równocześnie determinacja i zniechęcenie. Długi cień u stóp, sztucer oparty między kolanami jak kij akolity. Którym był: zdecydowany wypełnić swoją misję, zacząć nowe życie. Jeśli uda nam się dostać do celu. Bandana powiewała na słupku milowym, kołysana lekką bryzą spokojnego letniego poranka. Zrobiłem przechył w lewo i wylądowałem i wyhamowałem dokładnie naprzeciwko miejsca, w którym siedział.

Wszedł na pokład i usiadł za córką. Arka Noego, powiedział, zerkając na owce. Nic więcej. Cima zatrzasnęła drzwi, zamknęła zasuwę i ruszyliśmy na zachód w stronę Grand Junction.

*

Coś mi się nie zgadzało. Nie powiem, że mi się nie podobało, bo pierwsze wrażenie nie było tak jednoznaczne. Dziesięć mil na wschód nadałem pierwszy komunikat. Zostawiliśmy za sobą urwiska Wielkiej Mesy, ogromny płaski ostaniec, który wyglądał jakby kiedyś był półwyspem w jakimś płytkim morzu opanowanym przez plezjozaury. Sześćdziesięciomilowa wychodnia na tle nieba. Otoczona liliowymi klifami i porośnięta lasami osikowymi. Latem paprocie sięgały tam do pasa, a między drzewami rozlewały się ciemne jeziora i stawy bobrowe. Urządzaliśmy tu sobie z Melissą najlepsze biwaki, kiedyś na tydzień rozbiliśmy namiot na skraju jeziora wiele mil od najbliższej drogi, a pstrągi praktycznie same wskakiwały nam na patelnie.

Minęliśmy ją poniżej krawędzi, nisko żeby oszczędzać paliwo, ciepły wiatr wlewał się do samolotu przez pustą ramę okna przestrzelonego przez Tatka, i zobaczyliśmy Grand Junction, rozpięte między dwiema rzekami i rozlewające się na pustynne wzgórza. Rozległe piaszczyste miasto, które ciągnęło się aż po Book Cliffs na północy.

Zobaczyliśmy drogi, ulice, zabudowania, ślepe zaułki, płaskie gładkie dachy supermarketów, ogromne parkingi. Zobaczyliśmy dzielnicę przemysłową nad rzeką Kolorado, tory kolejowe, zwarty kompleks magazynów. Miasto było upstrzone topolami amerykańskimi. Z wielu starych drzew, które rosły wzdłuż chodników i wymagały podlewania, zostały martwe szkielety, ale inne miały długie korzenie i przecinały ulice kreskami i kępkami jaskrawej zieleni jak komunikaty nadane alfabetem Morse'a.

Baldachimy topoli wciąż ocieniały nadrzeczne parki, te najstarsze i największe wyszły z walki z suszą tylko na wpół umarłe, wciąż obsypane liśćmi z jednej strony. I ogień. Nie oszczędził ani skrawka miasta. Jak gdyby to nie grypa tylko pożar wymiótł z miasta życie. Samochody, chyba co do sztuki, spalone. Tam, gdzie stały zaparkowane w równych szeregach przy bocznych ulicach, na parkingach przed marketami, na środku autostrad, gdzie leżały rozrzucone tak chaotycznie, w takim nieładzie, że wyglądały, jakby jakiś olbrzym grał nimi w bierki. Całe dzielnice obrócone w popiół. Inne wyglądały na przypalone palnikiem i odstawione do ostygnięcia jak wtedy gdy cukiernik karmelizuje *crème brûlée*. Słodki czarny zapach zwęglonego drewna wypełnił mi nozdrza i nie jestem pewny czy naprawdę mogliśmy poczuć miasto z wysokości tysiąca stóp czy to ten widok. Były tam szkielety drzew, były też ludzkie kości. Widziałem je. Nie prawdziwe szkielety, bo tkanka łączna zniknęła, tylko wszędzie kości zmarłych usypane w stosy przez jakieś drapieżniki i porozrzucane przez padlinożerców. Stosy tak wysokie, że widzieliśmy je z samolotu.

Cima zwymiotowała. Na sam widok zniszczonego miasta. Szybko otworzyła boczne okno i przytknęła usta do szpary i obryzgała szybę za sobą. To było miasto, w którym robili duże zakupy, magazyn Costco i części samochodowe, sprzęt rolniczy. Tutaj przyjeżdżali w weekend do kina, jeśli w Delcie nie grali nic dobrego. Oba miasta w niemal tej samej odległości od rancza. Nie widziała jego końca.

Wyjechali z Tatkiem, kiedy zaczęło się robić naprawdę gorąco. Kiedy były jeszcze wiadomości telewizyjne, kiedy prezenterzy codziennie wydawali się coraz bardziej wycieńczeni, potem przestraszeni i wycieńczeni, potem przerażeni, w miarę jak ich kolejni koledzy trafiali do szpitali albo na prowizoryczne oddziały grypowe, albo po prostu znikali z horyzontu, uznani za chorych lub martwych, i zastępowali ich ostatni prowadzący, a reporterzy terenowi nagrywali samych siebie przy pomocy statywu, zdając coraz bardziej rozpaczliwe relacje. Aż ostatecznie pochłonął ich chaos. Pamiętałem to. Bo na koniec nie mogli zrobić nic innego: tylko nadawać, odważnie, tak jak orkiestra grała na pokładzie tego tonącego statku, albo to, albo iść do domu i umrzeć.

Na którymś etapie Tatko i Cima postanowili opuścić ranczo, więc załadowali naczepę dla bydła typu gęsia szyja, a z tyłu przypięli małą przyczepę na quada i w środku nocy wyjechali na autostradę. Zabrali ze sobą tuzin krów, tuzin owiec, dwa osiodłane konie, dwa owczarki australijskie i zapasy. Już na odcinku pierwszych piętnastu mil w drodze nad strumień Tatko musiał utorować im przejazd przez trzy zabarykadowane zasadzki, a dalej na cedrowych wzgórzach zastrzelić trzech pojebanych skurwieli, co w zasadzie go nie zaskoczyło i nie sprawiło mu większych problemów. Ale strzały tamtych zabiły jednego konia i dwie owce w naczepie, i następnego dnia trudniej było udawać, że jak co roku na początku maja wiozą krowy na wydzierżawione letnie pastwiska. Dwanaście mil do kanionu on pokonał konno, ona quadem, ciągnąc za sobą małą przyczepę ze sprzętem i zapasami. Wolała jechać wierzchem, nigdy nie czuła się dobrze na quadzie, ale Tatko często pędził bydło na koniu, i to z psami, dlatego było przyzwyczajone wykonywać jego polecenia, kiedy siedział w siodle.

Następnego dnia rano cofnęli się pieszo w dół strumienia, a on wysadził dynamitem jedyny bród, tak żeby można go było

przekroczyć tylko na piechotę albo konno, i tylko przy niskim poziomie wody.

Zatarli za sobą ślady najlepiej jak potrafili i zacierali je przez kolejne dwie mile, zanim zeszli z udeptanej drogi na szlak wzdłuż strumienia prowadzący do kanionu. Zajęło im to cały dzień. A później, dzięki bogu, lunął deszcz.

Opowiadała mi o tym wszystkim przez ostatnie trzy tygodnie. Więc rozumiałem, jakim wstrząsem musiał być widok Grand Junction. Stracić cały dotychczasowy świat to jedno, a co innego zobaczyć, a być może i poczuć kostnicę i pole śmierci w miejscu, które się znało.

Zdążyła za okno, zachlapała tylną szybę, ale w samolocie i tak cuchnęło. Podałem jej butelkę wody, którą zawsze trzymałem między fotelami, i rzuciłem okiem na Tatka, żeby sprawdzić, czy zapach albo widok poniżej jakoś na niego wpłynął. Tak się zdarza na łodziach i w samolotach, pasażerowie mają mdłości, a potem jeden dostaje torsji i zaczyna się reakcja łańcuchowa. Ale on siedział jak Budda z jagniątkiem na kolanach, trzymając jedną mocną dłoń na jej ramieniu, z nieruchomą twarzą, przysuniętą do okna, chłonąc całą scenę.

To zostawiłeś, pomyślałem. Potwierdzenie słuszności decyzji, żeby wyjechać tamtej nocy. Satysfakcja i przerażenie. Czasem to żadna przyjemność mieć rację: ile razy przez ostatnich kilka lat myślałem o tej goryczy, kiedy to w czym masz rację jest… kiedy nie możesz nawet na to spojrzeć.

Ale to nie spalone i zdewastowane miasto ani kępy zielonych drzew, nie to mi się nie podobało czy po prostu nie do końca zgadzało. Byliśmy teraz w odległości sześciu mil. Leciałem dziewięćset stóp nad ziemią i zbliżałem się do tego lotniska, do tej wieży, z której trzy lata temu odebrałem sygnał, początek wiadomości. Wpisałem właściwą

częstotliwość – wciąż miałem ją w pamięci GPS-a – i nadałem drugi komunikat.

Wieża Grand Junction, cessna Sześć Trzy Trzy Trzy Alfa sześć mil na południowy wschód na pięciu tysiącach ośmiuset, chciałbym wylądować.

Powtórzyłem to. Potem cud: szum. Głośna eksplozja radiowego śniegu. Podekscytowany dostroiłem radio i wywołałem jeszcze raz.

Cessna Sześć Trzy Trzy Trzy Alfa

Nie był idealnie wyraźny ale był. Był! Kobiecy głos. Może starszy, nieco schrypnięty. Trochę żartobliwy, miły.

Cessna Sześć Trzy Trzy Trzy Alfa, wiatr dwieście czterdzieści stopni o sile pięciu węzłów, proszę wykonać podejście z prostej, zgoda na lądowanie na pasie dwa dziewięć.

Wszystko oficjalnie, precyzyjnie, zgodnie z procedurą, zupełnie jak przed przed. Wypowiedziane całkiem serio. Dzień jak co dzień na starym lotnisku. Nie umiem nawet opisać, jak mną wstrząsnęło to echo normalności. Jakbym udając że lotnisko działa jak zwykle, mógł też udawać, że moja żona i mój pies żyją, że ona jest w siódmym miesiącu i że oboje wrócili do Front Range i dzielą mnie od nich trzy godziny lotu, a nie dziewięć lat podróży tak naprawdę w jedną stronę.

Ale nie chodziło nawet o to. Chodziło o latarnię lotniskową. Prawie każde wybetonowane lotnisko ma, miało, obracającą się latarnię, zielono-białą. I zauważyłem jej blask z dziesięciu mil i nic mnie w tym nie zastanowiło. Potem z sześciu mil zobaczyłem ją jeszcze raz, pulsowała jak serce żyjącego przedsiębiorstwa i ten dysonans – spalone miasto i koniec świata jaki znamy i to żywe, pulsujące światło, głos kontrolera przekazujący codzienne komendy – wreszcie zwrócił moją uwagę i włosy zjeżyły mi się na karku. Nie umiem tego

wyjaśnić po prostu to było co najmniej dziwne: że mieli elektryczność. Albo: a czemu nie? My mieliśmy prąd na Erie. Coraz więcej lotnisk wykorzystywało energię słoneczną i wiatr. Albo że latarnia nie powinna być włączona w środku dnia w dobrych warunkach. Nie umiem tego wyjaśnić, po prostu coś obudziło moją czujność.

Ustawiłem się. Zrobiłem przechył o dwadzieścia stopni w lewo i wyrównałem na podejście końcowe a przed nami rozciągał się ze wschodu na zachód długi pas dla odrzutowców, prawie jak jakaś halucynacja. Równy. Nawet stąd było to widać. Nie wyglądał na odkształcony, spękany, wyboisty jak wszystkie pozostałe pasy po wschodniej stronie gór. Ktoś o niego dbał. Takie przynajmniej miałem wrażenie z wysokości mili, schodząc niżej. Odchyliłem dźwignię przepustnicy w tył, ustawiłem klapy na dwadzieścia stopni i pozwoliłem jej opadać pięćset stóp na, Bestia jakby odetchnęła z ulgą, że wracamy do dawnych procedur. Przysięgam ona ma własną duszę albo umysł czy coś w tym rodzaju.

A kiedy tak powoli obniżaliśmy lot, a pas robił się szerszy i dłuższy i podnosił się na nasze powitanie, zobaczyliśmy rzędy hangarów, niektóre dachy były wygięte, inne wyrwane do połowy przez wiatr. Zobaczyliśmy wieżę kontrolną po naszej lewej, jej barwione na zielono, nachylone pod kątem kuloodporne szyby. Zobaczyliśmy wraki, kilka po każdej stronie pasa startowego, na końcu duży odrzutowiec. Tak jak na każdym lotnisku – zakotwiczone samoloty wystawione na pastwę pogody w końcu zrywały się z lin i rozbijały, ale. Wtedy do mnie dotarło. Z całą mocą.

Byłem może trzydzieści stóp nad ziemią. Zredukowałem moc silnika, ustawiłem śmigło w chorągiewkę, zrobiłem wszystko co się robi przed lądowaniem, i już miałem przyciągnąć wolant i delikatnie posadzić Bestię na ziemi i. I dotarło do mnie.

Latarnia, wieża: wraki wokół pasa były spalone jak samochody. W mojej głowie nie pojawił się żaden wniosek, nic konkretnego, przemyślanego, nie było na to czasu. Tylko ten wstrząsający obraz: spalone i powgniatane samoloty. Inne niż na Erie. Inne niż na Denver, niż na Centennial, niż stare samoloty zerwane z kotwiczeń i targane po lotnisku przez wiatr. One się rozbiły. Z pracującym silnikiem. Przyciągnąłem wolant, ale nie po to, żeby wylądować. Szarpnąłem go do siebie i walnąłem dźwignią przepustnicy o tablicę, a silnik gwałtownie zwiększył moc i ryknął i otwartą dłonią wcisnąłem z powrotem podgrzew gaźnika i rzuciło nas w górę, prawie pionowo ku niebu. Poderwaliśmy się z lotniska chyba pod jeszcze większym kątem niż pół godziny wcześniej startując z łąki. A owce zaczęły beczeć.

Wyjrzałem przez niskie boczne okienko, kopułę z pleksiglasu, i w tym samym momencie nad pasem zobaczyłem stalową linę. Mocno napiętą, pewnie zabrakło jej dziesięciu stóp do moich kół. Napiętą jak pułapka. Którą była.

Żeż kurwa.

Hig, ostry z ciebie zawodnik. To Bangley się odezwał. Zasłużyłem na rzadką pochwałę z ust Bangleya. I w tej chwili spojrzałem na wskaźnik paliwa i zobaczyłem, że zostały nam dwa galony. Najwyżej dziesięć minut. Kurwa.

Wykonałem przechył w lewo i zawróciłem, żeby się rozejrzeć, przygotowując się na strzały z ziemi.

Cholera. To tatko. *Naprężona lina.* Zamiast jagnięcia trzymał teraz sztucer i lustrował hangary i wraki przez celownik.

Lina rozciągała się w poprzek pasa w około jednej trzeciej długości, dziesięć stóp nad ziemią, rozpięta na dwóch wysięgnikach zespawanych ze stalowych belek. Wysięgniki były skierowane w dół

jak dzioby okrutnych czapli. Linę pomalowali na czarno jak asfalt, ale widziałem wyraźnie jej cień, a potem samą złowieszczą nić. Żadnych strzałów. Obejrzałem się.

Tatko?

To tyle, krzyknął. Ich jedyny popisowy numer.

Chcesz? odkrzyknąłem.

Dorwać drani? Kurwa jasne.

Cima?

Wyglądała na oszołomioną, jakby jeszcze do siebie nie doszła, nie rozumiała w pełni tego, co się właśnie stało. Skinęła głową.

Właściwie nie mamy wyboru, wrzasnąłem. Kończy się nam paliwo.

Przechyliłem samolot mocniej i zanurkowałem do następnego podejścia, tym razem bez żadnej listy kontrolnej, z jedną jedyną myślą Ten skurwiel ten skurwiel. Lecę cię dorwać. I z bolesnym poczuciem zdrady. Te wszystkie lata, kiedy myślałem o tamtym komunikacie. Nadzieja, którą rozbudził. Nie dawał mi spokoju.

Przestawiłem wszystko na automat. Zrobiłem mocny przechył i zanurkowałem i wylądowałem sto stóp za liną. Tatko wychylił się do przodu i powiedział:

Kołuj dalej. Tam. Zaparkuj za tym budynkiem, drugim na zachód od wieży.

Toczyliśmy się szybko. Trzask radia. *Ładne lądowanie* powiedział głos i tym razem nie brzmiał jakby należał do miłej babuni. Wydawał się zmęczony i twardy. A potem śmiech. Śmiech jak zgrzyt metalu na jezdni, głośny i długi. *Gratulacje. Jesteś pierwszy.*

Nie odpowiedziałem. Skręciłem w lewo na szerokiej drodze kołowania i ukryłem samolot w miejscu, które wskazał Tatko, i wyłączyłem silnik. Staliśmy w chłodnym cieniu Szkoły Lotniczej Big River i Autoryzowanego Centrum Serwisowego Cessny i byliśmy na tyle blisko ściany, że nie widzieliśmy szczytu wieży a oni, kimkolwiek byli, nie mogli namierzyć nas. Wyszedłem na zewnątrz i przesunąłem fotel do przodu, żeby Tatko mógł się przecisnąć. Pod ścianą cykał głośno świerszcz. Cima siedziała. Nie rozpięła pasów. Nie wiedziałem, co powiedzieć, nigdy nie widziałem jej w takim stanie. Wyglądała, jakby była w szoku. Była w szoku. Obszedłem samolot stanąłem przy jej drzwiach otworzyłem je szeroko. Jej smukła dłoń opierała się na tablicy nad wskaźnikiem ciśnienia oleju a przedramię barwił nowy siniak. Odwróciła się. Miała zaczerwienione oczy.

Nie chodzi tylko o podłość. Tej pułapki. To też. Chodzi o miasto.

Skinąłem głową. Ona i Tatko wycofali się ze świata wcześnie, zanim ogarnął go pożar. Zobaczyli wystarczająco dużo, wystarczająco dużo żeby uciec, ale nie zobaczyli pełni upadku. Nie zobaczyli tego, co ja widziałem każdego dnia z powietrza. Czego Bangley i ja dowiedzieliśmy się w środku naszych nocy. Spalonego miasta i wszystkiego, co to oznacza.

Chcesz tu zostać?

Skinęła głową.

Okej.

Znów obszedłem samolot, sięgnąłem przez mój fotel i wyjąłem uzi ze stojaka i podałem go jej.

Jeśli zobaczysz kogoś, kto nie wygląda jak ja albo twój tato, zastrzel go. Jest naładowany.

Zawahała się, skinęła głową, wzięła broń.

Wyjąłem AR. Zabrałem też krótkofalówkę. Włączyłem ją i wybrałem częstotliwość 118,1 – wieżę. Czasami dobrze jest porozmawiać ze swoim wrogiem. Zazwyczaj nie. Tego nauczył mnie Bangley – cenić powściągliwość. I przeważającą siłę ognia. Sięgnąłem w tył pod jedną z owieczek i wyciągnąłem pokrowiec, w którym trzymałem granaty, skinąłem na Tatka i minęliśmy południowy róg budynku. Szedłem za nim. Przywarł do ściany, żeby nadal nie było nas widać z wieży. Za następnym rogiem rozciągała się odkryta płyta postojowa, gdzie kiedyś kotwiczyły małe samoloty, na której nasi gospodarze mieliby nas jak na dłoni. Zatrzymaliśmy się. Mniej więcej pięćdziesiąt jardów dzieliło nas od następnego budynku, jednopiętrowca z cegły, siedziby Obsługi Lotniska z hangarami z boku i z tyłu. Widzieliśmy jego tylną ścianę: rząd ciemnych okien w większości nienaruszonych, metalowe drzwi na końcu.

Hig ta staruszka z góry brzmiała zupełnie jak moja babcia.

I co?

Poślemy do piachu ją i wszystkich pozostałych. Bez żadnych pytań. Spojrzał na mnie.

Skinąłem głową.

Te skurwysyny zaprosiły cię tu pod fałszywym pretekstem. Cholera, widziałeś te wszystkie wraki? Ile samolotów tak załatwili?

Dużo. Mnóstwo. To największy pas startowy na trasie do L.A. między Denver a Phoenix.

Oparł się o cegły.

Dlaczego? zapytał.

Dlaczego to robią?

Przecież nie dla paliwa. Połowa tych wraków spłonęła. Nie dla jebanego mięsa. Chyba że lubisz węgiel.

Część z nich przeżyła. Niektórzy może nawet bez większych obrażeń. I nie wszystkie spłonęły. Nie do końca, a czasami wcale. Na pokładzie były zapasy, jedzenie, broń. Owce. Beeeee.

Okej to co zrobili z wkurzonymi gośćmi?

Cisza. Zrobił krok za róg i rozległ się wystrzał. W twarz sypnął mi ceglany pył. Pomyślałem że oberwał. Poleciał do tyłu. Chwyciłem go po omacku, przyciągnąłem do siebie.

Kurwa. Tracę wyczucie, Hig. Dzięki.

Nic mu nie było. Oddychał ciężko. Wytarłem oczy.

To właśnie robią, Hig. Wybijają ich jednego po drugim. Człowiek wychodzi z wraku ranny, zamroczony, nie wie nawet dlaczego spadł i łup. Albo wykorzystują ich w jakimś innym celu. Dobra teraz to się wkurwiłem.

Rozpiął połataną flanelową koszulę, rozejrzał się i podniósł z ziemi kawałek zardzewiałego pręta długości dwóch stóp. Zawiesił na nim koszulę.

Jak ci powiem wystaw to za róg. W tym miejscu o tak. Jak uda nam się dostać do następnego budynku jesteśmy w domu. NIE RUSZAJ SIĘ STĄD dopóki cię nie zawołam. Odsunął rygiel, sprawdził czy w komorze jest nabój, przykucnął. Trzy dwa jeden, teraz!

Wysunąłem koszulę, rozległ się wystrzał, świst, ruszył. Biegł do tych tylnych drzwi, pędził jak halfback na meczu, robiąc uniki i zwody, a dwie kolejne kule roztrzaskały się na asfalcie za nim i przed nim. Wbiegł w cień budynku, w miejsce, z którego nie było go już widać z góry, i resztę drogi do drzwi przeszedł. Odwrócił się, podniósł kciuk i zniknął w środku. Pieprzony Tatko. Chciałbym umieć tak biegać

w takim – w moim wieku. Nigdy nie umiałem tak biegać. Cholera. Opuściłem koszulę. Na środku widniała równa dziura, przeszła przez trzy fałdy materiału. Strzał w brzuch. Uh. Czekałem. Minutę, dwie, zacząłem liczyć jak z Bangleyem. Przy dwustu zacząłem się zastanawiać, co się dzieje. Przy dwustu dwudziestu trzech: jeden wystrzał. Rozbrzmiał nad lotniskiem jak dzwon. Pojedyncze uderzenie. Odbiło się echem i ucichło. To była trzysta ósemka Tatka. Znałem ten dźwięk. Pół minuty później tylne drzwi budynku Obsługi Lotniskowej zgrzytnęły i Tatko przywołał mnie ręką. Puściłem się biegiem. Podniósł dłoń i machnął nią lekceważąco, jakby chciał powiedzieć *Spokojnie, masz czas.*

Co to kurwa było? Co się stało?

Idiota, po prostu idiota. Te okna na wieży są grube i kuloodporne. Od jedenastego września. Ale muszą skądś strzelać. Mają ambrazury. Jak stare forty. Wiedziałem, że kiedy dostanę się do środka, będę miał wystarczająco dużo czasu, żeby złożyć się do strzału.

Wpatrywałem się w niego.

Trafiłeś strzelca przez ambrazurę? Tak jakby w celownik?

Pokręcił głową. Nie. Okazuje się, że otwory są dwa: wyższy, pewnie na wysokości piersi, do dalekich strzałów, i niższy, skierowany prosto w dół, do krycia okolic wieży. On patrzył przez górny, a ja strzeliłem w dolny. Chcesz wysadzić drzwi, wejść na górę i złożyć im wizytę?

Cholera, Tatku.

Trafił tego, kto tam stał, przez mniej więcej czterocalowy otwór.

O tak. Przeszliśmy przez płytę. Drzwi do wieży były z ciężkiego metalu pomalowanego na zielono. Rozpiął poplamiony pas biodrowy wyjął z niego dwie laski dynamitu skleił je mocną taśmą.

Oszczędzałem je. Nadeszła chyba stosowna okazja.

Przykleił je do ciężkich metalowych drzwi po stronie zawiasów, nisko przy ziemi, podpalił i odbiegł w tył. Na wszelki wypadek schowaliśmy się w Stacji Obsługi Odrzutowców. Wybuch. Deszcz okruchów asfaltu zabębnił o szyby. Jakbyśmy mijali ciężarówkę na drodze żwirowej. Wróciliśmy tam biegiem. Drzwi zwisały krzywo z górnego zawiasu, kołysały się jak ponury metronom w chmurze dymu. Tatko stanął w drzwiach jak niezdecydowany posłaniec.

Daj mi swój karabin, powiedział. Masz coś przeciwko?

Podałem mu mój, on oddał mi swój.

Tak będzie lepiej zważywszy na to, co mamy zrobić.

Odruch: odciągnął dźwignię przeładowania, sprawdził, czy w komorze jest nabój, i przełączył się w tryb komandosa. Wyraźnie było widać, że to dla niego nie pierwszyzna. Nie mogłem się doczekać, aż pozna Bangleya. O tym właśnie myślałem, wyobrażałem sobie nawet ich pierwsze spotkanie, kiedy Tatko wchodził po schodach na pierwszy poziom z karabinem gotowym do strzału, mierząc z oboma oczami otwartymi. Betonowe stopnie na stalowym szkielecie dudniły głucho buch buch kiedy biegliśmy na górę. Poziomów było pięć. Na każdym mówił, żebym został na klatce i ją osłaniał, a sam przechodził przez drzwi. Błyskawicznie sprawdzał piętro i szliśmy dalej. Nachylił mi się do ucha, chrapliwie łapiąc powietrze.

Będziesz zachwycony wystrojem wnętrz.

Mogłem sobie wyobrazić. Drzwi na najwyższym piętrze, drzwi do pomieszczenia kontrolerów były zamknięte. Oczywiście. Przestrzelił zamek, wpadł do środka. Ten smród. Bariera. Zakrztusiłem się i splunąłem. Wszędzie koty. Przerażone strzelaniną biegały po klawiaturach radarów, pulpitach sterowniczych, jeżyły sierść na

wyprężonych grzbietach i syczały na tle martwych czarnych monitorów. Łaciate i czarne, niebieskookie koty syjamskie.

Powietrze cuchnęło kocim moczem i falowało światłem z barwionych okien, nasycone zielenią jak w akwarium. Po zachodniej stronie, stronie z której przyszliśmy, gdzie strzelec musiał osunąć się na ziemię pod ukośnymi oknami, leżał mężczyzna. Dławił się i płakał. Trzymał w rękach swoje wnętrzności, które rozlały się na podłogę. Krew sączyła mu się z pleców, tworzyła kałużę i płynęła po podłodze sinusoidalną wstęgą jak strumień. Stary mężczyzna, starszy od Tatka. Miał białą brodę, długie siwe włosy, teraz potargane i mokre od krwi na pomalowanej stalowej podłodze. Ten, który nadał pierwszy komunikat, ten, którego słyszałem lata wcześniej, to musiał być on. Miał na sobie szelki. Strzał zrzucił mu z głowy czapkę na środek pokoju. Miała żółty nadruk Stacja Obsługi Odrzutowców Peoria „Serwis Środkowy Zachód". Przez mdłości przebija się fala gęsiej skórki. Skurwiel. Ktoś ze Środkowego Zachodu przyleciał tu, szukając schronienia przez grypą, i zaczepił o linę tego pojeba. Prawdopodobnie. Jego karabin leżał kilka stóp od czapki. AR-10 z długą lufą. Koty miauczały przeciągle, głośno, w panice, jak w poczekalni u weterynarza. Staruszek zakrztusił się, zachłysnął, zaszlochał. Któryś odważniejszy kot chłeptał już ze szkarłatnego strumienia.

Samuel! Lodowaty wrzask. *Sammy mój Sammy mój Sammy!*

Podskoczyłem. W rogu – tam nie było rogu tam były same rogi, ośmiokąt – po wschodniej stronie stała stara kobieta z włosami, bez kitu, zebranymi w kok. Wyglądała jak babunia z reklamy. Stała przy lunecie na statywie, ubrana, znów bez kitu, w perkalową sukienkę z nadrukiem w szafirowe chabry. Na nosie miała okulary w okrągłych drucianych oprawkach. Tak mogłaby wyglądać twoja szkolna bibliotekarka, twoja kochająca babcia, twarz na etykiecie syropu do naleśników. Stała wciśnięta plecami w ekran nawigacyjny

i równocześnie zastygła w pół kroku w stronę strzelca, który musiał być jej mężem, młócąc dłońmi powietrze na wysokości piersi, z ustami rozwartymi w krzyku. Tatko ją zastrzelił. Strzelił w środek czoła. Dwadzieścia kotów rozpierzchło się po wieży, potem zastygło w różnych pozach wyprężonej grozy. Poziom decybeli w rozedrganym echem pomieszczeniu spadł o połowę. Teraz już tylko koty i staruszek.

Tatko podszedł do niego, przykucnął.

Dobij wycharczał Dziadek. Oczy zaszły mu łzami. Były zamglone jak jajka w koszulkach. *Strzelaj*. Błagał.

Tatko zapytał Jak rozpiąłeś tę linę.

Co? Wykrztusił skrzep krwi.

Lina. Jak ją rozpiąłeś?

Kopa

Koparką?

Dziadek zwymiotował twierdząco.

Paliwo? Gdzie jest paliwo? Macie setkę niskoołowiową?

Strzelaj pro…

Gdzie paliwo?

Wscho zbio…

Wschodni zbiornik?

Ta

Tatko szarpnął pęk kluczy przypięty do paska mężczyzny.

Klucz jest tutaj?

Aaauuuuua

Czy klucz jest tutaj?

Ta

Idź do diabła.

Tatko go zastrzelił. Prawie zwymiotowałem.

*

Zanim uciekliśmy od tych wszystkich kotów, od tego smrodu, wyjrzałem przez okno. Dach Centrum Serwisowego pokryty panelami słonecznymi. Jak Erie. Tak pompowali wodę, paliwo, zasilali radio i latarnię. Wschodnie dystrybutory paliw dokładnie pod wieżą, niecałe sto jardów od niej. Łatwy cel, tak ich bronili. Ocalali? Z któregoś wraku? Dostawali kulkę z daleka albo wychodziła do nich staruszka jak z reklamy i odgrywała rolę zatroskanej babci, przywołując ich bliżej. Nic trudnego. Cholera.

*

Zanim wyszliśmy z wieży, Tatko zaprosił mnie do mieszkania na trzecim piętrze. Powiedziałem, że mnie to nie interesuje. Odpowiedział: Zainteresuje cię to. Koty już zaczynały schodzić na dół. Poszedłem za nim.

Byliście kiedyś w kamperze emeryta? Takim kupionym za pieniądze ze sprzedaży domu? Nienagannie czystym i zadbanym, z łóżkiem zasłanym gładko patchworkową kapą, na przykład wyszywaną w słoneczniki, z pluszowym misiem na poduszce? Ze sztuczną różą w wazonie z rżniętego szkła przyklejonym do stolika w okleinie? Tak to wyglądało. Małe dwupokojowe mieszkanie, bez okna, nieskazitelna pluszowa wykładzina od ściany do ściany, żadnych kotów. Tyle że. W pokoju, który byłby salonem, gdzie mógłby stać telewizor, na jednej ze ścian na setkach kołków wisiały czapki,

przeważnie baseballówki z logo różnych stacji obsługi lotniskowej, lotniczych centrów serwisowych, zakładów specjalistycznych wszelkiej maści – producentów cylindrów, śmigieł, poszyć – z każdego zakątka kraju. Przez resztę ścian biegły półki. Na półkach stały, na zmianę, pary okularów – przeciwsłonecznych, do czytania, dwuogniskowych, co tylko dusza zapragnie – i nieudolnie wypchane ptaki każdego gatunku. Nieforemne, zmatowiałe ptaki wypełnione jakąś masą bez żadnego szkieletu, z niewprawnie zaszytymi oczami – sowy, drozdy, sroki, wróble, kaczki. I atlasy ptaków: antykwaryczny Petersona, Golden, National Geo, Sibleya. Chyba wszystkie opublikowane w minionym wieku.

Ludzie nadal mają hobby, powiedział Tatko. Co za ulga.

Naprawdę zajebiście.

*

Nabraliśmy paliwa prawie jak przed, po prostu przesunąłem dźwignię i usłyszałem pompę elektryczną i patrzyłem jak cyferki odmierzają galony. Oceniłem kolor benzyny i sprawdziłem czy nie ma w niej wody i cząstek stałych przy pomocy rurki z przezroczystego plastiku, którą woziłem ze sobą. Znaleźliśmy jeszcze sześć pięciogalonowych kanistrów i napełniliśmy je. Odpaliłem silnik. Pracował regularnie, czyli benzyna była dobra. Wystartowaliśmy. Tatko powiedział: Na dole! Godzina druga. Podleciałem tam. Na końcu pasa pasły się trzy bizony, sierść miały jeszcze brudną i wyliniałą po zimie.

*

Bizony wracają na swoje dawne tereny, wilki, muflony też. Pstrągi zniknęły, łosie, ale. Widziałem rybołowy przy strumieniu Jaspera i bieliki. Mnóstwo myszy na świecie, mnóstwo jastrzębi. Mnóstwo wron. Zimą drzewa są ich pełne. Komu potrzebne dekoracje

świąteczne? Całe mile martwego lasu, ale świerki wracają, i jodły i osiki.

*

Przelecieliśmy nad nimi. Wiatr huczał i miotał się w ramie po moim oknie. Na wysokości Kremmling, na wzgórzach pod pasmem Gore, szalał ogromny pożar. Nowy odkąd. Pewnie jakiś piorun. Drzewa na skraju zajęły się ogniem i wybuchł. Widzieliśmy uciekające w dół jelenie.

Zobaczcie! powiedziała.

Za jeleniami biegła niedźwiedzica grizzly. Sadziła susami, opadając twardo na krótkie przednie łapy, przyhamowywała, obracała się gwałtownie, usiłując pilnować dwóch przerażonych niedźwiadków. Prowadzić je coraz niżej i niżej.

W rzece, na płaskim odcinku nad kanionem, płynęły jelenie.

*

Przypomniał mi się obraz, który widziałem w muzeum historii naturalnej w Denver. Mnóstwo różnych dinozaurów, pamiętam triceratopsa, uciekało przez pustą równinę przed ogniem, a w tle wybuchały wulkany. Ciekawe, czy potrafiły biegać tak szybko jak niedźwiedzica grizzly albo jeleń.

*

Na wyciągu w Winter Park kołysały się krzesełka. Nowe drzewa prawie sięgały siedzeń. Paliwa wystarczyłoby nam do Erie, ale na styk. Chciałem wylądować i dolać jeszcze przynajmniej jeden kanister. Na wypadek. Czego? Po prostu na wszelki wypadek. Zawróciliśmy na prosty odcinek autostrady po zachodniej stronie ośrodka. Wylądowaliśmy, zatrzymaliśmy się w pobliżu budynków na skraju miasta. Rozprostowaliśmy kości, wlaliśmy paliwo. Ja stałem na

zastrzale, Tatko podawał mi kanistry. Kraniec miasta siedemdziesiąt jardów dalej, ośrodek wypoczynkowy, stacja benzynowa Sinclair, kiczowaty domek w stylu alpejskim z ciemnego drewna: Niemiecki Zajazd u Helgi. Cudem ocalone przed ogniem całe miasto.

Cima stała na drodze, z dłońmi w kieszeniach dżinsów, patrzyła. Nadal wydawała się oszołomiona. Świat poza ich kanionem. Pusty płonący świat. Najstraszniejsze te nietknięte budynki. Dla mnie. Bo wyglądały prawie normalnie, bo niosły się echem. Działo się z nimi to, co dzieje się z uderzonym dzwonem na długo po tym, jak ucichnie jego dźwięk.

Chcę wejść do środka, powiedziała. Pokazując niemiecką restaurację jak turystka.

Tam?

Tak.

Im szybciej się załadujemy i wystartujemy, tym bezpieczniej. Pusto, ale. Nigdy nie wiadomo.

Chcę wejść do środka.

Wzruszyłem ramionami. Tatko, pogrążony we własnych myślach, jak zahipnotyzowany patrzył z tej odległości na pasmo Gore, płonące Never Summers. Można się przyzwyczaić do wielu rzeczy, ale może nie do tego. Tak nagle. Gwizdnąłem na niego, że wrócimy za kilka minut, złapałem AR i ruszyliśmy przed siebie autostradą spękaną od mrozu. Ze szczelin wyrastały kępki trawy i szałwii, młode topole. Po asfalcie biegały małe jaszczurki. Szliśmy prosto w słońce, które wisiało nad śniegami Divide. Przynajmniej tam jeszcze leży śnieg.

Lubiłaś niemieckie jedzenie?

Czułem się, jakbyśmy byli na randce, dziwne uczucie. Kanion chronił nie tylko przed tą bezkresną pustką.

Nie cierpiałam go, prawdę mówiąc.

Aha.

Wyciągnęła rękę, złapała mnie za dłoń. Nigdzie się nie wybieram, Hig, powiedziała. Dokąd miałabym pójść?

W mnóstwo miejsc, pomyślałem, ale nic nie odpowiedziałem. Na drugą stronę na przykład. Albo głęboko głęboko do środka. Mnóstwo miejsc, do których nikt inny nie ma dostępu.

Siedziałem cicho. Drzwi były otwarte, nie było drzwi. Może spłonęły w kominku z resztą mebli. Okna były zabite deskami. Ktoś przygotowywał się na koniec złej passy, chciał zabezpieczyć interes, oszczędności. Te oznaki nadziei, które teraz wydawały się takie osobliwe, wręcz perwersyjne. Weszliśmy do środka.

Nie spalili mebli: wszystkie stoły, krzesła z grubego drewna, ich kształty rysowały się w półmroku, obecne i beznamiętne. Na środku stał kominek, okrągły, wyłożony kamieniami, nieodłączny element wystroju w ośrodku narciarskim zdaniem każdego debila, który mieni się architektem wnętrz. Pewnie w kuchni stały garnki do fondue. Od frontu, tam gdzie wiatr nanosił deszcz i śnieg, drewno wypaczyło się i pokryło zaciekami, ale głębiej był tylko suchy kurz i ślady i odchody myszy. Z tyłu ciężki dębowy bar, wysokie drewniane stołki, przydymione niestłuczone lustro. Światło z wejścia odbijało się w nim jak srebrne rozlewisko na strumieniu przed zmierzchem. Zawahała się, potem podeszła bliżej i stanęła przed barem, przeglądając się w dużym lustrze. Kilka kroków w tył, zastygła w miejscu z uniesionymi w bok ramionami, wyglądała jak dziecko na recitalu tanecznym, które zapomniało kroków. Miało w głowie pustkę. Albo dziewczynę z rancza w nowym barze, dziewczynę z gór, onieśmieloną, która nie wie, co zamówić, jak to zrobić. Spojrzała na siebie i wybuchnęła płaczem.

*

Kim był ten obdarty, przysadzisty, brodaty facet, który ją obejmował? Czy to ty, Hig? Jesteś równie wyliniały, brudny i złachany jak te bizony po zimie. Brakuje ci jednego zęba. Wyglądasz jak bezdomny hokeista.

*

Nie wiedziałem. Lekko stremowany przed pokonaniem ostatniego wzniesienia. Przed pokonaniem Skał, tak je nazywali w klubie lotniczym, jakby to była jakaś wielka sprawa. Nie dla mnie, ani razu. To znaczy były wysokie, w końcu to dział kontynentalny, prawie zawsze leżał tam śnieg, kiepskie miejsce na awarię silnika z jakiegokolwiek powodu, długa droga w dół do pierwszych polan wśród martwych od dawna sosen. Po obu stronach, w Winter Park i w Nederland. Zawsze zostawiałem sobie dwa tysiące stóp zapasu, latałem tak wysoko, że od czasu do czasu zaczynałem odpływać, i zawsze wszystko było w porządku. Ale. Teraz to była wielka sprawa. Jak to się ułoży? Orientowałem się na niski punkt na przełęczy, gdzie między skałami i plamami śniegu biegła stara droga dla dżipów, patrzyłem jak nizina unosi się za grzbietem, jak zawsze kiedy się nad nią przelatuje, patrzyłem jak unosi się i powiewa jak jedna z tych flag na olimpiadzie, a za ostatnią falą pogórza zobaczyłem ją: starą Erie, samo lądowisko widoczne po chwili na południe od wieży radiowej, która już nie błyska, wstążka asfaltu rozwinięta jak czerwony dywan tylko dla mnie. Stremowany przed spotkaniem z Bangleyem, to dlatego. Minęło, według moich szacunków, nieco ponad sześć tygodni.

*

Teraz schodziliśmy niżej nad pogórzem i na pamięć prowadziłem Bestię na Erie. Kierowałem się na piaszczystą skarpę, która tkwiła niczym billboard po drugiej stronie drogi międzystanowej, jeszcze

piętnaście mil od mojego punktu orientacyjnego na zachodzie, który prowadził mnie dokładnie na środek pasa. Na jej widok przed oczami stanęło mi to lato, kiedy miałem osiemnaście lat: powrót do domku Mamy w Hotchkiss. To była niespodzianka. Wspinaczka pod górę krętą drogą o zmierzchu. Radość z powrotu do domu, strach, że będzie zupełnie inaczej, niż się spodziewam. Serce waliło mi w piersi. Czułem je w środku, usiłowało przebić się przez warkot silnika, głęboki ryk i drgania, kiedy zmniejszyłem ciąg, żeby zejść niżej.

Nad naszą ośmiomilową prerię. Nad ostatnie drzewa, ostatnie żywe sosny, które zapuściły się na równinę jak zdezorientowani wartownicy, nasze pogranicze, nasz margines bezpieczeństwa, a później zobaczyłem wieżę, tę którą zbudowaliśmy razem. Stanowisko snajperskie Bangleya, platformę, z której wystrzelił swoje pociski moździerzowe – a potem byłem nad tym miejscem i nie przyglądałem się zbyt dokładnie, żeby nie zobaczyć kości, porzuconych niepochowanych ciał, teraz rozwleczonych przez wilki i kojoty, i całej reszty. Mógłbym zobaczyć, gdybym się przyjrzał, biały błysk łuku żebra albo czaszki. I poczułem przypływ – czego? Czegoś do Bangleya, który, co właśnie sobie uświadomiłem w tamtej chwili, stał się moją rodziną. Bo to do niego, tak jak do mojej matki dwadzieścia dwa lata temu, wracałem do domu. Nie do żony, dziecka, matki czy kogokolwiek innego, tylko do Bangleya i jego żwirowego głosu. Który za punkt honoru postawił sobie przez cały czas być zawziętym dupkiem. I poczułem ukłucie strachu, rezerwy. A co, jeśli był na mnie po prostu wściekły?

Sprzeczne emocje. A potem strach zalał mnie szeroką falą. Kiedy zszedłem na sześć tysięcy stóp i przeleciałem nad połyskującą rzeką, która obniżyła się, ale nie wyschła, i wyleciałem prosto na południowy kraniec pasa i zobaczyłem zwęglone łupiny domów, zobaczyłem fundamenty, zobaczyłem mój hangar rozdarty w połowie jakby przez środek przeszło tornado i spalony.

III

Dom Bangleya, sto jardów na północ, ten z warsztatem rusznikarza w zapuszczonym salonie i zdjęciem jasnowłosej rodziny na nartach – dom stał, ale okna były podziurawione kulami, lukarna na drugim piętrze roztrzaskana i osmalona, a obok niej w dachu ziała dziura. O kurwa. Kurwa kurwa kurwa.

Tatko siedział wyprostowany i czujny na swoim plecaku, zerknąłem w tył, wiedział, że wszystko jest nie tak, a Cima ścisnęła mnie za udo i nie mogła się oderwać od okna, przyciskała twarz do szyby jak dziecko w rekinarium.

Zanim wylądowałem, zszedłem nisko i przeleciałem nad ogrodem. Był tam, nienaruszony. Woda wciąż płynęła przez rów u szczytu grządek i wciąż płynęła przez połowę kanałów.

Ale. Nawet z wysokości dwustu stóp widziałem chwasty. Porastały wyschnięte bruzdy i wspinały się wyżej i wieńczyły usypane brzegi.

Zwiększyłem ciąg i wzbiłem się wyżej i nawróciłem jeszcze raz. Przechyliłem samolot mocno w lewo i celowałem w środek pasa i po długim lądowaniu kołowałem do domu Bangleya. Mieszanka, iskrownik, włącznik główny. Wyłączyć. Koniec. Ledwo Bestia zdążyła się zatrzymać, popchnąłem ciężko otwierające się drzwi i wyskoczyłem i pobiegłem do domu.

Drzwi były otwarte, kołysały się delikatnie na lekkim wietrze.

Bangley! Bangley! Hej! Jesteś tam! BANGLEY!

Zaskoczyła mnie siła własnego krzyku. Brzmiałem jak ktoś obcy.

Wbiegłem do warsztatu. Co dziwne, duże okno wychodzące na góry było nietknięte, ale przez ścianę nad kominkiem biegła ukośna linia

dziur po kulach. Zdjęcie rodziny na nartach stało jak wcześniej na bocznym stoliku. Narzędzia Bangleya leżały tam, gdzie je zostawił, lufa i korpus siga sauera kaliber .308, jednego z jego ulubionych karabinów, podwieszone nad blatem w dwóch imadłach.

Jezu.

Tatko zza moich pleców.

Twój kumpel, powiedział. Wiedziałem po naszej pierwszej rozmowie, że będzie twardzielem, bo jak inaczej ktoś taki jak ty…

Pohamował się.

Tego się nie spodziewałem.

Bangley!

Desperacko. Pierwszy raz poczułem, jak mnie ogarnia, desperacja jak nieprzyjemny zapach. Dziwne. Nigdy nie wiesz, jak ci na kimś zależy, dopóki nie rozwalą mu domu.

Wzdrygnąłem się. Dłoń Tatka na moim ramieniu.

Tu go zaskoczyli. Pracował. To było w ciągu dnia. Nie spodziewał się takiego ataku w dzień. Zaszli go od frontu i przetrwał pierwszy szturm i odparł go. Zmusił ich do odwrotu, potem wszedł na górę, żeby mieć lepszy widok, lepszą pozycję do strzału, i walczył stamtąd. Pewnie tylko kilku miało broń.

Wbiegłem po schodach. Ze ściśniętym sercem. Co tam zobaczę? Nigdy nie byłem na górze, nigdy. Korytarz obwieszony zdjęciami jasnowłosej rodziny. Na nartach, na żaglówce, w bambusowym bungalowie, palmy, biszkoptowy labrador na ukwieconej łące. Wszystko to rejestrowałem w przelocie, pokonując korytarz długimi susami po grubej wykładzinie, stając tylko raz, żeby zorientować się

na frontową ścianę domu, w której była lukarna. I ten pokój. Popchnąłem częściowo zamknięte drzwi.

Pokój dziecka, chłopca. Plakat Linu Linu w bikini nad łóżkiem, łóżko przykryte kapą z kowbojami na wierzgających mustangach. Na ścianach motyle w gablotkach, a w rogu gitara elektryczna. I narty slalomowe. Deska surfingowa, krótka, zamocowana na skośnym suficie, jaskrawozielony rysunek węża na jabłoni i nagiej Ewy odwróconej bokiem, z piersią niemal zasłoniętą kręconymi włosami: SIN SURFBOARDS. Plakat NASCAR z autografem. Samochód z numerem 13.

W plakacie tkwiły dwie strzały myśliwskie, prawdziwe, a wyżej ściana była podziurawiona kulami.

Dwa opakowania tytoniu Copenhagen i spluwaczka z puszki po kawie Folgers na podłodze przy łóżku. Okulary noktowizyjne i dwa glocki zwisające w kaburach ze stojaka na kapelusze. Jezu. To był pokój syna i pokój Bangleya. Tu mieszkał. Zajebiście. Zachowany w idealnym stanie jak w jakimś muzeum historycznym. Przypomniał mi się ojciec Bangleya, ojciec, którego nienawidził – i pomyślałem: Założę się, że sam nigdy nie miał takiego pokoju. Leczył rany albo instynktownie rekompensował dawne braki albo coś jeszcze dziwniejszego, kto wie, mieszkając w tym muzeum, tym pokoju na niby. A przez dach wpadało do środka światło słoneczne. Przez dziurę średnicy dwóch stóp. Żadnego śladu wybuchu, skąd się tam wzięła? Aha. Prawie wpadłem w dziurę tej samej wielkości w podłodze. Pytanie za pytaniem, zderzały się ze sobą jak samochody w wyścigu NASCAR. I to spalone okno. I worki z piaskiem ustawione przy parapecie i po bokach. I ani śladu Bangleya co na tym etapie było dobrym znakiem.

Stałem na środku pokoju, łykając powietrze, usiłując uspokoić oddech. Podszedłem do wnęki po oknie i spojrzałem na nasz obóz,

nasze lotnisko, i musiałem parsknąć gorzkim śmiechem.

Widział praktycznie wszystko: tył niskiego nasypu biegnącego przez pas, gdzie spałem z Jasperem, aż po kontener, który odciągnęliśmy od mojego domu, domu, który służył za przynętę. Widział werandę i drzwi wejściowe do tego domu, rząd zardzewiałych kadłubów samolotów, dwa boki budynku obsługi lotniskowej, wejście do mojego hangaru. Stąd niewiele mogło się przed nim ukryć, i właśnie dlatego wybrał takie miejsce. Nigdy nie przyszło mi to do głowy, nie wiem dlaczego. Albo że kiedy alarmowałem go w nocy o wizycie intruzów, widział całą sytuację jak na dłoni. Wiedział, ilu chowa się za kontenerem, jaką mają broń, ilu jeszcze zostało z tyłu, wiedział to wszystko zanim niespiesznie zjawił się w ciemnościach przy nasypie, prawdopodobnie zdążył już sobie zaplanować, którego zastrzeli najpierw i w jaki sposób. Dlatego nigdy nie był zaskoczony, zawsze mnie dziwił ten jego spokój. Kurwa. I te worki z piaskiem. Pewnie mógłby rozwalić ich stąd którymś snajperskim karabinem. Pieprzony Bangley. Jaka to była odległość? Może trzysta jardów. Łatwy strzał. Dla niego. I stojąc tam, czułem jak rośnie we mnie odraza i podziw i muszę przyznać – co? Miłość, być może, którą zacząłem czuć do tego konkretnego pomyleńca.

W jednej rzeczy był dobry, naprawdę dobry, a z całą resztą radził sobie z niezmienną przekorą. Jest to jakaś strategia, jak sądzę. I wspierał mnie. Niezawodnie, niezachwianie. I, jak? Wielkodusznie. To znaczy bez żadnych granic, prawda? Nigdy nawet nie dał mi poznać, jak ściśle kontroluje całą operację. I dlatego, kiedy wyjeżdżałem, wiedział dokładnie, o ile rośnie ryzyko, zagrożenie. Pewnie potrafił je skalibrować z zabójczą dokładnością, tak jak potrafił skalibrować celownik, biorąc poprawkę na wiatr i różnicę wysokości przy dalekich strzałach z wieży, z mrożącą krew w żyłach precyzją oceniał w jakim niebezpieczeństwie znajdzie się sam bez systemu ostrzegania w postaci mnie i Jaspera, a potem już tylko mnie. Ta symbioza, ze skali której nie zdawałem sobie dotąd sprawy.

A przez to jego ponury i ostatecznie przelotny opór wobec mojego wyjazdu wydał mi się jeszcze bardziej wzruszający. Ten koszyk granatów. To, że powiedział, że jestem rodziną. Że na swój sposób życzył mi przyjemnej wyprawy, bezpieczeństwa, nie dla siebie, dla mnie.

I te inne wyprawy. Na ryby i na polowania, w których jak wiedział chodziło głównie o odpoczynek, fizyczny albo psychiczny, a które narażały go na śmiertelne niebezpieczeństwo. To, że nigdy nie protestował.

To był jego pokój. Trochę wzruszający. Trochę dziwaczny.

Odwróciłem się. Tatko w drzwiach jego szare oczy przesuwały się po dziecięcych zabawkach, pistoletach.

To cały Bangley, powiedziałem.

No no.

Oczy Tatka na oknie obłożonym workami z piaskiem.

Tu nie umarł.

Podszedł do osmalonej dziury, która dawniej była lukarną. Spojrzał w dół, na drugą stronę.

Tu go ranili. Tatko dotknął strzępów zasłony.

Wiedział, że nie może tu zostać, wykurzyliby go ogniem. Wiedział, że musi stąd wyjść, chociaż był ranny. Że musi wyjść i zaatakować. Był dobrym żołnierzem.

Był?

Tatko wzruszył ramionami.

Staliśmy tak obaj. Nie mogłem się ruszyć. Zmroziło mnie.

A potem usłyszeliśmy podwójny wystrzał i krzyk.

A potem biegliśmy korytarzem, po schodach, przez wybiórczo zdemolowany parter, na zewnątrz, na bolesną jasność słońca.

Bestia stała wiele jardów dalej na płycie postojowej, która służyła jako droga kołowania do tych domów na północy. Cima kucała z tyłu pod skrzydłem, usiłując schować się za kołem.

Tatko stanął jak wryty, a ja wpadłem na niego, prawie go przewróciłem.

Poczekaj.

Osłonił oczy i rozejrzał się. Cima siedziała przykucnięta przy samolocie z wyciągniętą ręką. W stronę mojego hangaru, który był zamknięty. To znaczy w tej części, która jeszcze stała. Nic jej nie było, po prostu schowała się na dźwięk wystrzałów.

I nagle Tatko ruszył.

To on, powiedział.

Zrównałem się z nim i zostawiłem go z tyłu trzema krokami. Nigdy nie wiesz, jak ci na kimś zależy, dopóki nie umrze i nie powróci. Pchnąłem drzwi hangaru, te, przez które zwykle wchodzi człowiek, wycięte w głównej bramie, która się podnosi, walnąłem je tak mocno, że wpadłem do środka. Poleciałem przez dużą podłogę, którą wyłożyłem pięknymi perskimi dywanami wyniesionymi z innych domów, poleciałem głową do przodu wychylony tak mocno, że nadwerężyłem mięśnie pleców, kurwa, i naciągnąłem ścięgno w kolanie, au, wyhamowałem, wyprostowałem się i zatrzymałem i stałem jak drzewo, mrużąc oczy, żeby przyzwyczaić się do półmroku.

W dachu były dwa pofałdowane półprzejrzyste panele, które służyły jako tanie świetliki i przy zamkniętych drzwiach wypełniały hangar

światłem zbliżonym do naturalnego. I zobaczyłem naszą kanapę, Valdez, fotel Jaspera, stół roboczy, stołek, w głębi blat, przy którym gotowałem, i stolik obity czerwonym linoleum, przy którym często raczyliśmy się obiadem. Nic więcej. Ale słyszałem. Delikatny chrobot jak mysz w ścianie. Metaliczny.

Miałem szafkę na narzędzia, z szufladami na prowadnicach, z masywnej stali pomalowanej na czerwono, szerokości sześciu stóp. Była piękna. Któregoś dnia przez większość przedpołudnia toczyliśmy ją z Bangleyem z hangaru centrum serwisowego po wyboistym i spękanym od lodu asfalcie, przykrywając najgorsze miejsca deskami. Stała w honorowym miejscu pośrodku północnej ściany. Bangley mówił na nią Czerwony Kwadrat. Potrzebny mi klucz płaski z grzechotką, ćwierćcalowy, mówił. Czy mógłbyś ruszyć tyłek i znaleźć mi go w Czerwonym Kwadracie? Proszę. Chrobot dobiegał z szafki, a szafka była odsunięta od ściany. Zza niej wystawał but roboczy Bangleya, wzmocniony na palcach blachą. Obok, oparty o ścianę, stał jego granatnik, ten, nad którym pracował.

Mnóstwo zaschniętej krwi. Wyglądał, jakby ktoś wylał mu cały kubeł na dolną połowę ciała. Oczy tak spuchnięte, że została z nich wąska szpara, biała skorupa zaschniętego śluzu albo wymiocin po tej stronie twarzy, która leżała na ramieniu. Lewą nogę miał zgiętą pod nienaturalnym kątem. Leżał na swoim ulubionym karabinie automatycznym, M4, a zakrwawioną lewą dłonią trzymał kabłąk spustowy.

Chrapliwy głos spomiędzy spękanych warg. Słowa wypowiedziane najlżejszym żwirowym szeptem.

Pieprzony Hig.

To wszystko. I uniesioną dłonią sztywną jak szpon dotknął mojej brody.

*

W zawieszeniu. Przez dwa tygodnie. Dłużej. Gdyby umarł, to z powodu odwodnienia, utraty krwi. Nie umarł. Stary twardziel. Wiedzieliśmy o tym. Cima nie chciała go przenosić. Ułożyła go na kanapie. Nogę roztrzaskaną kulą na wysokości uda nastawiła i unieruchomiła szyną. Oczyściła i zszyła ranę w lewym boku po strzale, który złamał mu żebro, ale ominął brzuch. Po południu w hangarze było gorąco, ale dało się wytrzymać przy otwartych drzwiach z tą dziurą w zachodniej ścianie. Minęły cztery dni, zanim znów rozpoznał moją twarz. Na kilka sekund. Przez resztę czasu trwał w czymś w rodzaju śpiączki. Wlewała w niego wodę i sprite'a szprycą do indyka. Szóstego dnia otworzył oczy, kiedy go karmiła, i patrzył na nią.

Pani Hig, zagaił.

Powiedziała mi, że wybuchnęła śmiechem. Coś w jego wyrazie twarzy, już samo to: wyraz twarzy ledwo żywego człowieka. Powiedziała, że tak jakby rzucił jej wyzwanie, żeby spróbowała zaprzeczyć, i była w tym jakaś samoświadomość, coś jak poczucie humoru.

Dla ciebie doktor Hig, odparowała. Powiedziała mi, że wytrzymał jej spojrzenie przez dłuższą chwilę, skinął lekko głową i znów zasnął.

*

Tatko z dnia na dzień był spokojniejszy. Zabrałem go ze sobą na rundkę Bestią. Pokazałem charakterystyczne punkty jak przewodnik na wycieczce. Znalazłem dla niego słuchawki i wyjaśniałem wszystko po drodze. Wieża, rzeka, odległości, które sam umiał ocenić. Wysokie zakole, które tworzyło naszą fosę, jedyny porządny bród, nasyp. Teren w promieniu trzydziestu mil, żeby sprawdzić drogi, zajrzeć do rodzin.

Kiedy przelatywaliśmy nad nimi, wybiegli z ogrodu, z domów, szop, obszarpane i obdarte powitanie, machając. Dzieci podskakiwały z radości. Policzyłem je: siedmioro. Jednego brakowało, nie wiem którego. Zatoczyłem koło, pomachałem, wystawiłem palec. Wrócę.

Cima powiedziała, że Bangley w zasadzie kwalifikuje się na oddział intensywnej terapii i trzeba przy nim czuwać dwadzieścia cztery godziny na dobę. Mieliśmy dyżury. Coś się w niej zmieniło. Przez ten tydzień coś urosło i rozkwitło, coś, co w kanionie było uśpione, teraz stanęło w słońcu i rozkoszowało się wolnością. Trudno to wytłumaczyć.

W roli lekarza, z pewnością była w tym wprawa, prosta rutyna, która nie wymagała zastanowienia, powrót do zdobytej z trudem użyteczności, od której wydawała mi się większa. Nie wiem, wyższa, szersza, jak planeta z silniejszą grawitacją niż wcześniej. To jeden powód. Wystarczy spojrzeć na człowieka, który się znalazł w swoim żywiole, żeby stać się tego świadkiem: przekraczania samego siebie. Cudowne. Ale było coś jeszcze. Jak gdyby przyjazd na to na wpół zrujnowane lotnisko na równinach, tak inne niż wszystkie miejsca, w których wcześniej mieszkała – Nowy Jork, to na pewno, góry i mesy znane z dzieciństwa – jak gdyby ten przyjazd to było coś, na co się przygotowywała. Od bardzo dawna, sama o tym nie wiedząc. Może. Nie wiem. Takie miałem wrażenie. Jak gdyby coś w niej się rozluźniło, jak gdyby zrzuciła jakąś starą skórę. Jakąś łupinę, która stanowiła barierę, chociaż nigdy jej nie zauważyłem. A zrzucając ją, otworzyła się i rozkwitła. Kiczowate, co? Tak naprawdę to nie. Magiczne. Mówię o patrzeniu, jak ktoś godzi się z czymś i rozkwita.

Nie miałem pojęcia, z czym się pogodziła.

Uwielbiałem patrzeć, jak siedzi na stołku, który przyciąłem do wysokości kanapy, patrzeć, jak pochyla się nad Bangleyem i mówi do niego łagodnym tonem, nie jak lekarz do pacjenta albo świątobliwy

pastor, tylko z szacunkiem, wesoło, jak przyjaciel do przyjaciela. Uwielbiałem patrzeć, jak sprawdza szynę, nakłada z powrotem bandaże, ruchami jeszcze pewniejszymi, niż kiedy pracowała ze mną w ogrodzie – ta różnica między drugą naturą przyjętą na wpół niechętnie, a świadectwem dumy, umiejętności z trudem zdobytych i powściąganych. Uwielbiałem patrzeć, jak odgarnia ciemne kosmyki z twarzy, wiąże je sznurkiem albo wyciąga długie ramiona i wychodzi na oślepiające letnie słońce i idzie przez płytę postojową do miejsca, gdzie pasą się owce za ogrodzeniem, które Tatko postawił w cieniu rozłożystej wierzby. Uwielbiałem patrzeć, jak się rozbiera i wskakuje do stawu nad rzeką i stoi tak jak stała w wilgotnej mgiełce tamtego pierwszego wieczora, i przywołuje mnie do siebie. Była po prostu najpiękniejszą istotą, jaką kiedykolwiek widział Duży Hig.

Spaliśmy na dworze na ziemi tam, gdzie zawsze spałem. Z Jasperem. Ale zrobiliśmy wiklinowy parawan, rozpięliśmy dwa flanelowe śpiwory i rozłożyliśmy je na podwójnym materacu, który wyciągnęliśmy z mojego domu, tego z werandą, i spałem jak nigdy odkąd. Spaliśmy często spleceni rękami i nogami, tak jak nigdy nie potrafiłem, z nikim. Budziłem się w środku nocy jak dawniej i opierałem głowę na ramionach i liczyłem gwiazdozbiory i wymyślałem nowe, ale teraz robiłem to, czując nacisk jej łokcia na policzku – przesuwałem go delikatnie – jej włosy w ustach, jej udo na moim, i z poczuciem, że los mnie oszczędził i zesłał mi dobro.

Mimo to w niektóre noce ogarniała mnie rozpacz. Rozpacz tak nad ulotną z konieczności naturą tego szczęścia jak i po wszelkiej stracie, wszelkiej przeszłości. Żyliśmy nad jakąś krawędzią, o ile kiedykolwiek żyliśmy na rozległej równinie. Nie wiedząc jaki atak, jaka choroba. Znów to rozdwojenie. Jak latanie: bezruch i prędkość, spokój i zagrożenie. Tak jak Bestia pochłaniała przestrzeń, chociaż wydawało się, że tkwi w miejscu, to poczucie bycia w obrazie.

Kochaliśmy się jak gdyby wszystko było dla nas nowe. Może dlatego, że musieliśmy to robić tak ostrożnie, tak powoli. Czasami przesuwała się na górę i przyjmowała mnie delikatnie do środka i siadała na mnie i trwaliśmy tak nieruchomo tak nieruchomo że gwiazdy poruszały się za nią a my poruszaliśmy się najdelikatniej i w jakiś sposób przypominało to rozmowę i wypełniało mnie szczęściem, falą radości, której nie próbuję nawet opisać.

Tatko zajął dom obok Bangleya, zajął pokój na piętrze z widokiem na lotnisko, taktyk z krwi i kości, jak dwie krople wody w pewnym sensie. I obłożył jedyne okno workami z piaskiem i któregoś dnia rano przedstawił się Bangleyowi i zapytał z szacunkiem czy może pożyć jeden z jego karabinów, siga sauera. Bangley zdążył już wydobrzeć, to był dziesiąty albo jedenasty dzień, wydobrzeć na tyle żeby usiąść na kanapie i przyjrzeć się Tatkowi, i mówić przez zszytą wargę.

Drugi starszy facet, wychrypiał Bangley. To były jego pierwsze słowa.

Tatko uśmiechnął się półgębkiem, a potem szeroko, i pomyślałem Zajebiście, nawet uśmiechają się prawie tak samo. Bangley miał zabandażowane dłonie, a Tatko wyciągnął rękę i dotknął jego przedramienia. Wzruszający, pełen szacunku gest.

Stoczyłeś imponującą walkę.

Bangley patrzył na niego bacznie tymi oczami, które mogły rozpaść się na kawałki, jak w kalejdoskopie. Nic nie odpowiedział.

Dziesięciu albo dwunastu co? Pewnie ze trzech uzbrojonych.

Czternastu, sapnął Bangley. Czternastu i czterech.

Tatko skinął głową.

Co przeszło przez dach?

Kamień. Albo jakieś cholerstwo. Mieli pieprzone lekkie działo.

Zabitych zabrali.

Bangley wzruszył ramionami najlepiej jak teraz potrafił.

Pewnie tak, wychrypiał. Po chwili milczenia dodał: Zaatakowali gromadą.

Zaschło mu w gardle, odchrząknął.

Myśleli, że nie żyję. W domu. Przywaliłem im z granatnika. Położyłem dwóch następnych po drodze tutaj. To wystarczyło. Im.

Bangley przyglądał się człowiekowi, w którym zaczynał pewnie widzieć nowego przyjaciela.

Gdzie służyłeś? zapytał wreszcie.

Navy SEALs, powiedział Tatko. Afganistan. Inne miejsca.

Bangley kiwnął głową, niemal niezauważalnie.

Ubrani jak pieprzone Mongoły. Sześć kobiet. Mieli łuki. Wiedzieli, jak…

Urwał, uciekł oczami, przed którymi stanęło mu jakieś wspomnienie. Jego ciałem wstrząsnął lekki dreszcz.

Tatko czekał. Gdyby ktokolwiek wiedział.

Tak się zastanawiałem, powiedział w końcu. Zająłem sąsiedni dom od północnego wschodu. Zastanawiałem się, czy mógłbym na jakiś czas pożyczyć tego siga. Dopóki leżysz w szpitalu.

Chwilę trwało, zanim Bangley zebrał myśli. Kiedy mu się udało, kiwnął głową. To twoja córka? Tak brzmiała jego odpowiedź.

*

Zabrałem ją do rodzin. Chciała tam polecieć od chwili, gdy wylądowałem z Tatkiem. Zabrała swoją torbę lekarską. Wylądowaliśmy na podjeździe a oni wyszli nam na spotkanie, niektórzy biegli, niektórzy kuleli, zebrali się jak jakaś trupa obdartusów na granicy kwarantanny na podwórzu. Wysiedliśmy i patrzyłem, jak na widok Cimy zmieniają się ich twarze. Oczy z ciemnymi obwódkami rozszerzało zaskoczenie, zapadnięte policzki unosiły się, dzieci wysuwały głowy do przodu jak zaciekawione i trochę przestraszone sarny. Zastrzygłyby uszami gdyby potrafiły, tak się odwracały, żeby spojrzeć na swoje mamy, tak się cieszyły.

Cima ruszyła przez strefę zdemilitaryzowaną, a oni jak jeden mąż cofnęli się o krok, niemal wzdrygnęli przed nią, zostawiając jej wolną przestrzeń. Uniosła długą, mocną, posiniaczoną dłoń.

W porządku. Jestem lekarzem.

Jakby to cokolwiek wyjaśniało. Uśmiechnęła się. Zrozumiała jak absurdalnie i archaicznie.

Cześć, jestem Cima.

Może to jej siniaki, subtelne wrażenie kruchości, przejścia straszliwej choroby. Obserwowałem ich twarze. Kilkoro pomachało do mnie, skinęło mi głową, uśmiechnęło się, ale. Wpatrywali się z nią z fascynacją, z ciekawością, która niemal przezwyciężała strach, jakby witali kogoś bliskiego. Istotę w jakiś sposób do nich podobną, nie byli pewni w czym. A przy tym od nich inną, inną na tyle, żeby wzbudzić żarliwy zachwyt. No cóż. W końcu to menonici. Nawiedzenie było częścią ich światopoglądu. A myślałem, że to ja jestem aniołem zesłanym im z nieba. Stałem tam na podwórzu, pierwszy raz nie wiedząc, co zrobić ze swoimi wielkimi rękami, czując się jak piąte koło u wozu, śmiejąc się z zaskoczeniem i zakłopotaniem.

Bo. Była lekarzem. Ale.

Cima – zawołałem.

Odwróciła się bokiem.

Oni…

Oni. Oczywiście że wiedziała, że zarażają. Rozmawialiśmy o tym kilka minut wcześniej.

Uniosła dłoń, w uspokajającym, a przy tym trochę lekceważącym geście, i znów nie mogłem powstrzymać śmiechu. Że czasy się zmieniają. Zamknęli przestrzeń wokół niej okręgiem i wiedziałem, że już ich uwiodła czy przekonała do siebie, że pokochali ją tak, jak pokochałem ją ja, wiedziałem od pierwszej chwili.

Dzieci wyciągały ręce, przywarły do jej spódnicy, jedna mała dziewczynka, chyba miała na imię Lily, Lily przylgnęła do jej nogi jak niedźwiadek do pnia drzewa.

Cześć! usłyszałem głos Cimy. Cześć. Jakaś ty śliczna. Jak się nazywasz? A ty? A ten mały przystojniak.

Cud dotyku obcej osoby. Nie bycia już niedotykalnym.

Martwiłem się, ale. Ten widok, prawie warty wszystkiego, co mogło się stać.

Urządziła się w starym ceglanym domu w pokoju, który dawniej nazywano bawialnią, i wszystkich przebadała. Włożyła lateksowe rękawiczki. Widziałem je na jej dłoniach, kiedy otwierała drzwi do kuchni i wołała następną osobę. Łagodnie. Musiała mieć zapas w torbie. Zszywała głębokie skaleczenia, opatrywała rany, prosiła o wiadra ciepłej wody. Udzieliła porady młodej dziewczynie w szóstym albo siódmym miesiącu ciąży. Pocieszyła, byłem tego pewny, starszego mężczyznę, którego łkanie było słychać przez

cienkie drzwi kuchenne. Powiedziała, że mogę podejść bliżej, przebywać między nimi, że to było przekłamanie. Jak WZW C, powiedziała. Jak kiedyś HIV. Przez płyny ustrojowe, krew. Poza tym…

Przekłamanie, które uratowało im życie. Ogromne znaki na ogrodzeniach na skraju ich pól z napisem KREW. Przerażenie, które wywoływały. Prawdziwość ostrzeżenia oczywista dla każdego z lornetką: wyniszczone postaci pochylone jak gdyby na mocnym wietrze, anemiczne ruchy, zapadnięte oczy. Odstraszała ich, wszystkich napastników, ocaliła im życie, równocześnie ich zabijając.

Wracaliśmy w milczeniu mimo działających słuchawek.

Tej nocy leżeliśmy na dworze za nasypem, leżeliśmy blisko siebie. Oboje na plecach, oboje zapatrzeni na rafy rozświetlonych chmur, które oderwały się od obłoków nad górami. Obmyte promieniami księżyca w pierwszej kwadrze, wstrząsane bezgłośnymi błyskawicami. Patrzyłem, jak przepływają nad nami i modliłem się o rzęsisty deszcz, który zagoni nas do hangaru, do Bangleya. Ziemi przydałby się deszcz. Powiedziała

Na koniec były badania. Kilka przekonujących raportów.

O krwi?

Mhm.

Czekałem.

Sugerowały, że choroba autoimmunologiczna postępuje szybciej, jeśli organizm utraci zdolność wytwarzania witaminy D. To naprawdę osobliwy mechanizm. Jak AIDS i limfocyty T. To znaczy jeśli w ogóle można znaleźć jakąś analogię.

Urwała, patrzyła w chmury.

Uwielbiam, kiedy tak mówisz.

Szturchnęła mnie w ucho.

Dowodów na odwrotną zależność nie było. Do tego jeszcze nie doszli. Wszystko takie nowe.

Że witamina D może spowolnić ten proces?

Tak.

Może trzeba będzie wybrać się do Walmarta.

Nie odzywała się. Patrzyliśmy w chmury. Odrywały się, ale nie gęstniały. Nie nad nami. Deszcz, o ile go niosły, został na wzgórzach.

Hej, mruknąłem, chcesz usłyszeć mój ulubiony wiersz? Powstał w dziewiątym wieku, w Chinach.

Myślałem, że zamyśliła się myślami o medycynie, ale nagle poczułem, że drgnęła obok mnie. Nie tak jak Jasper, kiedy śnił mu się koszmar, ale jak ktoś kto spada, kto odpuszcza.

*

Mniej więcej. Dokładniej się teraz nie da. Bangley zaznaczał dni w kalendarzu w moim hangarze aż do ataku, co wydało mi się bardzo miłe z jego strony. Ale. Dzięki temu wiedzieliśmy, że zaatakowali 19 czerwca. Ale nie potrafił ocenić, ile dni przeleżał za Czerwonym Kwadratem. Wydawało mu się, że przynajmniej tydzień.

Mniej więcej 4 lipca pracowałem w ogrodzie. Zabijałem stonki ziemniaczane, jedną za drugą. Cima była u rodzin. Podrzuciłem ją rano i poprosiła, żebym przyleciał po nią przed kolacją, chciała spędzić tam cały dzień. Podawała zastrzyki z witaminy D, ale wiedziałem, że chodzi o dzieci. Nie mogła bez nich wytrzymać.

Pracowałem w ogrodzie. Jej nie było. Bangley grał w szachy z Tatkiem. Tak spędzali czas. Siadali na werandzie mojego domu na

skrzypiących fotelach i grali w szachy jakby to był przydrożny sklepik w jakiejś apokaliptycznej parodii rysunków Normana Rockwella. Laska Bangleya oparta o balustradę. Grał w szachy lepiej, ale bywał rozkojarzony, a wtedy Tatko mógł go pokonać.

Rozgniatałem stonki ziemniaczane w palcach i usłyszałem dźwięk, który kiedyś słyszałem tak często, że nie podniosłem wzroku. Ale. Minęło dużo czasu. Zadarłem głowę, mrużąc oczy na słońcu, i zobaczyłem je: dwie smugi. Równoległe ale jedna z tyłu. I nikły zniekształcony dopplerowsko dźwięk oddalających się silników.

Nie, to nie był sen.

Nie biegłem tak szybko. Od lat. Wpadłem do Bestii i wcisnąłem główny włącznik i włączyłem radio. Miałem skaner Narco, cyfry, częstotliwości przeskakiwały przez ciszę i nic. Szum. Cyfry przelatywały zakres raz po raz. Nagle zatrzymały się jak koło ruletki. Przerwa, strzęp szarości. Głos, słowa. Zanim włączyłem guzik mikrofonu, zmusiłem się do słuchania i nic nie zrozumiałem. Po arabsku. Musieli mówić po arabsku. Rozmowa, śmiech. Lecieli na wschód na trzydziestu tysiącach stóp. Lecieli prawdopodobnie do Kalifornii. Z takiej wysokości my, nasze lotnisko, ginęliśmy na tle krajobrazu, niszczejącej infrastruktury. Wywoływałem ich bez końca. *Dwa jumbo jety, 747, Erie, dwa boeingi 747, Erie. Boeingi 747, które właśnie minęły Denver, tu Erie.* Wywoływałem i wywoływałem. Dopóki nie ochrypłem, a smugi na niebie nie stały się białym wspomnieniem, mirażem. Patrzyłem za nimi trochę oszołomiony. Dobrzy czy źli?

Tydzień później, dokładnie, kolejne dwa. Mniej więcej o tej samej porze. I w kolejnym tygodniu. W czwartym tygodniu nic. Wszyscy czworo zebraliśmy się po południu na werandzie, jakbyśmy czekali na fajerwerki albo przyjazd jakiejś osobistości. I nic.

*

Mogą być odporni, powiedziała. Któraś rasa może być odporna. Albo mieć skupiska odporności. Państwa arabskie są plemienne. Całe plemię może być odporne.

We wrześniu przeleciały nad nami jeszcze dwa. Ani razu nie odpowiedziały na moje wywołania.

*

Śpimy na zewnątrz do października. Może będziemy tak spać przez całą zimę. Jak kiedyś Jasper i ja. Pod stosem koców. W niektóre mroźne noce śpimy w wełnianych czapkach, spod których wystają nam tylko nosy. Nazywamy zimowe gwiazdozbiory, a kiedy skończą nam się te, które znamy – Orion, Byk, Plejady, Woźnica – wymyślamy nowe. Moje to prawie zawsze zwierzęta, jej to prawie zawsze jedzenie – Naleśnik na Zakwasie z Syropem, Krab w Miękkiej Skorupie au Gratin. Jeden nazywam na cześć niezdarnego psa, który uwielbiał ryby.

*

Nadal śnię, że Jasper żyje. Moje serce nie śmie cofnąć się dalej.

*

Mój ulubiony wiersz, ten, który napisał Li Shangyin:

Kiedy wrócę do domu?

Kiedy wrócę do domu? Nie wiem.
W górach, w deszczową noc,
Jesienne jezioro występuje z brzegów.
Kiedyś znowu będziemy razem.
Usiądziemy w świetle świec przy zachodnim oknie.
A ja ci opowiem jak cię wspominałem
Tej nocy na burzowej górze.

Podziękowania

Do powstania tej książki przyczynili się moi przyjaciele i rodzina, przekazując mi swoje spostrzeżenia i zarażając mnie energią. Jestem głęboko wdzięczny moim pierwszym czytelnikom: Kim Yan Heller, Lisie Jones, Jayowi Heinrichsowi, Rebecce Rowe, Helen Thorpe, Johnowi Hellerowi, Pete'owi Beveridge'owi i Caro Heller. Sam nie wiem, jak Wam dziękować. Lisa, jak zawsze, była nieustraszoną czytelniczką i nieocenioną doradczynią. Słowa Helen pojawiły się w najodpowiedniejszym momencie. John i Caro, moi rodzice, są dla mnie najodważniejszymi, najbardziej twórczymi wzorami do naśladowania.

Za uważną lekturę i specjalistyczną wiedzę ogromne podziękowania należą się Jasonowi Hicksowi, Jeffowi Streeterowi, Donnie Gershten, Mike'owi Gugelerowi, Kirkowi Johnsonowi oraz Jasonowi Elliottowi z Navy SEALs. Dziękuję Janis Hallowell, Nathanowi Fischerowi, Markowi Loughowi, Tedowi Steinwayowi i Davidowi Grinspoonowi za ich wsparcie.

Carlton Cuse był dla mnie wspaniałym źródłem inspiracji. Bobby Reedy wiele lat temu zabrał mnie pierwszy raz nad wyjątkowy strumień z wędką muchową. I dziękuję Bobby'emu i Jasonowi Elliottowi za to, że wprowadzili mnie w przerażający świat karabinów snajperskich.

Dziękuję Bradowi Wienersowi za historię o pierwszym locie i wszystkie inne.

David Halpern jest moim przyjacielem i mistrzem od wielu lat. Bez niego ta książka by nie powstała. Jestem mu niezmiernie wdzięczny. Dziękuję Kathy Robbins za wszystko. Dziękuję Louise Quayle za jej

wspaniałą pracę. A Charlotte Mendelson za jej wnikliwość i entuzjazm.

Wznoszę toast za moją fantastyczną redaktor Jenny Jackson.

A Dave'owi Hoernerowi, jednemu z najlepszych pilotów buszowych w historii, dziękuję za to, że nauczył mnie latać.